PRZEGLĄD MIESIĘCZNY.

ROK I.

Zeszyt IV. Miesiąc Styczeń 1875.

Nakładca i odpowiedzialny redaktor Dr. Ign. Skrochowski.

W KRAKOWIE,
W DRUKARNI LEONA PASZKOWSKIEGO
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1875.

str.

PRZEGLĄD MIESIĘCZNY.

ROK I.

Zeszyt IV. Miesiąc Styczeń 1875.

Nakładca i odpowiedzialny redaktor Dr. Ign. Skrochowski.

W KRAKOWIE,
W DRUKARNI LEONA PASZKOWSKIEGO
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1875.

WIERNY DO GROBU.

(Z pamiętnika Sybilli).

Na dworze śnieg pruszył. W bawialnym pokoju szlacheckiego dworca siedzieli oboje państwo Chorąztwo; sama pani, piękna i słuszna brunetka, blisko okna, przy krosienkach, na których haftowała krzyżowym ściegiem antepedyum do parafialnego kościoła; a sam pan, trochę otyły, przy kominku palił lulkę na długim cybuchu, z wyraźnem usposobieniem do poobiednej drzemki.

W pokoju panowało głuche milczenie, szanowane nawet przez dwoje żywych malców bawiących się przy małym stoliczku: chłopczyk ustawiał szeregi ołowianych żołnierzy, dziewczynka stroiła lalkę.

Piękny biały wyżeł rozciągnięty jak długi przed ciepłym kominkiem, przerywał ciszę głośnem chrapaniem, jakby zachęcał swojego pana, żeby poszedł za jego przykładem.

Wtem w przedpokoju zrobił się szmer; wyżeł podniósł głowę i dźwignął się na przednie łapy, wydając głuche, przerywane warczenie...

Niebawem drzwi się zwolna otwarły, i w progu stanął jakiś nieznany człowiek... Pani oczy podniosła od roboty; Chorąży ruszył się w krześle, wyżeł zaszczekał, a dzieci zerwały się ze swoich kanapek i wybiegły na środek.

— Przyszedłem za służbą; mówiono mi, że wielmożni państwo potrzebują kredencerza — rzekł nieznajomy, kłaniając się starym, połamanym kapeluszem, i w pokornej postawie stanął pod ścianą.

Nieprędko nastąpiła odpowiedź ze strony pana Chorążego, który od stóp do głów mierzył tę osobliwą figurę, prezentującą się w bardzo wytartym i połatanym liberyjnym surducie o świecących się lecz zdekompletowanych guzikach; ale gdy popatrzył w twarz dziwnej poczciwości i powagi i na upudrowaną łysą głowę, cofnął w myśli gotujące się zgromienie za wejście do pokoju bez meldowania się — zapytał łagodnie:

— U kogożeś służył? masz zapewne świadectwa?

— Świadectw nie mam żadnych — odpowiedział niezmięszany tem pytaniem — bo tylko miałem jednego pana, którego pochowałem przed trzema miesiącami.

— Któż to taki?

— Nieboszczyk pan kasztelan Rospierski.

— A wiem, wiem — ten, co go rozbójnicy napadli... A gdzież wtenczas byłeś, kiedy go rabusie związali?

— Spałem w drugim pokoju, ale mię zbudził brzęk stłuczonego okna. Schwyciłem się zaraz na nogi, a widząc wchodzącego do pańskiej sypialni dużego draba z poczernioną twarzą, zastąpiłem mu drogę i wzięliśmy się za bary; on się wyrywał, jam go nie puszczał; i gdyśmy się tak mocowali, nieboszczyk pan kasztelan, choć dziewięćdziesięcioletni, miał pewną rękę, strzelił, i rozbójnik ugodzony w głowę powalił się na ziemię. Ledwie to się stało, drugi już siedział na mnie, i byłby mię nożem przeszył, żeby nie pan kasztelan, który strzelił z drugiego pistoletu i zgruchotał mu rękę.... Uwolniony od tych zbójców, a widząc, że drudzy idą już na mnie, wyskoczyłem przez okno; a chociaż mróz był trzaskący, puściłem się przez staw zamarznięty do dzwonnicy i zacząłem bić na gwałt. Mieszczanie zaczęli się zbiegać, myśląc, że gore; lecz gdy mię zobaczyli w koszuli, a ja im powiedziałem, że dwór rabują, pochwycili za koły z płotów i za mną pobiegli.... Wróciwszy, jużeśmy nikogo nie zastali. Nieboszczyk pan kasztelan leżał na łóżku związany; pani kasztelanowa ze swojemi pannami, mieszkająca w drugiej połowie dworu, siedziała w ciemnym kuratarzyku — a rabusie tymczasem zabrali wszystkie srebra

i klejnoty, suknie i bieliznę mojego pana, i jużby się byli dobrali do szkatuły z pieniędzmi przyśrubowanej do podłogi, gdy usłyszawszy bicie na gwałt, zawołali: woda przybywa! i zrabowane kosztowności upakowawszy na wielką brykę, w której przyjechali, uszli do pobliskich lasów, przyczem nie zapomnieli zabrać jednego trupa, a drugiego rannego towarzysza, aby śladu nie zostawić za sobą.

— A gdzież byli inni dworscy ludzie? — zapytała pani chorążyna zainteresowana tem opowiadaniem — przecież pan kasztelan chował liczny dwór?

— O, było ich tam niemało — odrzekł zapytany — ale że to był koniec zapust, więc jedni poszli na noc do domów, a drudzy pić do karczmy; jam tylko jeden został przy moim panu. Widać rabusie umyślnie wybrali ten moment, kiedy nikogo nie będzie we dworze.

— Z tego pokazuje się — mówił pan chorąży — że nie lubisz chodzić do karczmy; ale dlaczegoż, mój kochany, nie masz nic na grzbiecie? przecież za tak wierne usługi musiał nieboszczyk pamiętać o tobie?

— A jużcić pamiętał; niech mu to Pan Bóg stokrotnie nagrodzi! W testamencie kazał mi wypłacić dwieście dukatów, a oprócz tego należą mi się pięcioroczne zasługi... ale z sukcesorami trudno wielmożny panie trafić do końca; trzeba się będzie z nimi prawować...

— Podoba mi się ten człowiek, trzeba go przyjąć — rzekła chorążyna do męża po francuzku.

Chorąży zapytał go, co brał u kasztelana? A gdy ten wcale skromne żądanie objawił, nastąpiła wspólna ugoda.

— A jakżeż ci na imię?

— Fedor, wielmożny Panie.

Wtem weszła do pokoju klucznica.

— Szwendosiu! — rzekła chorążyna — weź tego człowieka do oficyn i każ mu dać jeść.

— Dajcie mu kieliszek wódki — dodał chorąży.

— Dziękuję wielmożnemu Panu — odrzekł Fedor — ale nigdy wódki nie piję — i pokłoniwszy się do kolan obojgu państwu, odszedł w towarzystwie klucznicy, która nań patrzała z ironicznym uśmiechem...

— Mamo! mamo! — wołał, skacząc i śmiejąc się mały chłopczyk — to nie jest żaden lokaj, to młynarz, bo ma mąkę na głowie....

— Jak mamę kocham, Tadzio prawdę mówi — dorzuciła siostrzyczka — widziałam u niego mąkę na kołnierzu....

— Nie znacie się moje dzieci — rzekła chorążyna — przed laty wszyscy nosili pudrowane włosy; Fedor trzyma się starej mody.

— Taki stary! — zawołał chłopczyk — nie zechce się z nami bawić, ani nam strugać zabawek....

Dziewczynka podzielała zdanie braciszka, i wcale nie była kontenta z Fedora.

Podobne wrażenie zrobił on w oficynie. Widok upudrowanej głowy i połatanego surduta, pomimo poważnej fizyognomii, ściągnął całą gawiedź dworską do izby piekarnianej. Starszyzna, jak: kucharz, furman, karbowy, a w części i klucznica, zachowywali się w powadze gospodarzy przyjmujących gościa; ale co kuchcik, ogrodniczek, fornale i dziewki od krów zanosili się od śmiechu po kątach; lecz to bynajmniej nie zmięszało Fedora, który nie brał tego do siebie, będąc zajęty rozmową z kucharzem, tak jak on bywalcem na wielkim świecie — pokazało się bowiem, że obaj byli kiedyś w Warszawie: Fedor, jako starszy, podczas wielkiego sejmu; kucharz za pruskich czasów — różne też oba odnieśli wrażenia i te udzielali sobie nawzajem, wynosząc znakomitość, dostojność i bogactwo panów, u których służyli. Reszta będącej tam służby słuchała ich z otwartą gębą, i nie mogła pomieścić w swéj głowie, jakim sposobem ten nowy lokaj, który sługiwał po pańskich dworach, bywał po wielkich miastach, mógł świecić teraz dziurawemi łokciami?

— Ej! coś to podejrzanego — mówiła klucznica do furmana — dziwię się, jak nasi państwo przyjąć mogli takiego obdartusa?

— Zapewne, zapewne! — odrzekł furman — czy uważała jejmość ten łeb ubielony mąką? oho! musi to być ptaszek, co nie chce aby go poznano....

— Ach prawda! chwalił się, że pana od rozbójników bronił; nasi państwo uwierzyli temu — a nuż to rozbójnik

przebrany?... Nie będę mogła spać całą noc, tak się już boję....

Wieczorem po kolacyi, kiedy klucznica stawiła się przed panią chorążyną, aby odebrać od niej dyspozycyę na dzień następny, nieomieszkała natrącić to i owo o swoich podejrzeniach względem tego nowego lokaja; ale chorążyna rozśmiała się z jej obaw i przykazała pamiętać o Fedorze i dać mu jutro śniadanie, aby głodny nie puszczał się w drogę.

Noc przeszła najspokojniej; Fedor przespawszy się w izdebce u kucharza, gdzie długo jeszcze gawędzili, skoro świt, już był na nogach, a zmiotłszy ogromną misę kaszy ze szwedami, bo zawsze odznaczał się wybornym apetytem, wyruszył w drogę, aby zabrać swoje rupiecie i wrócić na służbę.

— Mamo, mamo! — wołały dzieci, stojące w oknie — ten stary z mąką na głowie już wraca, idzie przez dziedziniec, psy go opadły....

— Idźże go obroń! i przywołaj Hektora — rzekła Chorążyna.

Chłopczyk wybiegł na ganek, gwizdnął na psy i te przybiegły do niego.

— Dziękuję paniczowi! — rzekł Fedor — sobaki jeszcze mię nie znają; ale jak się poznamy, będą grzeczniejsze.

Powierzchowność Fedora robiła go bardzo podobnym do dziada; ten sam surdut o dziurawych łokciach, a w dodatku wiszący na kiju zarzuconym przez ramię węzełek, a na samym onego końcu pływająca w powietrzu para butów.... Wszystko to musiało drażnić nerwy dziedzińcowych stróżów, nieprzestających warczyć, pomimo że chłopczyk udzielił im po szczypcie chleba z masłem, otrzymanego na drugie śniadanie.

— Proszę panicza pokazać mi drogę do kredensu, bo nie wiem gdzie się obrócić — rzekł Fedor stając na ganku i zdejmując połamany kapelusz.

Chłopczyk poprowadził go do jadalnego pokoju, za którym była izdebka lokajska. Fedor złożył swój tłomoczek i wyjął z niego pęcherz z mąką i kutasem którym, przy kawałku zwierciadła, świeżem bielidłem potrząsł łysą głowę i już nie

dbając o resztę toalety, czuł się godnym zaprezentować się nowemu państwu.

Właśnie wchodził do izby jadalnej, kiedy zastał już tam, uwiadomioną o jego przybyciu chorążynę, która go powitała z dobrocią i rozkazała wyrostkowi zastępującemu tymczasowo miejsce kredencerza, oddać przy sobie kredens i srebra w ręce nowego lokaja, co gdy skończono, powtórzyła raz jeszcze tryb codziennego życia, polecającę Fedorowi aby krótko trzymał Józia wielkiego próżniaka i łasego na przysmaki.

Od tej chwili Fedor wszedł w swój obowiązek i stał się niejako cząstką rodziny. Sprowadzony z pobliskiego miasteczka żyd krawiec wystrychnął go raczej na poważnego pedagoga, niż na lokaja. Długi granatowy surdut, biała chustka na szyi, upudrowana głowa, nos duży na gładkiej, ściągłej twarzy, chód poważny, ruchy powolne — zgoła ogół ten budził uszanowanie. Wkrótce wszyscy dworscy nazywali go panem Fedorem, a pani i dzieci kochanym Fedorciem. Zyskał bowiem u tych ostatnich szczególniejsze względy, nie żeby im naprawiał połamane wózki i koniki, lub bicze strugał; lecz za to, że o szarym mroku wypoczywając w jadalnym pokoju, opowiadał dzieciom o Warszawie, o królu, jak go widział na obchodzie konstytucyi 3 Maja, a szczególniej o dworze kasztelanowej Kamińskiej, na którym służył od chłopca przy kredensie, jacy to tam wielcy panowie bywali: Potoccy, Małachowscy, Ksiądz Prymas, książę Podkomorzy; jakie wyprawiano objady i festyny. Najwięcej jednak bawił dzieci gdy zaczął opowiadać o karłach, które kasztelanowa chowała przy sobie, razem z papugami i małpą i często całą tę menażeryę brała ze sobą w drogę do ogromnej poszóstnej karety; a bywało podczas tęgich mrozów, kiedy karlątka pomarzły w ręce, Fedor miał raz na zawsze obowiązek gotować w pierwszej lepszej karczmie jaja, i gorące wkładać im w łapki, aby się rozgrzały. Nie pomijał też Fedor różnych anekdot o swojej dawnej pani, słynnej z dowcipu, a wszystkie swoje opowiadania kończył napadem na ostatniego pana rozbojników, który będąc przyjacielem kasztelanowej, po jej śmierci wziął go do siebie i prawie na jego ręku skonał.

Fedor żył wszystek w przeszłości; teraźniejszość była dlań bezbarwną, bo kiedy w kuchni i oficynie jaki taki lubił gwarzyć o Napoleonie i o jego zwycięstwach i ostatnich klęskach,

on się nie mięszał do rozmowy, lecz regularnie zwracał materyę do swoich wspomnień warszawskich i zwykle opowiadał o panu staroście Szczerzeckim, w jak wspaniałym poczcie wyjeżdżał na poselstwo do Stambułu, jakie wiózł dary dla sułtana i jak przepyszną była jego garderoba, a jakie karety, cugi itp. Wiadomość o utopieniu się księcia Józefa w Elstrze, więcej go interesowała. „Znałem tego księcia, mówił Fedor — piękny to był kawaler! Pospólstwo biegało za nim kiedy się przejeżdżał w kabryolecie po ulicach Warszawy pod oknami pięknych pań z jenerałem Wielhorskim. Raz nawet przyjechał z wizytą do pani kasztelanowej i dał mi trzymać lejce od koni, bo książę sam się powoził; dostałem od niego dukata, za to też nie mało najadłem się strachu, żeby koni nie puścić, które ciągle się rwały. Szkoda dobrego pana!“

Widzimy z tego, że Fedor obojętnym był na dzienną politykę, bo nawet kiedy go pytano czy znał Kościuszkę? Odpowiedział spokojnym tonem: „Widywałem tego jenerała, kiedy wrócił z pod Dubienki bywającego z wizytą u naszej pani. Nie nosił on ani żabotów, ani się pudrował, a na pokoje przychodził w butach, kiedy inni panowie nosili pończochy i trzewiki z srebrnemi klamrami. Rewolucyi jego nie widziałem, bośmy z Warszawy wyjechali — a nie było czego dosiadywać.“

W ogóle Fedor przywiązywał wielką wagę do toelety, ale nie swojej; tę bowiem odbywał krótko, dość mu było głowę posypać świeżą mąką, twarz otrzeć ręcznikiem — i już nie dbał o resztę. Był to główny punkt jego pojęcia o elegancyi, dla tego często inne części ubioru nie zostawały w harmonii z fryzurą. Wygadywał też i krzywił się bywało na pana chorążego, za jego sposób ubierania się. Chorąży dawny wojskowy, przytem zawołany gospodarz, miał zwyczaj na chłodny dzień brać kurtę podszytą baranami i wysokie buty, a w lecie takąż kurtkę z szarego płótna, i dosiadłszy od rana wierzchowca uganiać na nim po polach i folwarkach. Mimo że Fedor patrzał na to codzień, nieomieszkał jednak wyjmować z szafy frak z świecącemi guzikami i trzymając go w obu rękach chodzić za ubierającym się, który w roztargnieniu nieraz naciągnął go na siebie, a spostrzegłszy się ujarzmionym w eleganckiej sukni, do której wcale reszta ubrania nie stosowała się, zrzu-

cał ją gwałtownie i ciskał w oczy Fedorowi zasypując go krociami bomb i kartaczów..... Po takiej scenie Fedor odchodził w najgorszym humorze wzruszając ramionami i głośno mrucząc; a kiedy bywało spotkał chorążynę nieomieszkał skarżyć się, zwłaszcza gdy ona widząc go w alteracyi zapytała: Co ci to Fedorku, żeś taki zapérzony?—Pan się gniewa— odpowiadał — za to, że chciałem go porządnie ubrać; zawsze tylko te wysokie zaklapane buciska i ta barania kurtka! Kto widział tak chodzić — to dobre dla podstarościego, pfe! ale nie na pokoje, — przecież nierazem służył przy toalecie panu staroście Szczerzeckiemu, a nieboszczyka pana kasztelana ubierałem i rozbierałem do śmierci, a nigdy nie trafiło się, żeby mieli zabłocone buty.

Długo Fedor nie mógł się przyzwyczaić do kurty i zabłoconych butów Chorążego, i choć w końcu poddał się przeznaczeniu, jak ten, co zwątpił aby mogło być inaczej — za to małego Tadzia wziął w kuratelę, i oprócz długich opowiadań o toalecie wielkich panów, jak zawsze suknie ich były czyste, a trzewiki, że się w nich przejrzeć; a żaboty i mankiety świeże, a fryzura starannie utrefiona i upudrowana, aby o każdej chwili można prezentować się gościom, a nawet jechać na pokoje króla jegomości — oprócz tej strony teoretycznej nieomieszkał i praktycznie zastosowywać swojej reguły w niektórych przypadkach, kiedy n. p. przeszedł ciepły deszcz majowy, i na dziedzińcu porobiły się małe jeziorka, a Tadzio wylatywał z pokoju i nuż brodzić po nich w trzewiczkach, często razem z siostrą swoją Pelunią, nuż bić w nie nogą, tak, że woda bryzgała na kilka łokci w około..... Niechże nadszedł na tę scenę Fedor... trzeba było widzieć jego traiczną postać, jak stanął osłupiały, załamał ręce, i wołał: paniczu! Tadziu! Peluniu! w niwecz suknie, w niwecz trzewiki, nikt się tego nie doczyści! Zaraz mi do pokoju — Wstyd, hańba! tak się bawią tylko chłopskie dzieci!... Gdy to nie pomagało, a woda z kałuży obryzgiwała Fedora stojącego na ganku, przebierała się jego cierpliwość, rzucał się jednym skokiem, porywał Tadzia za ręce i szamocącego się wynosił na schody, a potem brał ze sobą do kredensu, i tam ocierał, lub szedł po inne sukienki i trzewiczki, aby go przebrać od stóp do głów. To nic, ale daleko więcej kłopotów nabawiał go Tadzio, jeżeli wpadł do

sadu i tam wdrapał się na śliwkę, lub gruszę, a Fedor to spostrzegłszy, porzucał swoją robotę, i stawał pod drzewem, zrazu napominając grzecznie: Zleź panicz! zleź natychmiast! bo pójdę do mamy i poskarżę!... Gdy to nie pomagało, a mały swawolnik piął się coraz wyżej — Fedor groził, że będzie trząsł drzewem — lecz gdy i to nie miało skutku, szedł po siekierę, i zabierał się rąbać. Środek ten udał się parę razy, póki Tadzio nie zmądrzał, bo potem nie mógł go zwabić inaczej, tylko pokazanym pierniczkiem lub jaką łakotką. Fedor bowiem miewał pełne kieszenie przysmaków któremi częstował Tadzia, a szczególniej Pelunię, jeżeli był w dobrym humorze. Jak tylko winowajca zlazł z drzewa, następowały oględziny: „Sukienki na nic“ wołał załamując ręce — pójdźże niech cię oczyszczę, nim rodzice zobaczą, bo wtenczas nie minęłaby cię rózga.“ I brał go ze sobą do kredensu; wyczesywał włosy z liści i pajęczyn, podarte sukienki zaszywał. Same to drobnostki, lecz bywały i większe przypadki, w których Fedor, zwykle sztywny i zimny, pokazywał, jakie serce w nim biło. Zdarzyło się że Tadzio, którego wszędzie pełno, gdzie go nie posiałeś, wykradł się, i pobiegł nad staw i tam dopadłszy dziurawego koryta moczącego się przy brzegu, odbił się tyczką i używając ją za wiosło, zaczął żeglować przy dobrym wietrze. Kiedy koryto stanęło na głębi zaczęło nabierać wody, Tadzio widząc niebezpieczeństwo, chciał wrócić do brzegu, ale nie wprawny żeglarz, nie umiał dać sobie rady, więc wpłacz i krzyk.... Krzyk ten posłyszało ucho Fedora, puścił się jak strzała z góry, i jak stał skoczył do wody, nie zważając na upudrowaną głowę, tak starannie ochranianą od wszelkiej wilgoci. Dopłynąwszy, pochwycił koryto i płynąc obok, przyciągnął je z malcem do brzegu; poczem wziął go na ręce, i chyłkiem po za płotami zaniósł do swojej izdebki, i tam zmoczonego przebrał, zachowując największy sekret przed panem Chorążym, który w pierwszym impecie byłby swawolnika wykropił cybuchem.

Taki był stosunek Fedora do dzieci Chorąstwa, co nie przeszkadzało Tadziowi płatać mu rozmaite figle. I tak miał on zwyczaj po obiedzie siadać w krześle w jadalnej sali, i drzemać; a w lecie kłaść się na trawniku, ale nie w cieniu, tylko na największem słońcu i tak odprawiać swoją siestę. Tadeu-

szek znając ten jego zwyczaj, zakradał się ze słomką i łaskotał go po łysinie, lub po twarzy, a stary myśląc że to muchy, bił się po łysinie, lub po nosie, co psotnika wprawiało w taki śmiech, że się aż zdradzał nim i budził śpiącego. Burczał go za tę psotę Fedor; ale się nie gniewał, tylko wtedy nie posiadał się w gniewie, kiedy nakrywając do stołu z pedantyczną symetryą, Tadzio wpadł i ruszył jaki talerz, lub za obrus pociągnął; Fedor porywał go i za drzwi wyrzucał, albo też jeśli mu bardzo dokuczył, niósł delikwenta do matki, i zrobiwszy wywód dokonanej zbrodni, oddawał winowajcę w ręce sprawiedliwości. W tym jednym punkcie Fedor był nieubłagany. Osobliwe przymioty Fedora nabierały coraz większej ceny w oczach państwa Chorąstwa, szczególnie samej pani. Nigdy on bowiem w ciągu długiej służby nie opuścił się w najmniejszym obowiązku; żaden zegarek nie szedł tak regularnie, jak on spełniał swoją codzienną robotę; a przykład jego trzymał inne sługi w rygorze.

Chorąży zapalony gospodarz, poznawszy się na wierności Fedora, wziął go parę razy w czasie gorącej krzątaniny, kiedy to i ekonom i pisarz i karbowy, i furman nawet, wszyscy byli w polu nad żeńcami, i posłał do lamusa, wymierzyć okowitę dla arendarza. Fedor sam ani pokosztował, bo nienawidził tego trunku; ale parobcy popili się na śmierć, a żyd w jego oczach zwędził kilka garncy gorzałki, wyciągnąwszy go w przód na opowiadanie o ulubionych jego kasztelanach, starostach, o królu i o Warszawie. Fedor kiedy opowiadał o tych dawnych ludziach, czasach, zapominał o bożym świecie, wzrok jego błąkał się w tych wysokich sferach i nic nie widział przed sobą.

Spróbował Chorąży użyć go za przystawa przy młockach, ale i tu spotkał go zawód. Fedor usiadł na kulu słomy, napędził młocków do roboty, energicznem: Żwawo chłopcy! a dobrze wybijajcie, żeby nic nie zostało!“ i znudzony monotonnym uderzaniem cepów, zaczął sobie rozmyślać o ukochanej Warszawie.... Przed oczyma stanęła mu tak żywo doroczna uroczystość obchodu konstytucyi 3 maja, widział króla zakładającego kamień węgielny pod kościół Opatrzności; widział siebie jak stał z talerzem w ręku za krzesłem pani kasztelanowej; wtórował z duszy wiwatom: „Wiwat król! wiwat naród, wiwat

wszystkie stany!“... a jak sobie zaczął przypominać illuminacyę, i te godła jaśniejące w transparentach.... i te okrzyki ludu snującego się tłumami po ulicach, a powtarzające bez ustanku : Naród z królem, król z narodem; tak i przeniósł się całkiem w ten świat rozbudzonego życia stolicy, i nie widząc co się robiło koło niego, powtarzał tylko machinalnie, jak przez sen: Młócić chłopcy; młócić a żywo! spieszcie się! żeby skończyć przed wieczorem! I rzeczywiście o mroku skończyła się robota; odmierzono wydatek z wymłóconej pszenicy — młocki zabrawszy cepy odeszli — a Fedor najskrupulatniej pozamykał kłódki, i klucze odniósł Chorążemu, zdając raport ze zniesionego ziarna do spichrza; na co pan Chorąży poskrobał się w głowę i cały długi wieczór o niczem nie gadał tylko o złym wydatku, chociaż wymłócona pszenica była z najpiękniejszego łanu. Gdy zaś w następnym omłocie, już nie pod dozorem Fedora wydatek pokazał się przechodzący nawet nadzieje gospodarza, zaczął Chorąży dochodzić przyczyny, i kłębka doszedł po nici: pokazało się, że kiedy Fedor duszą był w Warszawie, w towarzystwie kasztelanów i starostów, chłopi nietylko w zanadrza sypali ziarno, ale napełniali worki i garnki, które baby przyniosły im ze strawą.

— Pięknieś dozorował! mówił Chorąży surowo patrząc na Fedora, pozwoliłeś chłopom skraść połowę wydatku..

— Przecie na krok nieodszedłem Wielmożny Panie, odrzekł Fedor usprawiedliwiając się. Nie znam ich złodziejskich sposobów......, może co i chapnęli, kto ich tam wie.

Chorąży choć impetyk, nie gniewał się, ale odtąd zarzekł się używać Fedora do dozoru w gospodarstwie.

Za to nieoceniony był to sługa w podróży.

Chorąży miał w różnych stronach przyjaciół i znajomych, a miał też tu i owdzie interesa, które go odrywały od domu. Wyjeżdżał więc często osobliwie w późnej jesieni i w zimie to o mil kilkanaście, to i o kilkadziesiąt. Mając upodobanie jeździć najprostszą drogą, która nie zawsze bywała najkrótszą, a zawsze bywała najgorszą, doświadczał rozlicznych przygód. Jeśli się nie wywrócił parę razy i nie potłukł kości, że aż go cyrulik smarował i plastrami okładał, to niezawodnie złamał oś u warownej bryki, okulawił konia, lub był okradziony na noclegu w jakiej podejrzanej karczmie. Nie darmo pani Cho-

rążyna, ilekroć mąż wybrał się w taką drogę, nie sypiała po nocach, i przeczuciami trapiona, że się coś złego stanie, ciągnęła kabałę. Odkąd zaś Fedor zaczął jeździć z panem, czuła się o wiele spokojniejszą doświadczyszy nieraz jego przytomności, i czujności w drodze. Byle się powóz zaczął przechylać na jednę stronę, już Fedor zeskakiwał z kozła, i podpierał go barkami. A jak umiał po niewygodnych karczmach przyrządzać nocleg wygodny; jak z żydami się targować o owies i siano, jak wywiadywać się o drogę, żeby darmo nie błądzić; jak pilnować żeby fartucha nie oderznięto od powozu, lub żeby żołnierze nie poucinali koniom ogonów; w tych wszystkich przypadkach i niebezpieczeństwach Fedor był niezrównanej ostrożności, prawdziwy anioł opiekuńczy. Jadąc raz z panem Chorążem, i natłókłszy się po korzeniach i wybojach, zajechali do jakiejś karczemki w lesie, brudnej i zimnej, a na dobitek pełnej żydów, którym wcale niedobrze patrzyło z oczu. Wprawdzie żydzi się wynieśli; lecz został arendarz z rudą brodą i fizyonomią oderwańca od szubienicy, który nie wzbudzał wielkiego zaufania. Pan Chorąży nic sobie z tego nie robił, podjadłszy bowiem sporą misę odgrzewanego bigosu (ten wiernie towarzyszył mu w podróży) położył się na sianie zasłanym dywanem, i paląc lulkę, rychło dał poznać głośnem chrapaniem, że usnął na twardo. Fedor poszedł jeszcze do stajni, napomniał furmana, aby się miał na ostrożności, a sam wrócił do izby szynkownej gdzie pan jego spoczywał, i pozamykawszy drzwi rozesłał sobie wiązkę siana i układł się przy progu.... Dobrze już było po północy, kiedy wrota wjazdowe zlekka zaskrzypły, a ponieważ sen miał bardzo czujny, zbudził się i nastawił ucha.... Zdawało mu się jakby kto wyprowadzał konie.... Jednem skokiem stanął na równe nogi i pochwyciwszy opartą o ścianę łopatę do wsadzania chleba, wypadł do sieni... a poznawszy maść bułaną pańskiej furmanki i sylwetkę niepodobną do fizionomii starego Marcina, spuścił łopatę, i kogoś powalił o ziemię. Krzyknąwszy potem na śpiącego Marcina, zbudził go; oba zapalili latarnię, i konie luźno chodzące poupinali u żłobu. Nocna ta scena odbyła się bez krzyku i hałasu. Fedor polecił Marcinowi czuwać przez resztę nocy, a sam wrócił do izby, aby być blizko pana wrazie jakiego napadu. Nazajutrz kiedy już miano wyjechać, Chorąży wołał

arendarza, aby mu za nocleg zapłacić; lecz nikt z rachunkiem nie przychodził. Zniecierpliwiony, kazał Federowi szturmować do zamkniętego alkierza, gdzie się mieściła familia arendarza. Po długiem dopiero stukaniu i wołaniu uchyliły się drzwi i wyszła Sura, blada i pomięszana, mówiąc ze spuszczonemi oczyma: „Co łaska Jasnego Pana.“ Chorąży rzucił jej kilka złotych i krzyknął: ruszaj!

Gdy odjechali kawałek, Fedor obracając się z kozła rzekł do Pana:

— To złodziejska karczma, chcieli nam w nocy wyprowadzić bułanki.

— A czegożeście mnie nie zbudzili?

— Kiedy sen dobry, nie trzeba go przerywać — odrzekł Fedor, a Wielmożny Pan spał doskonale. Konie się i tak odebrało złodziejom, z którymi arendarz był w zmowie, bo zapewne jego pomacałem drągiem, kiedy się nie pokazał, tylko Surę wysłał.

Nie tylko w takich podróżnych przygodach Fedor odznaczał się czujnością i przytomnością umysłu. Będąc raz za domem, uważał się on nie tylko za sługę lecz i za anioła opiekuńczego przy osobie swego chlebodawcy. Chorąży, jak już się napomknęło, lubił od czasu do czasu nawiedzać starych przyjacioł, tak jak on niegdyś wojskowych, co służyli pod księciem Józefem lub Kościuszką. Byli to po większej części starzy kawalerowie, lubiący dobrze żyć, a lepiej pić, a gościnni aż do uprzykrzenia. Zajechawszy do którego z nich, siedział nieraz po tygodniu i po dwa. Dla zabicia czasu, nie grano w karty, ale sobie przypominano dawne dzieje, oglądano gospodarstwo, gorzelnię, wyprowadzano bydło, owce; przejeżdżano konie, a jeźli dogodna była pora, wybierano się w pole z chartami, lub na połów ryb w zamarzniętym stawie. Taki był tryb codzienny jeżeli nikt z sąsiedztwa nie nadjechał, ale że bez gości trudno wytrzymać, więc i ten i ów uwiadomiony o przybyciu kochanego Chorążego, przyjeżdżał na obiad, do którego zasiadano punkt pół do pierwszej. Potrawy nie były wcale wykwintne, lecz smacznie przyprawione, to jest pływały w zawiesistych sosach, lub w jeziorach rozstopionego masła. Gospodarz kiedy miał dysponować obiad kucharzowi, odbywał naradę z gościem. „Mój Jasiu! powiedz co ty lubisz? „Aleź

ja wszystko lubię, a u ciebie kuchnia doskonała" — Kiedy ci wszystko smakuje, to będziemy dziś mieli barszcz z rurą i uszkami — „Delicya" — Będą flaki, szczupak po żydowsku, kapłony w potrawie, zając pieczony, ale ciebie pewnie żonka psuje i przyzwyczaiła do słodkich legumiuek, a nie wiem czy mój płodzidym nie zapomniał tej sztuki. „Nigdy tego w usta niebiorę, odpowiedział Chorąży, to babskie jedzenie."

Na obiad, lub po obiedzie zjeżdżali się sąsiedzi, a jeżeli się dobrała ochocza kompania, brano się do kielichów. Z początku szły zdrowia w pewnym loicznym porządku, potem już tylko ściskania się, całowania i nieustanne: kochajmy się!

Jeżeli libacye przeciągały się długo, Fedor zjawiał się w pokoju i wywabiwszy Chorążego niby na sekret, zaklinał go żeby niedotrzymywał kompanii, a poszedł na spoczynek, bo pani bardzo się zmartwi gdyby pan się rozchorował.... Zauważywszy to gospodarz lub który z gości, przypadali z pełnym kielichem, i kładąc go w ręce Fedora, wołali: Wypij stary poczciwcze! a duszkiem! Fedor kłaniał się do kolan: Wypiję za zdrowie Wielmożnych Panów, ale proszę już za moim panem, żeby mu dać pokój, bo to szkodzi jego zdrowiu.

— Tyś widzę, Jasiu, w kurateli, krzyczeli podochoceni.

Fedor jednak tak manewrował, że pana swego zawsze wywabił z tej pijatyki. Raz nawet, kiedy widział go stojącego na boku z ogromnym nalanym kielichem, a już dobrze podciętego, zbliżył się i rzekł: Niech Wielmożny Pan za okno wyleje, nikt nie widzi. Na to podchmielony Chorąży: Ale Bóg widzi mój Fedorku.

Dosyć, że odkąd Chorąży jeździł z Fedorem po swoich starych przyjaciołach, zawsze w dobrem zdrowiu wracał do domu. Dawniej bowiem regularnie odchorował te odwiedziny.

Były to czasy zupełnie niepodobne do dzisiejszych. Sposób życia po dworach szlacheckich odznaczał się obfitością zasobów domowych, i gościnnością niewykwintną, ale serdecznie szczerą. Jedzono ogromnie; pito niemniej. Węgrzyn zastępował wszystkie inne rodzaje win; przez częste używanie tego napoju, nabyto takiej wprawy, że w kilku wesołych ochotników wciągu jednego popołudnia wypróżniono całą beczkę, w końcu już i na lagier nie uważano. Na codzień do stołu była czysta woda lub piwko, wino występowało tylko w ważniejszych oka-

zyach kiedy w dom przybył dawno niewidziany przyjaciel lub krewny; kiedy obchodzono imieniny, chrzciny lub wesele.

Wogóle, w porozbiorowej generacyi szlacheckiej rządzono się jeszcze tą starą maksymą: „Ten pan zdaniem mojem, kto przestał na swojem,“ albo też zdrowemi radami „pana Podstolego,“ czego skutkiem była pewna równowaga: groblę sypano podług stawu, to jest wydatki nieprzenosiły dochodów. Odpowiednio do fortuny, która dziś wymaga karet i faetonów, galonowanych lokai, kucharza wyedukowanego u Francuza, długich rachunków u modniarki i renomowanego krawca, mebli sprowadzonych z Wiednia lub Wrocławia, tedy wówczas poprzestawano na wysłużonym koczyku, który woził panią do kościoła lub w sąsiedztwo; na bryczce krytej i odkrytej, która woziła pana; na skromnych i nie modnych meblach kupionych na początek gospodarstwa, a pokrywanych cycem od czasu do czasu; na służbie przybranej w szaraczek — ale za to w spiżarni była obfitość, piwnica zaopatrzona w starki, miody i wino, w kantorku niebrakło złota i srebra, długów nic. Kto tak się urządził że miał i dla siebie i dla drugich, a nie znał turbacyi, od których włos wypada lub siwieje przez jednę noc, ten rzeczywiście trafił na prawdziwą umiejętność życia, a czy się zdołał utrzymać w tej roli do końca dni swoich? to już inne pytanie. Wszakże na to zgodzą się zemną ci co pamięcią sięgają owych lat, że wtedy był jakiś zakon szlachecki obowiązujący moralnie tych co się w ten poczet pisali; bo jeżeli kto pozwolił sobie wybryku i zaczął szumieć, nosa zadzierać, lub czemkolwiek się wyróżniać, zaraz mówiono o nim, „chory na pana,“ i najczęściej się zdarzyło, że chory, jeśli się prędko nieopamiętał schodził na gałgana, lub tak tracił na opinii, że mu nic nie pozostawało jak wynieść się do miasta. Grasowała ta choroba na państwo tu i owdzie, osobliwie w sąsiedztwie jakiego magnata przepędzającego znaczną część roku za granicą; ale nie była tak ogólną jak dzisiaj, bo kiedy konia kuto nie nastawiała nogi każda żaba.

Dom państwa Chorąstwa utrzymywał się mniej więcej w tej sferze uczciwej mierności i rządności. On, zabiegliwy i czynny gospodarz, wychowany w wojskowym rygorze (ojciec bowiem jego piastował niegdyś wysoki stopień w wojsku koronnem), taki sam rygor zaprowadził u siebie w domu. Słu-

dzy i poddani drzeli przed nim, ilekroć krzyknął jakby komenderował szwadronem; ale szczerze się doń przywiązywali, bo im krzywdy nie robił, nieprzeciążał robocizną, nie urywał w wypłatach. Grosz skrzętnie zbierał i nie lubił go wydawać na niepotrzebne fraszki i specyały; jednę tylko miał słabość do koni, do pięknej uprzęży i siodeł. Byle u sąsiada lub gdzie na jarmarku spotkał konia, który mu się nadawał do złożenia czwórki, lub pod wierzch, gotów był dobrze zapłacić, a ilekroć do miasta pojechał, niezawodnie przywiózł nowe siodło, mundsztuk, szory, lub co najmniej nowe zgrzebła, a w ostanecznym razie harapnik z piszczałką. Do moderunku końskiego miał szczególniejszą słabość, i pewnie w całej okolicy na mil kilka nie było lepiej uprowidowanej masztarni, jak masztarnia pana Chorążego.

Cały ranek, jeżeli w polu nie było pilnej roboty, siadywał on na pieńku w stajni; przypatrywał się jak czyszczono konie; potem kazał je przeprowadzać, dosiadać, puszczać na lince, zaprzęgać do bryczki i ujeżdżać, a że dobrego dochował się stadka, więc nigdy mu nie brakło na uczniach przybywających do tej szkoły. Z tego powodu jednak czasem bywały spory z panią Chorążyną, wyrzucającą mężowi, że choć tyle trzyma koni, ona nie ma czem wyjechać do kościoła, ani z wizytą w sąsiedztwo. Nieraz bowiem zdarzyło się, że kiedy młodą czwórkę założono do powozu, to już na dziedzińcu tak się znarowiła, że porwała uprząż, albo co najmniej złamała dyszel. Założono inne mniej paradne, ale i te lubiły brykać, i raz nawet założone do krytych sani, wzięły na kieł w drodze i zaczęły nosić po polach. Chorążyna jadąca z dziećmi krzyczała w niebogłosy, dzieci płakały; furman wstrzymywał co miał siły ale nic nie pomagało, a rozhukana czwórka, zadarłszy ogony, pędziła na oślep zmierzając właśnie w tę stronę, gdzie był szeroki i głęboki pa.ów wyżłobiony przez leśny potok. Śmierć lub kalectwo zdawało się nieuchronne; sam furman stracił przytomność i ledwo trzymał lejce; jeden tylko Fedor siedzący na koźle, choć pobladł jak chusta, znalazł w swej upudrowanej głowie jenialny pomysł: zdjął bowiem ze siebie płaszcz i rzucił go na łeb naręcznego, który najwięcej dokazywał, drugiemu nakrył łeb kocem i w jednej chwili zwolniał bieg szalonej czworki. Fedor wszystkich ocalił i został bohaterem dnia

tego, gdyż w całem sąsiedztwie o niczem nie było mowy przez cały miesiąc, jak o jego znalezieniu się w tej przygodzie.

Fedor miał wielkie łaski u pani Chorążynej, i on sam z wielkiem był dla niej respektem. Była to bowiem dama nietylko ujmującej powierzchowności, lecz i takiego wychowania, że mogłaby nawet figurować na salonach stolicy; skazana jednak na żywot wiejskiej szlachcianki, godziła się z nim, przyjmując na seryo obowiązki dobrej gospodyni trzymającej rząd i w garderobie, i spiżarni, i oficynie, przytem, pielęgnującej kwiatki, warzywa i owoce; a że miała główkę dobrze umeblowaną, służyła oraz mężowi swemu, ciężkiemu do pisania listów, za sekretarza, nie tylko piórem ale i konceptem. Opinia powiatowa mianowała ją wyrocznią dobrego gustu, któryto tytuł zawdzięczała pięknym kwiatkom w doniczkach i w kląbikach zdobiących dziedziniec, i przeistoczeniu starego sadu, poprzerzynanego, grzędami buraków, marchwi, ogórków, w ładny ogród angielski z kląbami i trawnikami. Co ważniejsza, że dokonała tych czarodziejskich przemian małymi środkami; gdyż Chorąży nie tylko nie wydał ani grosza, ale robił jej trudności w dostaniu robotników za pańszczyznę. Przyjął wprawdzie ogrodnika, lecz był to właściwie ogrodniczek, który bardzo mało kosztował, bo i mało umiał; z czasem jednak pod kierunkiem Chorążyny nauczył się czegoś, i był jej wielce pomocnym w upiększeniu tego wiejskiego siedliska, dla którego natura wcale nie okazała się skąpą.

Dworzec państwa Chorąztwa leżał bardzo romantycznie. Śród dość smutnej, piaszczystej okolicy, wznosiło się wzgórze uwieńczone sporym szmatem sosnowego boru; na tle tych wysoko piennych sosien, pomieszanych z grabami, rysował się biały, staroświeckiej struktury, o wysokiem dachu drewniany dwór z gankiem na czterech słupach i piąterkiem; w tyle dworca był sad, a raczej ogród angielski, który prawie łączył się z lasem. Do dziedzińcowej bramy z gontowym daszkiem i furtką, wiodła od spodu wzgórza dość stromego, piękna ulica starych lip i kasztanów, która dzisiejszego archeologa zarazby naprowadziła na domysł, że ją sadziła albo królowa Bona, albo Sobieski. Zdaje się jednak że zasługę tę możnaby ostatniemu przypisać, z powodu, że dobra te istotnie należały kiedyś do większego kompleksu dóbr Sobieskich. Zapewne i dworzec się-

gał owych czasów, jako zbudowany na większą skalę i z modrzewiu. Obszerny dziedziniec zawdzięczał Chorążynie tę szeroką wyrównaną drogę, która okrążała piękny kobierzec trawnika, mający rozłożystą lipę pośrodku, a po brzegach kląbiki z róż, piwonii, malw, goździków, stokrótek i astrów. Wkoło domu było kilka lip i rozłożystych kasztanów, bardzo starych, a mnóstwo bzów tworzących to klomby to cieniste chodniki rozbiegało się ku oficynom, stajniom, gumnom, służąc za środek połączenia ich z główną rezydencyą, zanurzoną w tym bukiecie zieloności. Szczególniej w maju kiedy bzy zakwitły na biało i na fioletowo, powietrze tak było przejęte temi zapachami, a słowiki takie wycinały kuranty, że ten skromny szlachecki dworzec wydawał ci się być siedliskiem jakiej wróżki lub zaklętej królewny. Niemożna sobie wystawić nic przyjemniejszego nadto gniazdko założone na górze pod opieką lasu, którego szum miał coś tak głęboko melancholicznego, jak szum oceanu. W okolicy siedzieli dziedzice na daleko większych majątkach, a dworce ich choć kosztownie zbudowane w pretensyonalnym stylu pałacowym, wydawały się zimną i suchą prozą, okok tej poezyi jaką Chorążyna ozdobiła swoje mieszkanko. Gość wstępujący poraz pierwszy w jej progi, czuł się pod wpływem dziwnego uroku, i każdy niemal powtarzał: jak tu pięknie! jak dobrze! a jaki ztąd widok! Ktoby się spodziewał znaleść w tej pustyni piasków i kamieni, taką oazę! — Był to w części sekret Chorążyny, która umiała dzieła ręki ludzkiej, najczęściej szpetne, chować pod wyroby natury zawsze prawie piękne. Dzikiem winem, kolorowemi powojami osłaniając liche klitki, lub gołe ściany budynków gospodarskich, tworzyła małym kosztem uroczy pejzaż.

Sprzęty w pokojach nie były wykwintne, owszem bardzo proste, bo i ściany bielone; ale ustawienie ich i obfitość wazonów z kwiatami i drzewami poumieszczanemi stosownie; duże źwierciadło zawieszone tak że odbijało szeroki widok na okolicę, albo też różnobarwny kląb kwiatów rosnących pod oknem, wszystko to miało wdzięk elegancyi przy wielkiej prostocie. Obok gabinecik pani, gdzie przyjmowała bliższe sercu osoby, był obity perkalikiem w drobne paski, a innych mebli nie było prócz niskiej sofy biegnęcej dokoła ścian i starego wykładanego kolorowem drzewem kantorka. Tam ona lubiła chro-

nić się jeżeli pisała list lub czytała książkę, lub chciała być samotną, aby rozmyślać lub marzyć. Zdaje się jednak że to ostatnie zaprzątało jej główkę coraz częściej, im więcej liczyła rocznic małżeńskiego pożycia. Usposobienia bywają tak dziwne, tak kapryśne, szczególniej u kobiet, że największa pomyślność powtarzająca się co dzień w jednej formie, która dla oczu ludzkich wydaje się doskonałem szczęściem, przyprawia je o wewnętrzną chorobę: czyli, że stan ich duszy i serca, staje się podobny do stojącej wody; również psującej się w ciągle dogrzewającem słońcu. Pewnym temperamentom potrzeba koniecznie wrażeń, wstrząśnień, burzy, jak stojącej wodzie, aby nie została bagnem, potrzeba biegnącego strumienia, nawałnicy, aby odświeżyło się i nie truło powietrza. — Wszakże eksperyment ten zrobiony z jeziorkiem, zarosłem pokrzywką, mającem marmurową powierzchnię, która nie odbija ani nieba, ani nadbrzeżnych zarośli, jeśli chcesz uda się zawsze; ale podobny eksperyment zastosowany do serca trawionego nudą, do duszy skarżącej się na próżnię, na czczość wewnętrzną, udaje się tylko na chwilę, wywołana burza odświeży, lecz i zdruzgocze egzystencyę. Żywy temperament Chorążyny podlegał czasami napadom tej, jak ją zwano jeszcze nie czarnej, lecz szarej melancholii, przypadała bowiem na nią jak raz o szarej godzinie, w smętną porę jesienną lub zimową, kiedy mąż jej w drugim pokoju wydawał ekonomowi jutrzejszą dyspozycyę, pisarza łajał, a karbowemu i polowym po dziesięć razy jedno powtarzał, jakby chciał klinem tępe mózgi otworzyć. Powtarzało się to regularnie przez cały Boży rok, z wyjątkiem kiedy samego Pana nie było w domu, gdyż w ten czas obowiązek ten spadał na żonę, która stosując się do dyspozycyi ogólnej, zostawinnej przez męża, zastępowała go, odbywając te czynności więcej sumarycznie niż szczegółowo. Zwykła ta sesya z ministrami różnych wydziałów agronomicznych przeciągła się do chwili, kiedy Fedor wyprostowany i poważny ukazywał się we drzwiach i wnosił dwie świece łojowe domowej roboty. W owe czasy świece i mydło robiły się w domu, w sposób maczany; odlewanie należało do rzędu wyższej sztuki. Jarzące świece występowały tylko przy znaczniejszych gościach, lecz i tych nie kupowano, tylko robiono zamianę z kupcem, za kręgi wosku zebrane z pasiek. Na głos Fedora, mającego

zwyczaj z wnoszonem światłem kłaniać się i mówić: „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus,“ wynosił się ekonom i cała podrzędna czereda, a chorążyna wychodziła ze swego budoaru, bo już i dzieci wbiegły ze śmiechem i krzykiem, objuczone swemi zabawkami, które zaczęły rozkładać po krzesłach i kanapach. Chorążyna zasiadała przy stoliku i jeżeli nie haftowała na kanwie, to ciągnęła pasyansa. Chorąży zwykle przypominał sobie jaki zapomniany artykuł w jutrzejszej dyspozycyi i kazał wołać to ekonoma, to karbowego, to pisarza, a te dodatkowe admonicye, zajmowały mu czas, do powtórnego zjawienia się Fedora, który uroczyście ogłaszał: „proszę państwa do kolacyi.“

Kolacya składała się z dwóch półmisków, a jeżeli się gość trafił, to z trzech i więcej; herbaty wcale nie używano, dopiero później wprowadziła ją Chorążyna, i wielce w niej smakowała, chociaż w sąsiedztwie obmawiano ją że piję ciepłą wodę. Około czwartej po południu, między obiadem a wieczerzą pito kawę z sucharkami, posypanemi cukrem i cynamonem, podobnież i z rana, ale to nie wystarczało, bo chociaż obiad dawano między dwunastą a pierwszą, szła jeszcze pierwej przekąska z wódką, w której najwięcej uczestniczył sam Chorąży, wracający z objażdżki konnej po folwarkach. Pani i dzieci przestawały na pierniczkach, śliwkach na rożenkach, lub w miodzie smarzonych gruszkach.

Są i dziś okolice gdzie taki tryb życia jest jeszcze w zachowaniu, lecz w innych od lat trzydziestu zaszły ogromne zmiany; w domu już nic się nie fabrykuje, wszystkiego dostarcza sklep korzenny z pobliskiego miasteczka; modniarka odziewa panią i panny; krawiec stołeczny pana i synków, obówie często przychodzi z zagranicy. Niebędąc bezwzględnym chwalcą tego, co już minęło, a nie wróci, mam jednak to przekonanie, że ówczesna spółeczność lepiej pojmowała swoje położenie niż dzisiejsza, która łakomie przyswajając sobie materyalne wykwinty cywilizacyi obcej, zatraciła obyczaj ziemiański, a przyjęła modę miastową. Szlachcic mieszkający dziś na wsi żyje nie na swój, lecz na mieszczański sposób; kiedy w epoce o której mówię, zachowywano obyczaj ziemiański, poprzestając na tem co wieś dostarczyć mogła. Do miasta nawet miano pewną odrazę i źle wróżono o tym, kto je często nawiedzał. „Siedzieć na bruku“ było wyrażenie malujące opłakany stan majątkowy.

„Państwo w mieście siedzą, a majątek djabli biorą." miano to przekonanie, że w mieście tylko się wydaje a nie zbiera. Lubo Chorążyna miała nieraz ochotę przewietrzyć się w stolicy, ale Chorąży umiał jej wyperswadować, że to pociągnie za sobą wielkie wydatki; jakoż w pierwszych latach małżeńskiego pożycia nie myślała o tem, dopiero gdy chłopak zaczął podrastać często natrącała o potrzebie szukania guwernera. W ogóle obyczaj staroświecki utrzymywał się w ich domu; w okolicy też dawano ich nie raz za przykład rządności i uprzejmego zachowania się w stósunkach sąsiedzkich. Najostrzejsze języki, a tych nigdy po parafiach nie braknie, nie znachodziły nic, coby dało materyę do obmowy domu państwa Chorąztwa, bo jeżeli chciał kto koniecznie o nich eo powiedzieć, to żartował sobie z otyłości Chorążego, a samą Chorążynę pomawiał o maniery wielkiej damy, osobliwie gdy wypudrowany Fedor podczas nabożeństwa u fary, podawał jej książkę do nabożeńswa, lub w mrozy futrzanym workiem otulał nogi, kawalerowie zaś dobre mający o sobie rozumienie, zarzucali jej, że na zbyt chce imponować swoją wymuszoną grzecznością i dowcipem przez co trzyma ich w respekcie, choć wdziękami przyciąga.

Dom Chorąstwa był mimo tego, a może i dla tego, dość gęsto nawiedzany, przez bliższych sąsiadów, szczególniej w niedziele i święta. Oni nawzajem skrupulatni byli w oddawaniu wizyt — wszystkie te jednak attencye niepociągały za sobą sciślejszego zaprzyjaźnienia się. Grzeczność, wzajemne przysługi, pomoce obywatelskie w przypadkach ognia lub gradobicia, pożyczki nawet pieniężne, nie prowadziły jeszcze do tej serdecznej poufałości przed którą wszystko się otwiera i dom i serce. Chorąży pod tym względem byłby łatwiejszy, jako niegdyś wojskowy, przywykły do kamraderyi wojskowej, i do serdecznych wynurzeń się przy kielichu — ale przekonawszy się, że jego *magnifika* nie bardzo smakuje w ciężkich lub śmiesznych figurach mieszkających w sąsiedztwie, trzymał się z nimi na stopie ceremonialnej. Ona zachowywała tę samę taktykę z kobietami, które lubo wszystko robiły, aby wejść z nią w poufalszy stosunek, nie mogły jednak tego dokazać. Chorążynę raziła ich ordynaryjność, która pod pokrywką dobroduszności, niemiłosiernie lubiła szarpać cudzą sławę. W braku funduszu do rozmowy bawiono się obmową: ta to zrobiła, ta

owo; ta kłóci się z mężem, a tej córeczka pokochała się w pisarzu prowentowym; ta pani prowadzi intrygę z kawalerem który konno pod ogród przyjeżdża; schadzka w pasiece, a pan małżonek spi na zabój. Chorążyna słuchała tych plotek, jednem uchem, a puszczała drugiem, czasem się śmiała, czasem rumieniła. W odwet za tyle sekretów, spodziewano się wciągnąć ją w to zaklęte koło, i na zwierzenie się wywabić; ale podstęp nie udawał się, nawet kiedy jedna z tych kumoszek, najbardziej pragnąca zdobyć zaufanie Chorążyny, zaczęła jej robić zwierzenie się ze swojej słabości dla porucznika od szaserów, stojącego na kwaterze w pobliskim miasteczku. Spodziewała się ona, że robiąc to wyznanie wiary, a właściwie niewiary, zyska przez to wzajemność, i tem zaklęciem otworzy Sezam; ale Sezam Chorążyny nie otworzył się. — Te wszystkie komeraże nudziły ją w gruncie, i dla tego przez dziesiątek lat pożycia z temi sąsiadkami, nie przekroczyła granicy ceremonialnej, którą sobie była zakreśliła zaraz od początku poznania się z niemi. Trafny instynkt kobiecy ostrzegł ją na wstępie, że można je znosić, ale im serca swego nie otwierać. Nieprzebaczyła jej przecież tej skrytości owa ciekawa sąsiadka, bo wkrótce potem w kole obmową trudniących się kumoszek, wydała taki wyrok o Chorążynie: Świętoszka! nie chciała mi się przyznać; ale ja znam się na takich niewiniątkach, i prędzej później dowiemy się o jakim romansie, nie będzie to jednak kaprys przemijający, lecz wybuch który wszystko rozsadzi. Wierzcie mi państwo, Chorążyna to wulkan pod popiołem.

— Być może — odezwał się któryś z obecnych tej mowie kawalerów, jednakże Chorąży krótko ją trzyma, a dotąd nie słychać żeby miały być jakie kwasy między małżeństwem.

— Przyjdzie to przyjdzie — wtrąciła owa jejmość — pamiętaj pan na przysłowie: cicha woda brzegi rwie.

Widzimy z tej rozmowy, jaka opinia panowała w okolicy o charakterze Chorążyny. Nie darmo też biedaczka skarżyła się często, że nie ma z kim żyć, bo nie ma komu serca otworzyć.

Przesiadywał wprawdzie w ich domu stary pan sędzia, jak go tytułowano. Był to wdowiec, sęsat, niegdyś palestrant lubelski, który wydawszy za mąż dwie córki, rozdzielił między nie skromny swój majątczek, a sobie zostawił tylko stare

konexye, i jakiś bardzo zawikłany proces. Ponieważ żył niegdyś w ścisłej przyjaźni z ojcem Chorążyny, a ją dzieckiem na ręku nosił, więc od córki i jej męża, bywał chętnie widziany i nie raz przesiedział u nich po kilka tygodni. Przyjazd jego ożywiał regularną ciszę domową. Chorąży grywał z nim w warcaby, lub maryasza; Chorążyna lubiła słuchać jak opowiadał o majątkach Radziwiłłowskich na Litwie i o masie Prota Potockiego; znał bowiem na palcach nietylko różne sprawy, ale i wszystkie familijne koligacye wielkich domów. Nazywała go też genealogią chodzącą. Pan sędzia jednak rozrywał ją tylko, uprzyjemniał długie godziny wieczorów zimowych; często dobrą dał radę, ale nie zaspokajał pragnień jej serca, które czegoś szukało, zaczemeś tęskniło, a nie umiało sobie zdać sprawy.

Pewnego zimowego wieczora, konny posłaniec stanął przed gankiem i oddał list Fedorowi, który wyszedł na jego spotkanie. Wkrótce Fedor poważny zawsze, wszedł do pokoju i złożył list w ręce pani:

— A to z kąd? zapytała.

— Od państwa Szambelaństwa z Przedborza, odrzekł Fedor, posłaniec mówi, że cały dzień jechał, bo tam ma być tęgich pięć czy sześć mil. Czy kazać mu konia wziąść do stajni?

— Ma się rozumieć — odrzekła żywo Chorążyna, pamiętać o nim i o koniu, i rozdarła prędko kopertę, a rzuciwszy okiem na podpis, wykrzyknęła:

— To od Izabelki. Mężu! Izabelka przyjechała z Warszawy, bawi u Szambelaństwa i do nas się obiecuje.

— Rad jej będę — odrzekł z drugiego pokoju Chorąży, ubawi nas swojem szczebiotaniem.

— Biedaczka! ciągnęła dalej Chorążyna — pisze mi, że miała bardzo przykre przejście, bo się rozwiodła z mężem.

— A ja ci zawsze mówiłem że to trzpiot, chociaż trzpiot przyjemny.

— Powiedz raczej złote serce, umysł wzniosły; znam ją od lat najmłodszych, wychowywałyśmy się na pensyi u pani Bilbocquet i jestem tego pewną, że musiała trafić na człowieka, który ją pojmować nie umiał, a może i tyranizował. Biedna Izabelka!

— Fedor! Fedor! zawołała pani — posłaniec niech czeka do jutra na odpis. Muszę jej zaraz odpisać i zaprosić, abyśmy się o wszystkiem nagadały.

Gdy świece przyniesiono, zabrała się chorążyna do pisania. W pokoju była taka cisza, że tylko usłyszałeś skrzyp pióra latającego po ćwiartce papieru.

Przez cały ten wieczór Chorążyna dostała rumieńców i była nadzwyczaj ożywioną; rozmowa toczyła się tylko o Izabelce, która, zdaniem jej, nie miała sobie równej pod względem elegancyi, dowcipu, humoru i dobroci serca. Chorąży przyprawdzał żonie, porwany jej wesołem usposobieniem, ale w duchu myślał sobie: to trzpiot; rozwiodła się, jeszcze mi żonę popsuje.

Chorążyna przez całą noc śniła tylko o Izabelce, a nawet przez sen wołała ją po imieniu, czem obudziła męża, który miał oczywisty dowód, jak mocne na niej wrażenie sprawiła wiadomość o przybyciu młodych lat przyjaciółki. Nim więc nanowo zachrapał, rzekł w duchu: kiedy się tak ucieszyła, trzeba jej w tem dogodzić i posłać po Izabelkę konie. Przewróci ona tu wszystko do góry nogami, ale wesoła i gadatliwa, ożywi nam długie wieczory. Wziąwszy to postanowienie mające kolor kawalerskiej galanteryi względem żony, a przypominające mu piękne chwile przed ślubem i po ślubie, uczuł się zadowolonym sam z siebie, i napowrót usnął snem błogosławionym szczęśliwego małżonka.

Nazajutrz rano, kiedy się zbudzili małżonkowie, pierwszy odezwał się Chorąży:

— Czy wiesz moja Julisiu, co mi przyszło do głowy?

— Cóż takiego? — zapytała obojętnie, choć nie bez wewnętrznej obawy, że usłyszy jakiś argument, który jej plany pomiesza.

— Oto, przyszło mi do głowy, czy nie wypadałoby tobie samej pojechać i przywieźć tu Izabelkę, a za jednym zachodem zrobi się atencya Szambelaństwu, którzy choć liczą się do dalszego sąsiedztwa, zawsze dla nas są bardzo grzeczni.

— Dziękuję ci kochany Jasiu! — rzekła Chorążyn i pocałowała go w czoło — odgadłeś moją myśl. Pojadę i przywiozę tu Izabelkę, ale wprzód muszę urządzić dla niej pokoik ten, co przy gabinecie; bo ona, jak wiesz, lubi wygódki.

— Rób, jak ci się podoba, moja duszko; tylko mi koni nie zmęcz i nie daj furmanowi znarowić. Trzeba im dać wytchnąć na pół drogi, bo to opętanych pięć mil.

Na tem się urwała rozmowa.

Chorążyna, która umiała często stworzyć coś z niczego, zaraz po kawie zabrała się przy pomocy Fedora i garderobiany do uprzątnięcia i umeblowania pokoiku przeznaczonego dla oczekiwanej przyjaciółki. W parę godzin wcale powabne urządziła gniazdeczko, niby skromny budoarzyk elegantki. Pełno było tam kwiatów; blizko okna stanęła jej wyprawna gotowalnia, a bielone ściany pokryły się staremi makatami w kwiaty przerabiane złotem. Na prostej dobrze wymytej podłodze rozciągnięto duży kobierzec.

Na tych przygotowaniach zeszedł cały dzień; wieczór wydał Chorąży dyspozycyę, żeby do dużej karety na saniach gotowa była czwórka siwoszów, bo pani wcześnie wyjedzie, aby nie zarwać nocy.

Chorążyna ze swojej strony kazała przynieść walizę i układała w niej suknie i inne toaletowe przybory; ogromny zaś tłomok miał pościel pomieścić, z czem uporał się nazajutrz Fedor przy pomocy tęgiego parobka ze stajni: jeden gniiótł tłomok kolanami, drugi zapinał rzemienie.

Przed ganek zajechała kareta. Furman trzasnął parę razy z bicza, siwosze wierżgły i pozaszłapywały; ale że już były cokolwiek ujeżdżone, zachowały się spokojnie. Sam pan z lulką w ustach, dzieci i domownicy w ganku żegnali się z odjeżdżającą, która wydawała ostatnie polecenia.

— A tam na grobli koło młyna — wołał Chorąży do furmana — jechać noga za nogą, żeby się konie nie spłoszyły. A koce do nakrycia wziąłeś?

— Zapomniałem, proszę pana....

— A o czemże to pamiętasz, próżniaku! ciemięgo!...

— Jasiek! biegaj do masztarni po koce — wołał furman.

W tej chwili pani siedząca już w saniach opatrzyła się, że zapomniała torebki podróżnej.

— Gdzie moja torebka?...

— Szukać torebki!

Niebawem z pokoju przyniesiono torebkę, a Jasiek ze stajni zadyszany biegł z kocami.

Kiedy już niczego nie brakowało, rozległ się trzask bicza, z pod kopyt wyleciało kilkanaście grudek śniegu, i kareta wjechawszy w bramę, spuściła się z góry....

Chorąży stał jakiś czas na ganku, patrząc za odjeżdżającą; potem wszedł do bawialnego pokoju, gdzie służące zbierały porozrzucane rzeczy.

— A to co za kluczyki? — pytał, wskazując na kanapę.

— Ach to kluczyki od walizy i od szkatułki; pani je zapomniała — odrzekła pokojówka.

— A to nieszczęście z temi kobietami! — zawołał Chorąży — zawsze coś muszą zapomnieć!... Wołać mi Jaśka! — i nie czekając na spełnienie rozkazu, wyszedł na ganek i krzyknął donośnym głosem: Jasiek!

Głos dobiegł do stajni, i Jasiek ukazał się zdaleka.

— Siadaj oklep na ogiera! i oddaj pani te kluczyki.

Chorąży po odjeździe żony nudził sobą, łaził z kąta w kąt, gderał na sługi, a dzieci przywoływał do siebie i pieścił się z niemi. Po obiedzie nie zasiadł w swojem krześle, gdzie zwykle siadywał; lecz się przeniósł do gabineciku żony, i tam zaprosiwszy guwernera, który był przy Tadziu, grał z nim w warcaby, a co szczególniejsza, że lulki nie palił, ażeby ulubiony pokoik Julisi nie przesiąkł tytoniem. Przy wieczerzy o niczem nie mówił, tylko o tem, czy żona dobrze zajechała; obawiał się bowiem o sannę, która w tamtych stronach, bardzo odkrytych, zwykle niedługo trzyma. Pogadawszy jeszcze trochę z pedagogiem, niemającym daru prowadzenia ożywionej rozmowy, wcześnie spać się położył, uważając sen za jedyne lekarstwo w każdem zmartwieniu.

Wcale inaczej spędziła ten wieczór Chorążyna. Zajechawszy dość wcześnie, bo dopiero szambelaństwo siadać mieli do stołu, znalazła ukochaną Izabelkę prawie niezmienioną, chociaż jej nie widziała od siedmiu czy ośmiu lat. Wyglądała jak róża kwitnąca; płeć miała ćmięcej białości przy ciemnych lśniących włosach, czarnem dużem oku i pięknie narysowanych brwiach. Usta pełne i świeże jak tylko co zerwana wiśnia, dołek na bródce istne siedlisko amorków, robiły z niej prawdziwą boginię roskoszy.

Przyjaciółki padły sobie w objęcia i nie mogły się z sobą nacieszyć.

Po wstępnych ceremoniach i ceremonialnym obiedzie, który trwał parę godzin, obie czatowały na sposobność znalezienia się na osobności.

Szczęściem nadjechali jacyś państwo z sąsiedztwa, których bawieniem zajęli się oboje szambelaństwo, a to pozwoliło dwom przyjaciołkom wynieść się do osobnego pokoju, i tam puścić wolne cugle tysiącznym zapytaniom i zwierzeniom się.

— A więc ty, droga Izabelko — rzekła Chorążyna — rozwiodłaś się z mężem?

— Cóż miałam lepszego zrobić? Z takim liczykrupą, mantyką, a na dobitek zazdrośnikiem, żyć było niepodobna. Dziwię się sama, jak mogłam wytrzymać z nim lat cztery.

— A ja myślałam, że do rozwodowego procesu potrzeba ważniejszych zarzutów? — zapytała Chorążyna naiwnie.

— Jeszczeż ci mało? moja droga! kiedy to jest, reszta się znajdzie. Z tyranem żyć niepodobna.

— Więc on cię tyranizował?...

— Jak jeszcze! wyobraź sobie, że ten potwór zamykał drzwi przed najdystyngowańszą młodzieżą, a szczególniej przed wojskowymi, którzy są kwiatem galanteryi. Alem mu też spłatała figla. Umówiliśmy się z Olesiem, wiesz, tym ładnym adjutantem księcia Józefa, żeby się przebrać i pójść na redutę. Tam intrygowaliśmy całą salę, że wszyscy w głowę zachodzili. Znalazł się tam i mój pan małżonek, który nie dla zabawy, ale z pilnym interesem przyszedł szukać sekretarza ministra; napadliśmy nań, a ja szczególniej wzięłam go w obroty. Nagadałam mu takich rzeczy, że się złapał aż za głowę, i nie wiem jaki zły duch szepnął mu, że to ja jestem. Nie zdradził się jednak, i prosto wrócił do domu. Panna moja wyprawna, a do mnie przywiązana, za nic nie chciała go wpuścić do mego pokoju, powiadając, że mam mocną migrenę; ale ten brutal odepchnął ją i drzwi wysadził.... Za moim powrotem zrobił mi taką scenę, że nie było sposobu, jak pójść do rozwodu.... Poczciwy Oleś nastręczył mi doskonałego adwokata, który już wygrał kilkadziesiąt rozwodowych procesów.... To jego specyalność.... prawda, że każe sobie dobrze płacić, ale zawsze rozwiedzie.... Powiedziałam ci wszystko moja Julisiu, i jeszcze nie jedno mogłabym dodać....

Tu nachyliła się do ucha przyjaciółki i mówiła pocichu. Zapewne był to jakiś tajemny zarzut przeciw exmałżonkowi, bo Chorążyna spłonęła mocnym rumieńcem... i westchnęła....

— A tobież jak się powodzi? — mówiła Izabelka, patrząc jej w oczy — czy twój Jaś nie tyranizuje cię? przyznaj się....

— Chcesz rzeczy nadzwyczajnych! — rzekła Chorążyna z uśmiechem — któryż mąż nie przywłaszcza sobie prawa nad nami? Z tem wszystkiem nie mogę się skarżyć na niego.

Czy uwierzysz Izabelko, że widząc, jak mię ucieszył twój list i twoje zbliżenie się w nasze strony, sam zrobił mi propozycyę złożenia wizyty szambelaństwu, i zabrania ciebie. Ta delikatność z jego strony bardzo mię ujęła. Zabieram cię więc ze sobą i nie puszczę, dopóki się nie znudzisz z nami.

— Poczciwy Chorąży! Mój tyran nigdyby się nie zdobył na coś podobnego. Co zaś do wyjazdu z tobą, pojechałabym bez namysłu, bo tu się nudzę na zabój; ale nie chciałabym urazić ciotki szambelanowej.

— Tylko się ty nie opieraj, a ja już nadrobię z ciotką i wujem.

W ciągu tej rozmowy ukazała się w bocznych drzwiach, prowadzących z korytarza, upudrowana głowa Fedora.

— A toż co za oryginał? — zawołała Izabelka.

— To mój służący — odrzekła Chorążyna — a powstawszy z kanapy, podeszła ku niemu, zapytując: Co powiesz Fedorze?

— Konie nasze i sanie odprawiono do karczmy — odrzekł Fedor — bo tu taki jest zwyczaj. Trzeba żeby pani nam dała na owies i siano, i dla nas strawne....

Pani wyjęła z sakiewki kilka złotych i wręczyła je Fedorowi, który pokłonił się i odszedł.

— A wiesz co — mówiła Izabelka — że ten twój Fedor robiłby wyborną figurę w stolicy. Ma minę sługi wielkiego domu. Tylko trzeba go przebrać we frak starym krojem, w pończochy i trzewiki.... Żebym mieszkała w Warszawie, odmówiłabym ci tego oryginała.

— To prawdziwy skarb, ten człowiek — rzekła Chorążyna — śmieją się z jego upudrowanej łysiny, ale on tak przywiązał się do nas, że inaczej nie mówi, tylko: gospo-

darstwo nasze, konie nasze, dzieci nasze, i w rzeczy samej wszystko go tak obchodzi, jakby należał do rodziny.

— Moja Julisiu — rzekła Izabelka, odwracając rozmowę do innego przedmiotu — od której modniarki masz ten śliczny czypeczek, w którym ci tak do twarzy?

— Chyba żartujesz z parafianki — odparła — czypeczek ten domowej roboty, moim konceptem.

— Powiadam ci, że prześliczny!

— Cieszy mię ta pochwała z ust takiej jak ty elegantki... Ale gdzież mnie parafiance równać się z tobą....

— Nie egzageruj! ta suknia wcale dobrze leży na tobie, tylko krój niemodny, powinna być więcej wycięta; i takich długich rękawów nikt nie nosi. Teraz wszystko do gorsu i krótkie rękawki, a ty masz, jak dobrze pamiętam, ładny gors i jak utoczone ramiona. Co Pan Bóg dał, tego nie trzeba zakrywać.... Jak będę u ciebie, zrobimy reformę w twojej garderobie. Najpierw musimy trzewiki sprowadzić z Warszawy. Teraz płytkie noszą, bardzo płytkie z kokardą, patrz, takie jak moje.

Tu wysunęła cudną nóżkę ujętą w atłasowy czarny płytki trzewiczek i białą jak śnieg pończoszkę, która rysowała kształty pobudzające wyobraźnię do dokończenia rysunku gubiącego się w fałdach sukni, i dodała z kokieteryą: Ładna nóżka, to wielka armia, przed którą każdy broń składa....

— Ale armią powinien dowodzić taki jak ty Napoleon — rzekła śmiejąc się Chorążyna.

— Było to kiedyś; ale dziś jestem Napoleonem w rejteradzie....

Z drugiego pokoju doszedł ich brzęk filiżanek.

— Chodźmy do naszej kompanii, tam już podają kawę — rzekła Izabelka, biorąc Chorążynę pod ramię.

Nazajutrz przy śniadaniu, Chorążyna przysiadłszy się do Szambelanowej, nakręcała rozmowę do swojego projektu zabrania Izabelki. Zrazu drożyła się ciotka, powiadając, że po długiem niewidzeniu się przykroby jej było rozstawać się tak prędko z ukochaną siostrzenicą, ale w końcu dała się ubłagać, w duchu może i rada z pozbycia się roztrzepanej rozwódki; dom bowiem szambelaństwa słynął z systematyczności, wszystko tam było wyrachowane na minutę, a właśnie nagły przyjazd Izabelki pomięszał ów wzorowy ale i nudny

porządek; odkąd bowiem przybyła, obiad się spaźniał o jakie pół godziny, z powodu że Izabelka robiła toaletę, co Szambelana niezmiernie irytowało; wieczorne posiedzenia cokolwiek ożywione szczebiotaniem elegantki warszawskiej, przeciągały się do północy, a zatem o całe dwie godziny nad przyjętą regułę, skutkiem czego Szambelanowa skarżyła się na migrenę, a Szambelan na nerwy.

— Tylko nie siedź tam długo! moja Izabelciu! — mówiła ciotka przy pożegnaniu.

— O egoizm nikt nas nie posądzi — dodał Szambelan, zwracając się do Chorążyny — pozbawiamy się naszej najmilszej przyjemności, aby się z kochaną sąsiadką podzielić.

Rącza czwórka dobrze przed wieczorem stanęła przed gankiem państwa Chorąztwa. Dzieci naprzód wybiegły, a w ślad za niemi ukazała się otyła postać Chorążego bez lulki na długim cybuchu, co było oznaką wielkiej galanteryi dla pięknej Warszawianki, którą się spodziewał powitać.

Fedor otworzył drzwiczki i wyszła z nich Chorążyna, do której rzuciły się dzieci; Izabelka jednym susem była na wschodach i podała Chorążemu obie ręce.

— Kochany panie Janie! nie umiem ci dość podziękować za to, żeś mi przysłał Julisię.

Chorąży całował ją w pulchne rączki i mówił, wpatrując się: Pani nic a nic nie zmieniłaś się od tamtego czasu, piękna jak zawsze, tylko nabrałaś tuszy....

— Już to nam obojgu powietrze służy, bo i ciebie nieuroku przybyło wdwójnasób.

I powiedziawszy to, podała mu rękę; a kiedy wchodzili do bawialnego pokoju, Chorąży puścił ją naprzód, a sam przez wązkie drzwi bokiem się wsunął, z czego ona zaczęła się śmiać i żartować.

— Pamiętasz panie Janie, jakeśmy zapamiętale walcowali ze sobą na balu u prefekta... przekonam się, czy nie zapomniałeś?...

I zaczęła kręcić się z nim po pokoju. Chorąży dobywał wszystkich sił żeby dotrzymać tanecznicy, i rzeczywiście dobrze się sprawił, bo otrzymał od niej pochwałę, że „lekki jak piórko;“ co nie przeszkadzało, że zasapane piórko całym ciężarem rzuciło się na kanapę, powtarzając: „Niepoprawny trzpiot

z pani, żeby mię, poważnego ojca dzieciom, wyciągać na te prysiudy.“ Ale Izabelka już była czem innem zajęta; porywała dzieci całowała je, otworzyła fortepian i zabrzdąkała na nim, aryą z jakiejś opery; biegała po pokojach, wpadła do garderoby, gdzie zrobiła znajomość z fraucymerem; zaczepiła Fedora zajadającego coś w kredensie; zajrzała nawet do pokoiku pedagoga, który był w szlafroku, a ujrzawszy tak elegancką damę, schował się za kontorek zaczerwieniony po same uszy. Słowem zajrzała w każdy kącik, i znowu jak bomba wpadła do salonu w towarzystwie dwóch kundlów dziedzińcowych. których także skokietowała.

Wieczór przeszedł wesoło. Chorąży w godzinie zwykłych dyspozycyi ekonomicznych, wyniósł się na drugą stronę, do jadalnej izby, i tam swoją radę państwa prędko zagaił i rozwiązał, co tak ekonom jak jego pomocnicy, uważali za ósmy. cud świata, chociaż nic nie wiedzieli o siedmiu poprzednich Przed kolacyą siadła Izabelka z Chorążym do maryasza, i biła królem ze dwudziestu, chociaż dama była w ręku przeciwnika, co dało powód do sprzeczki, z której się wywinęła dowcipnie powiadając: ja jestem damą, a to król, więc wolno mi mówić ze dwudziestu! — Lubo Chorąży utrzymywał, że jak będzie miał damę bez króla, to i jemu to prawo służy, zbiła go jednak od razu: gdybyś był królem, natenczas musiałabym przystać.

Po kolacyi, przy której sypała anekdoty z warszawskiego bruku, takie zabawne, że chorąży aż się brał za boki od śmiechu, kazała chorążynie grać na fortepianie menueta, czy gawota i tańczyła *solo*, Chorąży bił brawo, a nawet zdumiały pedagog nie mógł oderwać oczu od nóżek, robiących w powietrzu i na podłodze takie fantastyczne ewolucye, że za nic kaligraficzne wykrętasy na kajetach małego Tadzia własną jego ręką kreślone.

Już zegar wydzwonił urzędową godzinę dziesiątą, służącą za hasło do spoczynku, ale nikt na to nie uważał, tak wszyscy byli rozruszani, dzieci tylko rozespane powynoszono. Wybiła jedynasta, i nikt jej nie słyszał, bo właśnie wtedy pani Izabella była w trakcie deklamowania jednej sceny z Barbary Radziwiłłównej Felińskiego, będącej niesłychaną nowością na prowincyi.

Po wzruszającej scenie deklamacyjnej, mrugnął chorąży na wchodzącego Fedora, który zajrzał do pokoju naocznie się przekonać co, za przyczyna, że państwo spać się nie kładą, ale gdy ten zbliżył się do niego, szepnął mu coś do ucha. Po krótkiej chwili wniósł Fedor tacę z butelką węgrzyna i kilką kieliszkami.

— Pozwoli pani wychylić jej zdrowie, rzekł chorący nalewając wino, i biorąc kielich do ręki — Wiwat pani Izabela!

— Kochany pan Chorąży! — zawołała Izabelka — W twoje ręce Julisiu i wychyliła kieliszek.

— Na Boga Iziu! — rzekła chorążyna, — co ty robisz! to takie mocne wino, głowa cię rozboli.

— O niebój się o mnie! w dobrej komitywie wypiję nieraz trzy i cztery kieliszki szampana i nic mi.

— Kiedy tak, to i ja sprobuję: Za twoje zdrowie! I pocałowawszy ją, przytknęła kieliszek do ust, a niedopiwszy i czwartej części, skrzywiła się.

— Trudno mi przełknąć; widać że nie mam wprawy.

— Przy mnie się nauczysz. Rozpoczynam twoją edukacyę.

Wytrawny węgrzyn zaszumiał jej w głowie i zaczęła śpiewać: „Pije Kuba do Jakuba“ — Chorąży podochocony wtórował potężnym głosem: „A kto nie wypije, tego we dwa kije — Łupu, cupu: łupu, cupu.“ Do chóru wmięszał się i cichy głos pedagoga, stojącego pod piecem i dopijającego drugi kieliszek.

W tem Chorążyna zawołała.

— Bałamuty, chodźcie już spać, bo dwunasta niebawem uderzy! i powstawszy wzięła pod rękę Izabelkę. Chorąży wziął ją pod drugą i sunął poloneza.

Pedagog kłaniał się z pod pieca i życząc dobranoc, rejterował w ciągłych ukłonach do swojej izdebki, gdzie do usnięcia wciąż mruczał, lub nucił:

Tecum vivere amem, tecum abeam libens.

I on, exseminarzysta czuł się oczarowany wdziękami Izabelki.

Takim trybem biegły dnie i wieczory w domu chorąztwa od przybycia wesołej warszawianki. Dodać tu jednak potrzeba, że kiedy chorąży siedział w stajni lub stał przy miarze zboża

sprzedanego kupcowi, lub lustrował fury naładowane nawozem, obie kobiety przeglądały swoje stroiki i inne fatałaszki, przerabiały je, komponowały nowe — a najczęściej zasiadłszy na sofie, z podwiniętemi nóżkami, które wówczas miano zwyczaj chować pod siebie — toczyły pogadankę po całych godzinach. Rzecz godna uwagi, że im nigdy materyi nie brakło; musiała ona być obfitą, i bardzo zajmującą kiedy nieraz przeciągała się do drugiej i trzeciej w nocy, a niekiedy tak się zaciekały, że parę razy przyjechał ktoś z wizytą, wszedł do pokoju, a one go nie widziały i nie słyszały, aż mocno zaczął suwać nogami i kaszlać, dopiero postrzegły. Fedor wzruszał często ramionami, i mówił do siebie: O czem te panie tak gadają, że człowiek nieraz ma potrzebę zapytać o co, lub prosić o klucze a one go nie słysą, i nie odpowiadają.

Pewnego dnia po obiedzie Chorąży wypoczywał przy kominku i palił lulkę; Chorążyna pisała jakiś list w interesie męża, którego była sekretarzem. Izabelka siedziała przy fortepianie wybierając jakąś melancholiczną dumkę.

— Czy wiesz co panie Janie — rzekła, wstając od fortepianu — że ty tym swoim gospodarowaniem i domatorstwem zabijesz biedną Julię....

— A! to dzika pretensya! zawołał Chorąży otwierając zdziwione oczy — a czyż to moja żona nie robi co jej się podoba?

— Powiedz raczej: tylko to robi co się tobie podoba...

— Bo tak być powinno w małżeństwie.

— Ależ to niesłychana tyrania! wszystkiego wymagać, a do wzajemności się nie poczuwać...

— Jak to do wzajemności? przecież ona tu jest panią; chce wyjechać? są konie na rozkazy; chce fioków? dostarczam pieniędzy; chce się zabawić? spraszam gości. Czegóż tu więcej potrzeba?

— Czego potrzeba? Oto trzeba wyleść z tej skorupy domatorstwa, w której siebie i ją zamknąłeś. Od czasu zamążpójścia, mówiła mi, żeś tylko jeden raz zawiózł ją na bal oficyalny, gdzie nawet nie mogła się wytańczyć, bo ją jakiś dragon nadeptał na samym wstępie... Nie pokazałeś jej ani Warszawy, w chwilach największej świetności, ani nawet zawiozłeś na karnawał do departamentowego miasta; ani do wód,

ani pozwoliłeś u siebie wyprawiać jaką fetę z tańcami... Czy chcesz zasuszyć ten kwiatek? Jeźli ci oto idzie, kochany panie Janie, to uschnie; już nawet usycha...

— Kto? Julisia usycha?!.... roi się Pani, wygląda doskonale i nigdy się nie skarży.

O! my kobiety umiemy cierpieć bez skargi, zawołała sentencyonalnie Izabelka, ale mąż, który kocha, umie czytać w sercu kobiety, odgaduje jej cierpienia.

— Cierpienia! cierpienia, powtarzał zachmurzony Chorąży, ale ktoby tam panią przedysputował! Róbcie sobie co wam się podoba, tylko mnie dajcie święty pokój!

— Spuść się tylko na mnie, kochany Panie Janie, Wyprawiemy taką fetę, że się i sam ubawisz i całe sąsiedztwo będzie miało nad czem się unosić.

— Fetę? jaką fetę? *in gratiam* czego?

— Toś już zapomiał? czuły z ciebie małżonek! przecież to za dwa tygodnie rocznica waszego ślubu.

— Wiem, wiem, no i cóż z tego!

— To z tego że sprosimy sąsiedztwo, i będziemy tańczyć a właśnie karnawał się kończy.

— Gdzie? tutaj tańczyć. Niemiała babka kłopotu.....

— Już niech cię o to głowa nie boli, wszystko tak się urządzi, zadysponuje, że tylko troszkę nadwerężysz swojej kieszeni.....

Wtem wszedł stajenny i stając we drzwiach rzekł: proszę pana, ogier nic nie chce jeść, i położył się.... a siwa klacz naręczna ochwacona.....

— O skaranie Boskie! zawołał Chorąży zrywając się i nasadzając baranią czapkę.

— Więc dajesz nam pozwolenie na tę fetę, wołała za odchodzącym Izabelka.

— Daję, daję, ciekawym tylko czem pojedziecie, kiedy się konie pochorowały....

— Zostaw to naszej głowie....

— Piękniebym wyszedł jak Zabłocki na mydle.

Izabelka wpadła do gabineciku, gdzie Chorążyna siedziała nad pisaniem listu.

— Nasza wygrana! Twój długo targował się, ale musiał ustąpić. Wyprawiemy bal, jakiego nie widziano w okolicy.

— Kochana moja adwokatko! słyszałam waszą rozmowę, ale zastanów się, że chcąc przyjąć tyle gości, trzeba się przygotować, bo czem chata bogata, nie wystarczy....

— Dziecko z ciebie, pojedziemy do miasta i nakupi się co potrzeba.....

— Ja tak lubię kupować, rzekła Chorążyna z śmiejącemi się oczyma, byle tylko Jaś chciał dać pieniędzy...

— Już ja z niego wytrzęsę....! zawołała Izabelka i okręciła się na jednej nodze. Ważniejsza rzecz plan sobie ułożyć. Bawialny pokój zamieni się w salon do tańca! białe ściany obciągniemy jakiem obiciem; w pokoju jadalnym będzie bufet. podłogę trzeba wywoskować, u sufitu zawiesić żyrandol, jeśli go nie masz, kupi się w mieście.... wszystko mam w głowie, ty się o nic nie turbuj. Jutro jedziemy.....

— Jutro? pamiętaj że to kilkanaście mil, w taką drogę, trzeba się przynajmniej z tydzień wybierać.

Cha! cha! cha! za dwa tygodnie ma być feta, a ty chcesz tydzień się wybierać, a drugi tydzień zabawić w drodze. Ach jakżeś ty zardzewiała moja Julisiu.

— Bo widzisz porządek domowy zaraz się psuje, ludzie się bałamucą, mówiła Chorążyna, broniąc się od zarzutu.

— I wy i cały dwór wasz nie umiecie nic robić prędko i stanowczo, moja droga! Trzeba raz pokazać że się ma swoją wolę. Jedziemy jutro, albo niejedziemy? wybieraj wóz i przewóz...

To powiedziawszy pani Izabela wzięła tasiemkę i zaczęła nią mierzyć wszerz i dłuż pokoje, przyczem notowała coś w pugilaresiku.....

Chorążyna przywołała do siebie pannę służącą i wydała jej rozkaz: Znieść walizę i tłomok.

— Pani wyjeżdża w drogę? zapytała ciekawie pokojówka.

— Wyjeżdżam.

— A mnie czy pani bierze?

— Zostaniesz.

Pokojówka odchodząc zamyśliła się nad tą odmianą, jaką u pani swojej postrzegła. Zawsze trudno ją było skłonić do jakiej decyzyi, a teraz tak prędko decyduje się. Och! to ta Warszawianka przerobiła ją na swoje kopyto.

(Dokończenie nastąpi).

O „NIEPOPRAWNYCH"

Juliusza Słowackiego.

Może to dziwnie mówić bez powodu o dziele, które ogłoszone od lat ośmiu, nowością dawno być przestało, a wielkiego zajęcia nie budziło nigdy, nawet kiedy było nowością. Nie mówiąc wiele, zgodzono się cichaczem na to, by je uważać za dziwne, jeżeli nie dziwaczne, i wyrzeczono nad *„Niepoprawnymi"* to fatalne *guarda e passa*, ten zabójczy wyrok obojętności, gorszej dla dzieł poetycznych od najsurowszej i namiętnej nagany. Od tego czasu nic też nie zaszło, coby oświeconej publiczności mogło było przypomnieć ten biedny dramat pogrzebany żywcem naprzód przez samego autora w rękopiśmie, potem przez nas w rzadko kiedy otwieranych tomikach jego pism pośmiertnych. Inne, *Beatrix Cenci* naprzykład, miały więcej szczęścia, dostały się na scenę, zwróciły na siebie uwagę; *Niepoprawni* dotąd w zapomnieniu. Dyrekcye teatrów wprawdzie odgrażają się od czasu do czasu, że sztukę tę przedstawią, ale zrażone trudnościami, zrażone błędami dzieła, które nie pozwalają liczyć na wielkie jego na scenie powodzenie, odstępują od zamiaru łatwiej niż go powzięły. Po cóż więc sprzeciwiać się temu wyrokowi i przypominać rzecz, o której się mówi z góry, że jest bardzo niedoskonałą? Kiedy sama na siebie uwagi zwrócić nie umiała, to żadna chęć ani usilność

już jej tej usługi oddać nie zdoła: galwanizować to co nie żyje, rzecz próżna.

A jeżeli pomimo wszystkich chorób są tam iskry życia? pomimo wszystkich błędów wielkie piękności? Jeżeli nasza obojętność, która przeszła pogardliwie koło *Niepoprawnych* i ledwie na nich z góry spojrzeć raczyła, nie dostrzegła tego, że choć tak niedoskonałe, są przecież zajmujące? że w ich „niesfornym składzie“ kryją się typy współczesne, pełne prawdy i zdrowej nauki, więcej nawet, że pod przybranemi nazwiskami, pod skromnemi pozorami, są tam wizerunki, a choćby tylko portrety humorystyczne wielkich prawdziwie historycznych postaci? Czy wtedy nie byłoby warto dramatu tego z uwagą przeczytać i zachować go w pamięci? A gdyby nawet i tak nie było, to zawsze są *Niepoprawni* dziełem wielkiego poety, jednem z niewielu dzieł ubogiego dramatu polskiego i z tego tytułu mają prawo, żeby o nich choć raz pomówić, choć raz ich osądzić. Dotąd, pomimo długiego przeciągu lat jeszcze im nikt tej sprawiedliwości nie wymierzył; niechże jej raz przecie stanie się zadość.

Jakiekolwiek są niedoskonałości *Niepoprawnych*, nie mamy prawa robić ztąd surowych zarzutów Słowackiemu, bo nie wiemy jakby był to swoje dzieło jeszcze odmienił i poprawił. Nie wydał je, zatem widocznie nie miał je sam za dość dobre do wydania, za zupełnie skończone i dojrzałe. Kto wie, czy to wszystko, co tam jest sprzecznego, rażącego, niewytłómaczonego, nie byłoby znikło pod ostatecznem dotknięciem ręki autora, kiedy obca ręka musiała oczywiście manuskrypt wydrukować jak go znalazła, nic w nim nie tykając, nie ujmując, zwłaszcza nie dodając. Znając Słowackiego i jego górujące błędy, łatwo wprawdzie przypuścić, że gdyby nawet był sam dramat ten ogłosił, byłoby w nim zapewne zostało wiele nieskładności i niekonsekwencyj; ale przecież może mniej, może myśl byłaby lepiej dojrzała, a plan, przez rozwagę i niektóre poprawki byłby się wyrobił i ustalił. W najszczęśliwszym razie, kto wie, może całość byłaby wypadła tak szczęśliwie, jak dwa pierwsze akty i z niemi w harmonii, a w razie najgorszym byłaby przynajmniej znalazła się jakaś harmonija, jakiś związek pomiędzy dramatem a jego tytułem. Z największem zaś uszanowaniem dla wydawcy Pism Pośmiertnych Słowackiego

trzeba wyznać, że tytuł przez niego dorobiony nie odnosi się do żadnej z osób ani do żadnego z wypadków dramatu. Dla czego Niepoprawni? Kto Niepoprawny? Z czego miał się poprawić? Widząc ten tytuł przypuszcza się naturalnie, że główną treścią dramatu będzie jakaś zatwardziałość czy w zbrodni, czy w złej skłonności, czy w nałogu, czy tylko w śmieszności, jakiś człowiek lub jacyś ludzie, którzy pomimo doświadczenia, pomimo gorzkich nauk życia, nic nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli, i że ta niepoprawność zaplącze ich w nieszczęście lub w kłopot, wdramatyczne kolizye lub w komiczne perypecye. Przyzwyczajony zaś przez wszystkich dramaturgów świata do tego, że tytuł ma związek z głównemi figurami i sytuacyami dzieła, przymierza i przykłada czytelnik przedewszystkiem ten epitet *niepoprawnych* do dwóch głównych osób dramatu, do Fantazego i do Idalii. Złem w nich jest skłonność i nałóg szukania wrażeń, poetyzowania własnego życia i siebie w swoich własnych oczach; jeżeli z czego mieliby się poprawić, to oczywiście z tego. Tymczasem ten zły zwyczaj nie tylko na wypadki akcyi samej, a zwłaszcza na jej rozwiązanie nie wpływa, ale co więcej, w rozwiązaniu samem i Fantazy i Idalia zachowują się dość poprostu, jak ludzie dobrzy i szlachetni, wzgląd na drugich, honor, uczciwość, widoczne są w ich zachowaniu, więcej daleko aniżeli poetyzowanie siebie: poprawieni oni nie są, i nieraz jeszcze w życiu do dawnego przyzwyczajenia powrócą, ale w tym razie przynajmniej ten ich zły zwyczaj nie zaszkodził nikomu, nie stał się powodem żadnego złego. Za cóż więc prześladować ich jako Niepoprawnych? Przymiotnik ten do nich nie przystaje, nie oddaje dobrze ich roli w dramacie. Jeżeli zaś nie oni, to Niepoprawnym być może tylko hrabia Respekt i jego żona, bo ani jego córki, ani Jan, ani major poprawiać się nie mają z czego. Te zaś dwie figury, trochę próżne, trochę płaskie, trochę śmieszne, nie są ani tak bardzo złe, ani tak w swojem złem zatwardziałe, żeby zasługiwały na tak poważny, trochę złowrogi przymiotnik. Zresztą, jeżeli ktokolwiek miałby być nazwany Niepoprawnym, to trzebaby, żeby przedtem ktoś poprawić go usiłował, żeby on poprawić się nie dał, i dopiero żeby ten jego upór sprowadzał zawikłania i katastrofę sztuki. Tak jak jest,

tytuł jest źle dobrany, do osób ani do wypadków dramatu niestósowny.

Dramat jest dziwny: zalet w nim wiele i bardz niepospolitych; ale obok tego taka niejasność i niedojrzałość myśli, takie niewyrobienie i takie sprzeczności w planie, że dojść nawet trudno, co właściwie Słowacki chciał zrobić. Za co *Niepoprawnych* uważać. Czy to komedya? Kilka figur, i ton całego prawie pierwszego aktu wskazywałyby, że pierwszy i jedyny raz w życiu Słowacki miał chęć napisania komedyi. Sam Fantazy nawet mógłby w niej figurować jako bardzo prawdziwy i nawet bardzo głęboki, bardzo świetny typ komiczny. Ale ten ton się mąci, ten charakter się miesza, kiedy się ukazuje na scenie sołdat Jan, niegdyś w Sybirskich śniegach zaręczony z Dyanną, a teraz zjawiający się w chwili, kiedy rodzice wydają ją za innego, z rachuby; kiedy wychodzi Idalia, która także mogłaby figurować w komedyi ze swoją naturą, ale której miłość i smutek przemawiają językiem za poważnym, za wysokim na komedyą — zwłaszcza kiedy biedna Diana oświadcza Fantazemu, w jakim razie i dla czego złamie przyrzeczenie dane sołdatowi, którego kocha. Wszystko to bardzo smutne: wszystko ostrzega, że pomimo Respekta, Respektowej, ironicznych żartów i komicznych narowów Fantazego, że ta akcya, która się zawięzuje, to nie wesoła i zabawna akcya komedyi, ale coś większego, poważniejszego.

Akt drugi utwierdza nas w tem wrażeniu. Jest cały smutny i coraz smutniejszy. Jan oddający Stelli pierścionek siostry, kiedy się dowiedział, że Diana idzie za innego, przymus jaki na nią wywarli Rodzice, jak się z opowiadania Stelli pokazuje, rozpacz Jana, Idalia błąkająca się wśród tego i nie wiedząca co robić: czy się zemścić, czy gardzić, czy może się zabić, — wszystko to zakrawa nietylko na dramat, ale na tragedyą i zdaje się, że się czemś okropnem skończy.

Gdybyż było tak szło dalej jak dotąd! Niestety, pierwiastek komiczny wraca znowu, i wraca w najpospolitszy, najbardziej zużyty sposób. Qui pro quo — pani Rzecznicka porwana przez Czerkiesa zamiast Idalii: jakaś śmieszna, czerwona, tłusta, stara baba na siodle w objęciu bisurmana, parodya ponurych ballad jak Leonora albo jassyrowych epizodów, to nie komedya nawet, ale farsa, karykatura. Ale zaledwo się to stało

wraca dramat. Dyanna zobaczyła gdzieś kochanka, zemdlała; Jan nieszczęśliwy chce wracać na Sybir z rozdartem sercem, co gorzej Fantazy ma sobie życie odebrać. Jego ostatnie chwile (bo istotnie ma je za ostatnie) są znowu przedstawione ironicznie, znowu, pomimo poezyi jaka jest w słowach, a dramatyczności jaka jest w sytuacyi, znowu pierwiastek komiczny odzywa się bardzo wyraźnie: przerywa go ewenement niespodziany, a znowu tragiczny — samobójstwo Majora, a rzecz cała kończy się najspokojniej w świecie, jak wszystkie komedye, fein bürgerlich, jak mówi Wallenstein, weselem.

A gdyby powiedzieć, że Słowacki nie myślał ani o komedyi ani o tragedyi, ale chciał napisać sztukę w tym rodzaju mieszanym i fałszywym, który tragedyą nie będąc i na koturnie chodzić nie umiejąc, a przecież mając pretensye do tragicznego wrażenia, nazwał się *dramatem*, dramatem z potocznego życia, czemś pośredniem, co ani komedyą ani tragedyą nie jest, to i to jeszczeby *Niepoprawnych* od ostrej nagany uratować nie mogło. Był w nich materyał i był zakrój na doskonałą, świetną komedyę, pełną typów oryginalnych, prawdziwych i komicznych. Był tak samo materyał i zakrój na tragedyą, najrzadszą ze wszystkich, tragedyą w powszedniem życiu i w najprozaiczniejszych stosunkach, ale na tragedyą prawdziwą. Autor ani z jednego ani z drugiego nie skorzystał, przeszedł mimo tych bogactw nie podniósłszy ani jednych ani drugich, nie skorzystawszy z nich, a zrobił coś trzeciego, pośredniego, co ani tragedyą ani komedyą nie jest, a jako mieszany *Dramat*, jeszcze także dobrem nie jest Bo nie wiążąc się wcale estetycznym rygoryzmem, nie sądząc, jakoby dzieło jakieś miało być złem dlatego, że pod nasze utarte definicye nie podpada, trzeba przecież od każdego żądać, naprzód, żeby sprawa rozpoczęta w pierwszym akcie, rozwiązywała się w ostatnim jako ta sama, przez tych samych ludzi, z temiż samemi raz im danemi charakterami; powtóre, żeby ona rozwijała i rozwiązywała się jasno, naturalnie, zgodnie z temi charakterami, i sama z siebie. *Kupiec Wenecki* naprzykład nazywa się komedyą wprawdzie, ale czy nią jest? Że nie jest tragedyą, to pewna; że w nim jest dużo komicznego pierwiastku, to prawda; że się szczęśliwie kończy, to jeszcze prawda. Ale jest w nim sytuacya na komedyą za straszna, namiętność i pate-

tyczność jednej postaci na komedyą za wielkie, i Kupiec Wenecki, choć prędzej niż Niepoprawni, mógłby za komedyą uchodzić, nie jest naprawdę ani tragedyą ani komedyą. A przecież jest jedną z doskonałości nowożytnego teatru. Tylko tam każda figura i każdy stosunek utrzymuje się w tem świetle, w tym tonie, weselszym czy groźniejszym, w jakim się ukazuje od początku; zboczenia, złamania czy figur czy sytuacyi takiego, że dwie połowy już się potem dobrze złożyć nie dadzą, tutaj nie ma: Shylock jest sobie wierny do końca, sytuacya Antonia do końca smutna i groźna. A gdyby, dajmy na to, przed czwartym aktem Porcya była oznajmiła, że znajdzie radę na Shylocka, gdyby Bassanio, Gratiano, wszyscy przyjaciele kupca i on sam stanęli przed sądem już z przekonaniem, że żyd źle wyjdzie na swoim procesie, czy wtedy rzecz nie byłaby zepsutą? czy Shylock z figury bardzo potężnej i strasznej swoją nieubłaganą namiętnością nie stałby się figurą śmieszną, wystrychniętą na dudka? czy czwarty akt nie byłby zupełnie złym, zupełnie niezgodnym, wrażącej dysharmonii z poprzedzającym? Oczywiście. Otóż w Niepoprawnych nastąpiło takie złamanie akcyi, takie wyskoczenie jej z jednej kolei, a przeskoczenie na drugą, i dlatego całość, jakąkolwiek zechce jej kto dać nazwę i definicyą: komedyi, tragedyi czy dramatu, zawsze jest złą: po przełamaniu dwie połowy akcyi przystać do siebie nie chcą, ciągłość i jednolitość jest zepsuta bez ratunku.

Być może, że gdyby Słowacki był sam raz jeszcze dzieło to wziął do ręki, byłby te wszystkie błędy usunął. Jeszcze raz, surowo go za nie sądzić nie można, bo nie uznawał sztuki za dobrą widać, kiedy jej nie wydał. Ale błąd ten, ten defekt organiczny jest w Niepoprawnych.

A szkoda! Jest tam tyle rzeczy pięknych! Tyle obserwacyi bystrej i trafnej, tyle żyłki komicznej, tyle zmysłu krytycznego, że trudno nawet uwierzyć, że ten Słowacki, marzący i rozmarzony, żyjący zawsze w fantastycznych światach wyobraźni, tak umiał patrzeć na to, co koło niego żyje w świecie rzeczywistym. Nie mówiąc już o śmiesznościach Respekta i jego żony, które oddane są z wielkim humorem, ale Fantazy i Idalia, to dwa typy wielkiej wartości, wielkiej psychologicznej prawdy, których słabość nie łatwo było odkryć, a trudniej jeszcze przedstawić tak, żeby pomimo śmieszności swoich nie byli śmie-

sznymi, żeby przez delikatną ironią, z jaką ich autor rysuje, znać było, że to nie powszednie, nie tuzinkowe indywidua, ale natury niepospolite, głowy myślące i rozumne, dusze czujące i szlachetne. A to wszystko zrobił Słowacki ślicznie, oprócz tego wprowadził dwie śliczne główki dziewczęce, szczebiotliwą Stellę przy Dyannie głębszej, poważniejszej, dojrzałej pod wpływem uczucia i smutku, oprócz tego jest ten Jan zajmujący swojem położeniem, sympatyczny przez swoje słowa i zachowanie, Jan, z którego mógł być śliczny bohater romansu, i te wszystkie piękności liczne i wielkie, zepsute, zmarnowane? Nie w tym sensie, jakoby każda z tych figur była zepsutą, nie; figury pomimo wszystkiego trzymają się nie źle do końca, ale zmarnowane i zepsute przez to, że wpędzone w sytuacye bądź fałszywe bądź obojętne i niepotrzebne, nie mogą się należycie rozwinąć, nie mogą się pokazać z całym zasobem psychologicznej prawdy lub poetycznego wdzięku, jaki w nich jest.

Układ sztuki, jej treść, przekona o tem najlepiej, pozwoli palcem wskazać miejsce, w którem Słowacki poszedł bez rozwagi za jakimś nowym pomysłem, za jakąś sytuacyą, która mu się sama nie wiedzieć zkąd nasunęła, wziął ją do swego dramatu; z raz przyjętej musiał dalszy przebieg sprawy dalej rozwijać, i w ten sposób zepsuł rzecz ślicznie zaczętą.

Hrabia Fantazy, młody, bogaty, niezawodnie z bardzo arystokratycznego rodu, powierzchowności zapewne pięknej, a w każdym razie, co lepiej, niezwykłej, chce się żenić. Dla czego? Z nudów, z chęci odmiany, z ciekawości wrażenia, którego jeszcze nie był w życiu doświadczył. Hrabia bowiem widział już wszystko, wszystkiego doznał i wszystko mu się sprzykrzyło. Wrażenia piękności, w naturze czy w sztuce, wyczerpał do dna; miłość? zna ją także, przynajmniej tę, którą wzbudzał, mniej zapewne tę, którą sam był czuł, bo był z ludzi, którzy żądają raczej być przedmiotem miłości i uwielbienia, niż wielbić i kochać; ale widok i wrażenie istoty ludzkiej, której szczęście i życie zawisło od jego dobrej woli, kobiety, której serce drga w jego ręku rozkoszą lub bólem podług jego upodobania i kaprysu, to on zna; używał nieraz z rozkoszą na wzruszeniu, jakie kobietom dawał, używał na tem, że był przedmiotem zakochania, zachwytu wyobraźni, szału zmysłów, a sam przytem raczył w części tych wrażeń doznawać; serce

nie wiele zapewne czuło i cierpiało, ale wyobraźnia zarażała się uniesieniem albo je w siebie wmawiała, dostrajała się do niego. Można być pewnym, że tajemnicze samotne pobyty z eterycznemi blondynkami jasnemi i ulotnemi jak anioły, z brunetkami pięknemi jak marmury a namiętnemi jak pożar, gdzieś nad błękitami mórz i jezior, wśród Alp niedostępnych albo na wyspach Egejskiego morza, w grotach ukrytych jak ta, gdzie Haydee znalazła Don Juana, albo w weneckim pałacu, tym samym, gdzie mieszkał Byron z panią Guiccioli, można być pewnym, że epizodów takich było w życiu Fantazego wiele, aż mu się wreszcie sprzykrzyły. Podróże? Gdzież on nie był i czego nie widział; chyba księżyc i słońce mogłyby jeszcze skusić go nowością. Nawet sława, ta przyjemność, która ze wszystkich najtrudniej się przejada, nawet ta już jego nerwów nie drażni ani nie głaszcze. Fantazy jest poetą: w gruncie sam w swoją poezyę, w swoje natchnienie wierzy; ale powodzenie i oklaski, ta codzienna, powszednia, jednostajna strawa, którą nakarmiono go tak do przesytu, pochlebiano mu tyle i tak niezręcznie, tak nierozumnie, że z powodzenia i sławy on ma prawo żartować, a żartuje nawet, przynajmniej na pozór, i ze swojej poezyi samej. Jest więc już wrażeniami przesycony, a jeszcze wrażeń chciwy; myśl o ożenieniu zaostrzyła jego ciekawość: to coś, czego jeszcze nie doznał, nie doświadczył, to coś nowego; co to jest? warto zobaczyć. I dając się niby powodować panu Rzecznickiemu, na prawdę powodowany tylko znudzeniem i nieokreślonem pragnieniem czegoś nowego i nieznanego, wybrał się po żonę.

Kto jest pan Rzecznicki? Przyjaciel Fantazego? on tak mówi, tak udaje, w gruncie zapewne tak nie myśli. On może być Fantazemu usłużnym, może mu być potrzebnym nawet, ale wspólnego nie ma między nimi nic. Praktyczny, trzeźwy, w intereresach, niezawodnie, obrotny, sprytny, Rzecznicki czasem Fantazego bawi, czasem młodego arystokratę i poetę, który rzeczywiście majątkiem swoim trudnić się nie raczy i nie umie, spisuje kontrakty, układa wypłaty i t. d. przytem bywa w jego domu na stopie dość poufałej; może jeździ z nim razem za granicę, może na ulicy chodzi z nim pod rękę, tak że wszyscy, nawet służący Fantazego mogą ich mieć za przyjaciół, wszyscy, oprócz ich dwóch. Rzecznicki, niegdyś Patron przy jakimś try-

bunale zapewne, dziś właściciel dóbr ziemskich, bogaty, używający konsyderacyi w okolicy, Marszałek Powiatu. Rzecznicki dorobkowicz, będzie może nieodstępnym nierozłącznym towarzyszem Fantazego, nie będzie mu nigdy równym. Jego przymioty i jego wady są tamtemu zarówno antypatyczne. Natura Fantazego wzdryga się na ten spryt oszczędny i wyrachowany, z którego pomocą Rzecznicki doszedł do majątku i stanowiska: ze stanowiska tego Fantazy się śmieje kiedy go nikt nie widzi, majątek, trzeba powiedzieć na jego pochwałę, nie imponuje mu, ma w jego oczach może cenę mniejszą aniżeli mieć powinien, ale z pewnością nie większą. Wyobraźnia Fantazego, jego poetyczne aspiracye, i gorące, wysokie popędy jego serca. odwracają się ze wstrętem od tego stworzenia, które zna i rozumie tylko rzeczywistość, któremu mówić o piękności, o sztuce o poezyi, o miłości, o poświęceniu, to rzucać groch na ścianę. Przytem Rzecznicki choć na swoje ubranie wydaje tyle lub więcej jak Fantazy, choć się przyzwyczaił do wszystkich form eleganckiego świata, na prawdę, w gruncie, dobrze wychowanym nie jest: w salonie zachowa się jak inny, nie zrobi nic rażącego, ale po za salonem, kiedy go ludzie nie widzą, czy swego służącego nie targa za uszy, nie bije w twarz, nie prześladuje o każdą resztkę wina pozostałą na dnie butelki? a przytem, w panu Marszałku pozostało zawsze coś stręczyciela, coś faktora, wykwintna arystokratyczna i poetyczna natura Fantazego wzdryga się i otrząsa na grubszą naturę Rzecznickiego. Znosi go jeżeli potrzeba, używa go jeżeli potrzebuje, ale z nader subtelnym i delikatnym taktem umie dopuszczając Rzecznickiego do pewnych pozorów zażyłości, w samych tych pozorach trzymać go od siebie w nieskończonej odległości, i nigdy na prawdę zbliżyć się do siebie nie da. W całym dramacie nie ma jednego słowa, któreby wskazywało, że Słowacki długo nad tym stosunkiem myślał, że rozważał, układał, kombinował, zadawał sobie nad nim choć trochę pracy. A przecież stosunek i kontrast tych dwóch ludzi stoi przed nami tak wyraźny, że się pomylić nie można, tak zupełny, tak prawdziwy i doskonały, że się lepiej określić nie dał.

Jedna rzecz cokolwiek do zrozumienia trudna, to że Fantazy dał się swatowi swemu zawieść w dom hrabstwa Respektów. I ludzie sami ze swojemi śmiesznościami, ze swojemi

konwencyonalnemi frazesami, konwencyonalnemi uczuciami, takiemiż rozumami, sposobem myślenia i życia, i ich położenie, całe, to upokarzające kuglarstwo złoconej nędzy, musi Fantazego okropnie razić, korcić i nudzić. On jest wyższym od nich nietylko naturą i inteligenyą, ale gustami, zwyczajami i formami życia. W hierarchii arystokratycznej musi także stać od nich wyżej, i za jednego jakiego biednego senatora, którego w rodzie może mieć Respekt, on ma całą litanią kanclerzy i hetmanów. Że Respekt uważa go za ideał zięcia, to naturalne, mniej to, że on, szukając żony na zimno, szuka jej, w domu Respektów. Pod wpływem miłości, lub wyobraźni, Fantazy bez chwili wahania złożyłby swoje herby i miliony jak książęta z bajek u nóg jakiej oślej skóry albo Cenerentoli: ale nie kochając, nie znając nawet, wchodzi nie wiedzić po co w alians z Respektami, to niepodobna ani do jego arystokratycznej dumy, ani do jego estetycznej natury.

Ale, czy może Fantazy dojrzał gdzie przedtem te panny i był ciekawy poznać je, czy już Rzecznicki tak zręcznie rzecz prowadzić umiał, dość że jest Fantazy w domu Respektów.

Co za dom antypatyczny! a co za wyborne figury! jak po mistrzowsku schwycone *des Lebens flach alltägliche Gestalten!* Hrabia Respekt był na Sybirze, ale że nie był niebezpieczny wcale, zatem mniej od innych karany, wrócił na Ukrainę czy Podole, i ciągnął tam dalej swoją przedsybirską egzystencyą. — Człowiek, jakich wszędzie u nas pełno: nie zły, ale na wskróś tuzinkowy. Jako Polak, jako ojciec rodziny, jako obywatel, we wszystkiem i zawsze powierzchowny, płytki, tuzinkowy. Można go widzieć przy zjazdach i wyborach jak się do łez rozczula wnosząc kolejnym kielichem *kochajmy się*, można go widzieć zrana, bardzo uniżonym przed żydem, którego prosi o przedłużenie wekslu. Słowo *po naszemu, po polsku*, zawsze na jego ustach, w obejściu z sąsiadami serdeczny *brat szlachcic*, bo o popularność się stara, a niepopularności boi, wszystkiem, sposobem życia, urządzeniem domu, wychowaniem dzieci, kroi na wielkiego Pana. O *respekt* ludzki zwłaszcza dba nad wszystko, a dba źle, nierozumnie. Zdaje mu się iżby go stracił gdyby cokolwiek w swoim domu i sposobie życia zmienił, gdyby się ograniczył w wydatkach, gdyby miał mniej służących w liberyi, albo *dziką*

promenadę swojego ogrodu zamienił na pole, ale nie wstydzi się tych służących nie regularnie płacić, ani tego że rachunek krawca za tę liberyą oddawna czeka jego zmiłowania (mniejsza o to, ludzie o tem nie wiedzą) nie czuje tego i śmieszne są i bolesne te pozory świetnego życia, kiedy wszędzie przegląda przez nie kłopot jeżeli nie niedostatek, i gra wieczną komedyą, prowadzi ustawiczną walkę ze swoją kieszenią, która zawsze pusta, na rzeczy potrzebne jest zamkniętą, ale na niepotrzebne, a pokaźne wystarczyć musi. Nie zły zatem, jest sobie i swoim bardzo szkodliwy, o respekt bardzo dbały, jest płaski i bez godności, a serdeczny, wylany, i po polsku poczciwy, jest na prawdę poczciwcem dość fałszywym, i kiedy chodzi o szczęście córki lub o jego pieniężny interes, tam córka musi ustąpić, ratować pozory, jego w świecie stanowisko, by on mógł dalej grać tę samą komedyą, niech ona się poświęca, jemu to wszystko jedno.

I znowu Słowacki nie opowiada historyi ani charakteru tego człowieka, a znowu człowiek stoi przed nami cały ze swoją naturą i historyą, jako typ bardzo częsty, bardzo prawdziwy, skreślony prawie od niechcenia, a tak wyraźnie i trafnie, że się go poznaje od razu jak starego dobrego znajomego, którego się sto razy w życiu spotkało.

Hrabina jego żona, lepsza zawsze od niego, Lepsza dla tego, że pojechała za nim na Sybir, mogła była tego nie zrobić, duszy miała więcej jak on. Ale też na pozor więcej jak on śmieszności. Poczciwa kobieta w gruncie, ale niemądra, a komiczna sprzecznością swojego po za francuzkiego obejścia i rozmowy, z pretensyami do najwykwintniejszej znajomości świata i dystynkcyi. Hrabina skazana skutkiem majątkowych komplikacyi na siedzenie na wsi, chce być *au courant* wszystkiego co się w świecie dzieje, a przytem chce być kobietą wyższą i *dystyngowaną*, nadewszystko *dystyngowaną!* Z Berdyczowa sprowadza najświeższe francuskie romanse, z Warszawy mody i plotki. Dotego ma wyobraźnią poetyczną, ma literackie wykształcenie, otacza się poezyą w ogrodzie ma kaskady i krzyże „umyślnie krzywe,“ chodzi do trzech kurhanów i tam usiadłszy marzy, ukraińskie podania i francuskie romanse sąsiadują z sobą w jej ogrodzie i rzucają nań jakieś poetyczne światło, dając z siebie nazwę ulubione jej widokom i miejscom

spoczynku. Na prawdę hrabina, choć rzetelniej od męża dobra, nie jest od niego poetyczniejsza wcale, pozytywna i wyrachowana jak on, a że rozumu ma mniej od niego, więc trudniej niż on ustrzeże się śmieszności w rozmowie lub w postępowaniu.

Jakim sposobem tych dwoje ludzi ma takie córki? są czasem dziwne kaprysy natury i losu. U tych dwojga rodziców pospolitych, płaskich, płytkich, próżnych, niemądrych, wyrosły i wychowały się dwa kwiaty odmiennego, ale równego wdzięku, Dyanna i Stella. Najszlachetniejszy sposób myślenia, uczucia najwznioślejsze i najdelikatniejsze rozumy, godność wrodzoną a prawdziwą, w postępowaniu takt subtelny i wykwintny, słowem wszystko co mieć może najwyższa i najbardziej urocza kobieca natura, to mają te dziewczęta. Nie z ojca ani z matki oczywiście: dał im to Bóg, a wychowały się same. Może po części i Sybir na którym były z rodzicami, smutek, wygnanie, przykrości, może ten Jan, którego tam przypadkiem spotkały, a który nie chcący nawet, samą swoją historyą, samem zbliżeniem do czegoś wyższego i piękniejszego, mógł rozbudzić w nich myśl i rozwinąć co miały w duszach szlachetnego. U starszej rozwinął i coś więcej nauczył ją tego „słowa, któremu nie ma na świecie równego.“ Śliczny romans: Bohater w szyneli, w dziurawych butach, z karabinem na warcie, zmarznięty, głodny, nędzny, bohaterka wychuchana w sztucznej konwencyonalnej atmosferze przez pretensyonalną matkę i guwernantkę francuskę, dziewczyna która nie tylko okiem ale myślą nigdy po za swój ciasny świat nie wybiegła, a teraz zbliżają ich wypadki życia; dziewczyna poznaje instynktem bohaterską duszę pod tą szynelą sołdata, który już był gotów do końca życia zapomnieć o tem, że nie zawsze sołdatem bywał i zmarznąć; gdzieś w śniegach; o powrocie, o szczęściu, o lepszej chwili w życiu nawet nie marząc. Ona jemu ukazała się jak anioł z nieba, on jej jak anioł także, anioł szlachetności, męztwa, i nieszczęścia, w tym zimnym powszednim świecie w którym żyła, i jakiś śniegiem zawiany sybirski kawałek lasu czy drogi, rozjaśnił się i rozkwitnął na chwilę jak pełen słowików i granatów ogród w Weronie, kiedy sołdat w dziurawych butach, kładł na swój skostniały palec pierścionek pięknej, wypieszczonej, w dostatkach chowanej Ukrainki.

Po tych zaręczynach Dyana przestała być swobodną i dziecinną. Miała o czem myśleć, miała się czem smucić, miała się z czem taić nawet, i tak pod wpływem tej miłości, tej myśli o dalekiem a nieszczęśliwym narzeczonym spoważniała, że robi wrażenie nie młodej dziewczyny, ale kobiety z charakterem zupełnie ustalonym, i duszą silną, głęboką, cierpiącą, a w sobie zamkniętą.

Stella na swoje szczęście nie spotkała dotąd jeszcze żadnego sołdata, i zachowała całą dziecinną swobodę. Prześliczne stworzenie, złożone z naiwności i żywości, jasne i wesołe jak promienie słońca, robi się pogodnie i lekko kiedy wejdzie i zaśmieje się. Naiwnej dziewczynki tak ładnej tak uroczej jak ona, trudno znaleść. Szczebiotliwa jak kanarek, dziecko wielkie, trochę ciekawe, już powcipne, wyrobi się kiedyś na kobietę niepospolitą, ma głowę, i ma serce, choć sama jeszcze tego nie wie i nie czuje. Takie jeszcze dziecko, taki trzpiot, że przy siostrze, wiedząc o jej tajemnicy, pyta o Pana Jana i nad nim się zachwyca, nie zważając, że tamta może się zdradzić, i w każdym razie wspominać Jana kiedy ją zmuszają iść za innego, i to jeszcze przy ludziach, jest małem okrucieństwem. Podejmuje się z dobrego serca, i z nieuwagi, ułatwić Janowi widzenie się z Dyaną, o wyspie Matyldy i o trzech kurhanach powtarza wiernie wszystko co słyszała od matki, jeszcze się nie zastanowiła, że to śmieszne; zlękłszy się Baszkiera radzi sobie bardzo naiwnie: *proszę ztąd iść bo ja tu jestem sama*, wielkie jeszcze dziecko. Ale ma wiele dziecinnej gracyi kiedy się *wszystkim łasi* jak mówi Fantazy, a wiele wesołości i śmiechu i *coś djabełka*, kiedy figluje i szczebiocze. A kiedy biednemu Sybirczykowi opowiada o przymusie wywartym na siostrę, o jej łzach, kiedy go widząc smutnym pociesza tem że go Dyana zawsze kocha, to przez całą dziecinność jej słów przebija takie dobre szlachetne serduszko zdolne każde cierpienie zrozumieć, potrzebujące każdemu ulżyć, Fantazy źle zrobił, że myślał o Dyanie: Stella byłaby dla niego lepszą. To co w nim pięknego, to umiałaby zrozumieć i kochać; a co fałszywego, udanego, śmiesznego, to by tak delikatnie wydrwiła, że z czasem mogłaby go może z jego słabości wyleczyć.

Pomiędzy temi osobami więc zaczyna się odgrywać dramat, a zaczyna w tonie ironicznym, w najwyższym tonie komedyi. Jest to ciekawość i wyjątek. Humor trafia się u Słowackiego nie raz: ale vis comica, ale komiczne typy, ten jeden raz tylko. Ale ten jeden dowodzi, że miał do tego telent prawdziwy. Co tu soli attyckiej, co subtelnej ironii w tych pierwszych scenach, kiedy naprzykład Fantazy śmieje się z Respektów, a autor z Fantazego: albo kiedy Hrabina zarzuca go najzwyczajniejszemi frazesami, najbardziej oklepanemi komplementy o jego poezyach (których naturalnie nie rozumie) w miłem złudzeniu, że przyszły zięć da się na ten lep złapać.

Pana opisaniom
Rzymu winniśmy bardzo miłe chwile!
Znamy go dobrze: taki ogień w piórze
I tyle serca, entuzyazmu tyle!
Ach! listy Pana... to są na marmurze
Pisane lawą! czy prawda Dyanno?
Te dwie fontanny, co przed Wątykanem
Jak duchy, tęczą opasane ranną —
Ten krzyż drewniany w Cyrku — ach! my z Panem
Dawno się znamy, dawno!

Albo kiedy przygotowuje, zawsze w tym samym celu, niespodziane a poetyczne efekta w ogrodzie, które mają oczarować poetę, a jak na złość ogród się nie wyda, bo rury od kaskady popsute, a kozak co miał śpiewać dumki pojechał po cukier i świece do Berdyczowa i t. d.

HRABINA.

Kajetanie!

(LOKAJ wchodzi).

LOKAJ.

Pani,
Co pani każe?

HRABINA.

Każ zapędzić trzody
Na małą łąkę w ogrodzie! Niech stary

Anton zapuści swoją sieć do wody
I sam pod wierzbą siądzie obok pary
Chłopiąt plotących koszyki — jak w Tassie.
Opodal żeńców postawić gromadę
I niech śpiewają! Anna niechaj pasie
Kozy na skałach.... Ach! puścić kaskadę!
Pamiętaj, puścić kaskadę wieczorem
Wprzód nim wstaniem od stołu... Ach, jeszcze
Powiedz Dubynie, niech stanie za dworem
I pieśń Padury śpiewa!

LOKAJ.

Ale deszcze
Popsuły rurę w kaskadzie — —

HRABINA.

Nowina!
No, to nie puszczać wody...

LOKAJ.

Ale, Pani....

HRABINA.

Ale! co ale?!

LOKAJ.

Ale dziś Dubyna
Pojechał kupić cukru i araku
Do Berdyczowa —

HRABINA.

No, to się bez dumy
Obejdzie, ale pomnij o rybaku —
Pomnij o trzodach i...

LOKAJ.

Suma do sumy:
Rybak i trzody.

HRABINA.

I małe chłopięta,
Które koszyki plotą.

LOKAJ.

I koszyki.

HRABINA.

I żeńce!

LOKAJ.

Ale pszenica pożęta!

HRABINA.

Mój Kajetanie, rób co chcesz. Ten dziki
Ogród angielski, to kłopot prawdziwy!

LOKAJ.

Zawsze w nim czegoś brak: to się altana
Załamie, burza krzyż umyślnie krzywy
Zwali — o mało co nie zabił Pana. (odchodzi).

HRABINA.

Ach! jaka, jaka z tym ogrodem biada!
Stelko!

Słowem zaczyna się dramat jak bardzo dowcipna, bardzo zabawna, i bardzo wysoka komedya, Ale niebawem rzeczy się psują, przyjeżdża Major.

Major rosyjski, dobry człowiek, blizki krewny kapitana Rykowa z pana Tadeusza, niegdyś na Sybirze względny, ludzki, uczynny dla Respekta i jego rodziny, przyjeżdża odwiedzić dawnych przyjaciół, i wtedy wśród jednostajnie dotąd komicznego tonu, odzywa się dźwięk, smutny, złowrogi, który tę harmonię zmąci. Stella się pyta o pana Jana: Fantazy, choć mu kochać Dyanę ani w głowie, ostrzeżony jest instynktem miłości własnej, zazdrości, że to nie zwyczajna znajomość, nie zwykła litość dla zwykłego skazańca.

FANTAZY.

O nas zapomnieli!

RZECZNICKI.

Gniewasz się?

FANTAYY.

O! nie.

RZECZNICKI.

Lecz trochę zazdrościsz.

FANTAZY.

Czego?

RZECZNICKI.

Dyany spojrzeń i łez Stelli.

EANTAEY.

Jeszcze nie kocham.

RZECZNICKI.

Ale już się złościsz.

FANTAZY.

Wcale nie! — Ale powiedz mi, Rzecznicki,
Kto to jest ów pan Jan, wzięty z kosą?

RZECZNICKI.

Jakiś kosynier....

FANTAZY.

Jesteś jak delficki
Posąg: — wyrocznie twoje prosto niosą
W sam cel i w same serce prawdy; ale
Radbym dowiedzieć się, jaki to smutny
Upior nad srebrne gdzieś sybirskie fale
Pierś pokazuje i łańcuch okrutny
Wstrząsa, i w panien tych ładnej pamięci
Staje z ranioną piersią i z brylantem
Tej łzy, co mu się w oczach mglistych kręci,
Próżno roniona.

RZECZNICKI.

Przecudna tyrada:
Peryody długie...

FANTAZY.

Ta dawna zażyłość
Sybirska — chmura ta błękitno blada
Szronu złotego, która go obwiewa —
Te pod nim jary, pełne wilczych kości —
Te nad nim czarne sosny, straszne drzewa,
I to nieszczęście czarne...

Ta niespodziewana okoliczność zagrzewa Fantazego miłość? nie, tylko jego chciwość wrażeń. Ożenić się z tą dziewczyną, która kocha innego, otoczonego poetyczną aureolą bohaterstwa i nieszczęścia, ożenić się z nią w sposób najprozaiczniejszy, najwstrętniejszy, który ją razić i mierzić musi, widzieć w jej sercu odrazę a może wzgardę, patrzeć jak się ta dusza w jego ręku będzie wyrywać do tamtego, jak to cierpienie będzie przebijało przez wszystkie chwile jej życia, to dopiero

dramat, aż miło w takim grać rolę. Złe skłonności, nałóg *dramatyzomania swojego życia* biorą górę nad szlachetną naturą, kiedy Fantazy mówi:

FANTAZY.

Słuchaj! — ta Dyana dumna,
Co pod piorunem tu zatradowania,
Pod ruinami gmachu, jak kolumna
Ostatnia trzyma wysoko swe czoło —
Ta, która patrząc na matki aktorstwo
I na twarz ojca — zbladłą, a wesołą
Dla ludzi... czuje całe gladyatorstwo
Nędzy domowej, ze światem walczącej —
Ona, co na mnie jako narzeczona
Patrzeć tu musi, a w duszy gorącej
Czuje, że będzie majątkiem kupiona,
A cierpliwością wypłacić się musi —
Ta panna — czuję, że to podłość we mnie!
Ale mnie jakiś szatan wnętrzny kusi
Popełnić taką podłość i nikczemnie.
Kupić ją złotych polskich pół-milionem!

Dramat wychodzi na wierzch coraz wyraźniej — miłość Dyany do Jana i ten fantastyczny egoizm Fantazego mogą sprowadzić kolizyę.

A wydaje się ona tem bliższą, tem groźniejszą, że zjawia się sam najniebezpieczniejszy „aktor na miłości scenie“ Jan, tajemnie przez majora przywieziony w przebraniu baszkira. Czy chce tylko Dyjannę zobaczyć, czy zwrócić jej pierścionek i słowo, czy tylko polskiem powietrzem odetchnąć, dość że jest: Stella obiecuje mu ułatwić rozmowę z siostrą.

Do tych wszystkich komplikacyj przybywa nowa, największa, w postaci hrabiny Idalii. Idalia była Fantazego kochanką: kocha go zawsze. Usłyszawszy o jego małżeńskich projektach, Czy je chce zerwać? wystąpić? pokazać się, zrobić scenę? Nie — ona sama nie wie czego chce — może chce go upokorzyć, może zabić, może tylko się przekonać, zobaczyć na własne oczy, może rozedrzeć swoje serce widokiem tej zdrady, rozkoszować się w swojem nieszczęściu, może wypić do dna

ten kielich goryczy i przypatrzeć się dobrze temu, że nietylko ją zdradził, on którego kochała, ale że on którego miała za najwyższą na ziemi istotę, za anioła poezyi, żeni się prozaicznie, zimno.... ona sama nie wie po co przyjechała, czego chce, co robi, ale jest, cierpi i coś zrobi co spadnie na dom Respektów jak piorun.

Postać to nie małego znaczenia: postać która będzie kiedyś jedynym w literaturze wizerunkiem całego jednego rodzaju kobiet polskich w naszym wieku, rodzaju bardzo zajmującego. Egzemplarze jego są rzadkie, z natury rzeczy rzadkie być muszą, bo trzeba na to natury niepospolitej, żeby upaść, a nie spaść nigdy nizko, ale tego rodzaju egzystencye kobiece, wykolejone, nieszczęśliwe, uszlachetnione przez cierpienie rzetelne i prawdziwe uczucia, podniesione wysoko przez wyjątkowe umysły i zdolności, trafiały się u nas, trafiały się zwłaszcza w epoce romantyzmu pomiędzy rokiem 1820 i 1850, i nieraz, obok imienia męzkiego otoczonego wielką chwałą, znajdzie potomność imie takiej kobiety nie niewinnej, a bardzo uniewinnionej, upadłej a przecież wysokiej i godnej, w której życiu było wiele fałszywych i udanych zachwytów, wiele miłości siebie, ale wiele też i prawdziwych łez, wiele miłości ojczyzny, wiele miłości dobrego, wiele miłości jednego wybranego człowieka. A kiedy potomność spotkawszy takie imię będzie z ciekawością pytała jakie te kobiety być mogły, a zatraconej ich fizyognomii i chrakteru wyobrazić sobie nie zdoła, wtedy niech zajrzy do Niepoprawnych Słowackiego, tam się kobieta taka przechowała ze wszystkiem co w niej złe i dobre, co udane i co rzetelne, co ją oskarża i co ją tłómaczy, ze wszystkiem co budzi do niej pociąg i antypatyę, lekceważenie i uszanowanie.

Za księztwa warszawskiego i królestwa kongresowego kobieta lekka i płocha, nie kochająca męża, kochająca innego lub innych, jeżeli nie chciała zejść na prostą awanturnicę, rozwodziła się, szła za mąż za kochanka, regularyzowała jako tako swoje stanowisko i związki, i pozostawała w kraju, brylowała jak przedtem w Warszawie, spokojna i pewna że jej nikt palcem wytykać nie będzie. Ale kiedy zgorszenia rozwodowe obudziły i surowość opinii i surowość Kościoła, kiedy Kościół przypomniał a opinia zaczęła powtarzać słowa śgo

Pawła, „divortium est adulterium“ i kiedy rozwód nic już nie naprawiał i nie pokrywał, kobiety w tem położeniu miały rolę nierównie trudniejszą, a egzystencyę w kraju nieznośną.

Nie mówi się naturalnie o kobietach zupełnie zepsutych, bezczelnych, z czołem „qui ne rougit j'amais,“ ani o awanturnicach rozmyślnych, bo takie zawsze sobie dadzą radę. Ale kobieta w pożyciu z mężem nieszczęśliwa, opanowana potężną namiętnością, a siebie przecież szanująca, która wstydu nie straciła, cóż miała robić w kraju, gdzie koło jej imienia zrobił się skandal. Jechała za granicę: osiadała tam, gdzie jej historyi nie znano, gdzie nie była zmuszoną spuszczać oczów przed każdym: osiadała jak rozbity okręt na mieliźnie, nad jeziora włoskim brzegiem, patrzała na morze i na ruiny, słuchała muzyki, kochała się w pięknych obrazach (dziwna rzecz, wszystkie Polki tego rodzaju były w duszy artystkami) — słowem stwarzała sobie egzystencyą łataną i sztuczną, w której zajęcie myśli zajmowało najwięcej miejsca i czasu, ale która była względnem szczęściem. A że były wychowane w epoce romantycznej, że od Byrona aż do pani Sand czytały wszystko, wszystko do siebie i do swego położenia stósowały, więc naturalnie bardzo, same siebie musiały poetycznemi uznać, i musiały chcieć być poetycznemi, to im było potrzebne do szczęścia. Po części miały do tego prawo, przez nieszczęście, przez miłość, przez swój wdzięk: po części starały się o tę poetyczność, udawały ją i przesadzały. Było w tej poezyi, którą się otaczały, w egzaltacyi ich uczuć, wiele prawdy, ale było zawsze coś komedyi. A jeżeli gdzieś, pod włoskiem niebem, kobieta taka, upokorzona swoją fałszywą pozycyą, znużona samowolnością, zmęczona czczością i przymusem swego życia, spotkała po latach kilku człowieka, który ją kochał, który za nią szalał, który jej nie tylko przebaczał przeszłość, ale ją czcił, nie tylko pomimo, ale czasem dla tej przeszłości, czyż dziwna że kochała, że się cała oddawała temu nowemu uczuciu, temu nowemu szczęściu? czy dziw że mogła pomimo tego upadku zachować naturę szlachetną. A jeżeli do tego jeszcze mogła sobie wyobrazić z jakiem takiem prawem że „kocha męża wielkiego na ziemi“, czyż można się dziwić, że dla niego zapomniała o wszystkiem, ona która na świecie nie miała nic, prócz niego.

Taką jest Idalia. Historya jej łatwa do odgadnięcia. Wydano ją prawie dzieckiem za człowieka bardzo wysokiego rodu i bardzo wielkiego majątku; nie była królową, ale była jedną z tych pań które po królowych są pierwsze w europejskim świecie. Szczęśliwą nie była nigdy: mąż był albo stary, albo zły, albo cynik i rozpustnik, albo zazdrośny, albo to wszystko razem, tak że zaraz po ślubie ujrzała życie ze strony najbrzydszej: a przecież nie mogła stracić wiary, w swoich latach, ze swoją naturę uczuciową, ze swoją wyobraźnią egzaltowaną, że życie musi mieć i stronę piękniejszą. Przez jakiś czas, może przez całe lata żyła spokojnie, zamknięta w sobie, kształcąc się i marząc: rozum się rozszerzał i bogacił, wyobraźnia egzałtowała się coraz bardziej. Wreszcie, czy to śmierć męża wróciła jej wolność, czy jego złe obchodzenie, zazdrość niesłuszna, może jaka podłość, podały jej go w obrzydzenie i pogardę, tak że z nim dłużej wytrzymać nie mogła, Idalia znalazła się samą. W głowie tysiące myśli, których nie miała komu wyjawić, w fantazyi tysiące obrazów, które czekały urzeczywistnienia, w sercu tysiące uczuć szlachetnych, które dotąd spotykały się tylko z szyderstwem, tysiąc cierpień ukrytych i stłumionych, w pamięci tysiąc upokorzeń i wstydów zniesionych w milczeniu, a nadewszystko, tajemnicza księga serca i życia dotąd nie otwarta, a codzień większe, codzień namiętniejsze pragnienie otwarcia tej księgi, poznania tej tajemnicy: miłości.

W takiem usposobieniu była Idalia we Włoszech, w Rzymie: widzi się ją mieszkającą gdzieś w najbardziej uroczym zakącie miasta, otoczoną najartystyczniejszym najrozumniejszym zbytkiem, patrzącą z okna na wodociągi Kampanii i góry latyńskie, słyszy się jak gra Mozarta, jak mądrze i subtelnie ocenia i wielbi Rafaela. Ale ten cały intelektualny sybarytyzm, hołdy które u nóg jej składa, co najwyższe w wielkim świecie, artyści, dyplomaci, królowie, wszystko to podchlebia jej miłości własnej, ona się w tem otoczeniu i życiu poetyczną widzi i to ją cieszy: ale czczość jej życia nie ustaje, próżnia jej serca nie zapełniona.

Wtedy zjawił się Fantazy-poeta, poeta prawdziwy, może gienijalny: a przez to szydercze okrutne opowiadanie, którem on profanuje wspomnienie ich pierwszej rozmowy, znać z ja-

kiem uniesieniem bez granic, odrazu, bez namysłu, rzuciła się w jego objęcia, widzi się że to był zachwyt wzajemny. Tak się to odbyło jak on mówi: ona była zajęta ideą miłości, on, mężczyzna, wiedział, że mar kochać nie można tylko ludzi, i chciał żeby jego kochała. On był oczarowany także, on odgadł wszystko co ta kobieta w życiu cierpiała, i nie śmiał się z niej kiedy mu rzekła: ty mi będziesz duszą bratem. A dziś wyśmiewa te wspomnienie i tę miłość, ją wydrwiwa, i dla czego, żeby dowcipem olśnić dziewczynę z którą się chce żenić z kaprysu, nawet wymówki miłości ta zdrada nie ma— żeby zabawić i rozśmieszyć panią Respektową! A biedna Idalia, ukryta za kwiatami słyszy to wszystko. Jeżeli jej trzeba było dramatu w życiu, to go ma.

Biedna Idalia! Bezwątpienia, udawania i komedyi było w niej dużo, były i śmieszności. Ona pozwoliła, na swoje uczucia, patrzała przez szkło powiększające, przesadzała je: paradowała swojemi nieszczęściami i swoją egzaltacyą, nosiła sztylet, którym nigdy nikogo zabićby nie potrafiła, była byronistką, świat dla niej za ciasny, za zimny i t. d. poetyzowała siebie, dramatyzowała swoje życie, pozowała, prawda. Widzi się te różne komedye, które oni w swojej miłości z sobą odgrywali. Idalia rzuca na tę stronę ich stosunku wiele światła, kiedy wspomina (w IV akcie), jak raz Fantazy w napadzie rzeczywistej, czy wmówionej zazdrości, czy też dla przyjemności odegrania sceny, przykładał jej sztylet do piersi, i patrzał czy ona zadrży, a ona z najsłodszym uśmiechem czekała śmierci z jego ręki.

Ach! gdyby godzina
Tego żywota, gdy mię ciągle poił
Z serca, jak z czary! — Gdy nakształt murzyna
Otellowego — w sztylet się uzbroił
I przyłożywszy mi do piersi — czekał,
Czy w oczach moich strach, czy uśmiech będzie?
A uśmiech z oczu moich nie uciekał,
Ale jak pająk, który z blasku przędzie
Swe pajęczyny złote na szafirze
Jakiego kwiatu: podobnie mi radość,

Że się przez jego śmierć do nieba zbliżę,
Opromieniała oczy. — O! jak bladość
Śmierci daleka była od tej bieli,
Którą on wteczas zwał alabastrową!
O! jak mi dobrze było, na pościeli
Granitów rzymskich — z pochyloną głową
Nad nim, oddychać różami Cezarów
I widzieć, jak się w tym człowieku rodzi
Nowy ideał wieków, pełny czarów,
Który mu całą przyszłość rozpogodzi,
Jeśli nie skala się tem ludzi błotem
I nie zapragnie spić się moszczem wina.

Scen podobnych musiało być między niemi wiele, i oboje podobali sobie w nich niezmiernie. Ale z tych samych słów także widzi się i to jak ona Fantazego namiętnie jak nieograczenie kochała, i także jak to natura wyższa i wykwintna, jak odbija od płaskich śmieszności i pretensyi hrabiny Respektowej, jak znać po niej rozum, szlachetną naturę, zwyczaj największego świata, usposobienie artystyczne, arystokratyczne pochodzenie i układ: jak znać że to i dusza, i jedna z ziemskich bogiń, i piękność: wszystko to widzi się choćby z tej karykatury okropnej, którą tak niemiłosiernie robi Fantazy. Figura to ogromnej wartości, jako reprezenatka całego jednego gatunku natur kobiecych w naszym wieku, a ogromnych zalet jako wykonanie artystyczne. Słowacki i ją, jak Fantazego, przedstawia ironicznie, wydobywa na jaw i oświeca jaskrawo wszystkie jej słabości, nieledwie je przesadza i robi ją śmieszną, a przecież zachowuje jej z niesłychanym artystycznym taktem, cechę natury wyższej, pięknej duszy. A w parze z Fantazym nabiera ona dopiero całego znaczenia: dla poety byli oni może tylko jak chcą niektórzy, wspomnieniem, ale dla czytelnika tą najdoskonalszymi typami jednej z chorób wieku, udawania poetyczności i romantyczności, chciwości wrażeń, egzaltacyi przesadzanych, zapałów zmuszonych i na zimno: choroby złej, ale przecież właściwej tylko ludziom z jakiemś uczuciem i z jakąś wyobraźnią, choroby która miała tę dobrą stronę, że dla samej konsekwencyi obowiązywała do szlachetnych uczuć i do pięknych czynów. Nie ma poświęce-

nia, nie ma bohaterstwa, któregoby Idalia i Fantazy nie byli zdolni. Choroba to która przeszła, a kto wie czy nie należy żałować że przeszła, bo ta która po niej nastąpiła, przesadzona trzeźwość i obojętność, ta nie obowiązuje już do niczego, prócz do egoizmu.

Miłość między tem dwojgiem ludzi była koniecznością Idalia nie mogła przed nikim tak się drapować w swoje nieszczęścia i egzaltacye, jak przed Fantazym, Fantazy przed nikim tak swego życia dramatyzować, jak przed Idalią: Ta przesada, to udanie, właśnie się jednemu w drugiem podobało.

To też połączeni są mimo wszystkiego na zawsze; Idalia żądając od Fantazego natchnienia, znudziła go w końcu tak, że ją porzucił, ale nawet kiedy się z niej śmieje, kiedy myśli że jej nienawidzi lub nią gardzi, jeszcze Fantazy tak jest pod jej magnatycznym wpływem, że nerwami czuje jej obecność, choć nie wie że ona jest blizko; a kiedy ma sobie w łeb strzelić, do niej się wraca, przy niej, z nią razem chce przebyć ciekawą chwilę i doznać nieznanego wrażenia śmierci.

Co za scena, kiedy on dla zabawy towarzystwa, dla olśnieślenia Dyany swoim dowcipem wyśmiewa ją i jej najświętsze uczucia i zapały, a ona słucha z ukrycia. To dramat potocznego życia! Traktowany przytem z realizmem jakiegoś nowoczesnego francuzkiego komedyopisarza, tak rozmowa jest powszednią i naturalną: a przecież, ile pod tem namiętności, ile cierpienia!

Dawno Pan z Rzymu przybył na Podole?

FANTAZY.

Pół roku —

HRABINA.

Kto tam z naszych?

EANTAZY.

Daję słowo.

Że prócz kilku wielkich dziwolągów
Suchych, co jeden za drugim się wleką,
Powysychani nakształt wodociągów
I wydają się ruinom opieką,

Jak mech i chwasty: nie ma w całym Rzymie,
Kogobym wspomniał.

HRABINA.

Przecież dla sielan
Wszystko ciekawe.

FANTAZY.

Przy ruinach drzymie
Jeden katolik Polak — i szambelan
Cesarskiej Mości, wielki filharmonik;
Bogaty złotą lirą Apolina,
Śpiewa, ale tak, jak Egeryi ponik
Mrucząc: niteczka głosu tylko sina
Z ust mu wypływa, młynów nie obróci,
A jednak ciurka wciąż włoską ruladą;
Milczenia anioł w nim siedzi i nuci;
Pitagor z całą swych uczni gromadą
Milczącą siedzi w nim; a rzecby można,
Że swojej szkolnej zasady nie łamie. —

HRABINA.

Któż więcej?

FANTAZY.

Jedna hrabina pobożna,
Której spadają loki aż na ramię,
A w każdym włosa pierścieniu ukryty
Albo kanonik, albo Monsignore.

HRABINA.

Dewotka — Jakież są więcej kobiety?

FANTAZY.

Najwięcej blade są i bardzo chore,
Ruiny kobiet, resztki Karlisbadu,
Wód stalaktyty, zgasłe Wezuwiusze.

HRABINA.

Zacytuj mi Pan jednę dla przykładu!

FANTAZY.

Ach! jest tam, chora do głębi na duszę,
Znajoma Pani — Hrabina Idalia,
Rodzaj Pani Stael — machina parowa
Pisząca listy...

HRABINA.

Czy ładna?

.FANTAZY.

Jej talia
Jest do połowy z mgły, druga połowa
Bez kości, sprężyn, samą siłą skrętu
Idąca naprzód — zresztą w oczach cała...

HRABINA.

Piękne?

FANTAZY.

Dwie czarne plamy atramentu
Na prześcieradle białem...

HRARINA.

Taka biała?!

FANTAZY.

Jak prześcieradło.

HRABINA.

I takie ma oczy?

FANTAZY.

Jakby atrament.

HSARINA.

Widzę ją przed sobą!

FANTAZY.

Kto prześcieradło to sztyletem zbroczy:
Popełni — wielką poezyą... z osobą,
Którąby dała dziś dziesięć lat życia
Za jaką scenę głośną i tragiczną. —
Jej trzeba rany, usta ma do picia
Trucizny; — byłaby osobą śliczną
Mając rozdarte serce lub sumienie,
Do miesięcznego modląca się blasku.
Nieszczęściem — takie biednej przeznaczenie —
Że jako okręt rozbity na piasku
Siedzi i czeka; lecz żądane burze
Nigdy ją z ziemi zabrać nie przychodzą.
Gdym przybył, chciała mnie poznać: ja służę
Chętnie kobietom, ale się nie godzę
Być Danaidy beczką, w którą leją
Wszystkie serc swoich rdzawych niedokwasy. —

Przychodzę: — była zajęta ideą
Że miłość wszędy i po wszystkie czasy
Była święconą, bo w treści jest wiarą
I jedynie się zasadza na wierze. —
Na to krzyknąłem bardzo wielkie „haro!“
I powiedziałem mojej Pani szczerze,
Że miłość nie jest taką narkotyczną
Niedowiedzioną istotą; — że trzeba,
Aby tę gwiazdę zobaczyła śliczną
Przez alabastry płci jakiego Feba
Świecącą, w oczu skrze i na koralu
Ust gorączkowych... Gdym to rzekł, westchnienie
Z burnusowego wyrwało się szalu,
A ten szal — amiant — owinął płomienie
I przepalony, srebrniał w moich oczach,
Amiant prawdziwy! — Tu rzekłem, że widzę
Na jej błękitno kruczanych warkoczach
Gwiazdę nieszczęścia. — Myślała że szydzę
Z początku: ale widząc, że ja na tem
Stanąłem, jako okręt na kotwicy,
Rzekła: — Ach! Pan mi będziesz duszą bratem!
Pan jeden — w jednej czucia błyskawicy
Pojąłeś, co ja cierpię, co ja czuję,
Na jaką jestem samotność skazana...
Rzekłem, że sercem się nad nią lituję,
Że mi potrzebna jest dusza siostrzana,
Jak rękawiczce nieparzystej druga
Z tej samej pary i z tego numeru,

HRABINA.

Przepraszam Pana — Stelka na mnie mruga.

Zdaje się że coś się zerwie, coś wybuchnie, stanie się coś okropnego, że Idalia przebije siebie albo jego. Nie — Idalia znika cicho jak przyszła. Ale chmury dramatu zamiast się rozchodzić zbierają się coraz groźniej, nabrzmiewają elektrycznością, zdaleka słychać grzmoty, i tylko czekać jak spadnie burza i piorun. Fantazy, w złudzeniu że Dyanę jeżeli nie olśnił to rozdraźnił, i zgodnie ze zamiarem żeby ją zdobyć wstrętem, sprzeciwiać się wszystkim jej uczuciom jej na-

turze, być antypatyczny i znienawidzonym, a fascynować ją i owładnąć, występuje z oświadczeniem bezczelnem i oburzającem. Przerachował się: obrażona Dyana odpowiada z oburzeniem i z godnością taką, że wobec niej on sam wydaje się sobie małym i śmiesznym: a im więcej go upokorzyła i poniżyła, tem wyżej wzrosła w jego opinii. Fantazy poznał że ma do czynienia z duszą wyższą od swojej, bo prawdziwszą i prostszą.

DYANA.

To za śmiało,
Mój Panie hrabio! Wcale po kupiecku
Zliżyłeś się Pan po towar. Gdzież łokieć!
I gdzie są szalki! — Szlachetnemu dziecku
Bóg dał — patrz hrabio — nawet ten paznogieć
U palca, jako rubin gdzieś obmyty,
Krwią przodków, a gdzieś wzięty na Wezyrze!
Me łzy — patrz, są jak perły Amfitryty,
Bom obrażona we łzach — W tym szafirze
Oka mojego znajdziesz niby mętne
Łzami rodowych myśli zdrojowisko.
Wszystko, co mogło w spadku dziecko smętne
Wziąć po umarłych: całe serc ognisko,
Z szlachetnościami wszystkiemi — i całą
Myśli ich piękność — ja mam po nich w spadku;
A ten mój posag ich — to moje ciało!
Gdybym więc nawet kładła na ostatku
Duszę, o niej nie mówiła wcale
Traktując z tobą o siebie na funty: —
To jeszczeby mi ust jasne korale,
To jeszcze oczy te, co straszne bunty
Podnoszą, ogniem i łzami ciskając,
Kazały dumną być w targu i trudną. —
Jakto? — więc chciałeś Hrabio, nie klękając
Jak przed Madonną na stepie odludną
Rafaelową, zrumienić jej lice
I grubijaństwem cud otrzymać święty,
Że się łzami jej napełnią źrenice
Łub z płótna tryśnie krew? — Więc żeś ty wzięty,

Żeś w okolicy sławny, że się ludzka
Miłość za tobą goni, żeś pomięty
Jzk dziwna jaka perła kałakucka,
Tem droższa, że ma kształt nieodgadnięty
I do perły jest niepodobna wcale,
Ale jest jako monstrum dziwne, drogie: —
To już myślałeś, że ja się zapalę
Do tego dziwu, jak dziecko ubogie
Pierwszy raz brylant słoneczny widzące
Na twej koszuli?... Bo wyznasz mi Hrabio,
Że Endymiona mirty i miesiące
Niepotrzebne ci były tu, gdzie grabią
Siano tak podłych, jak ja, pełne kwiatków!..,
Dobrze więc! oto odpowiem ci szczerze,
Tem szczerzej, że tu jesteśmy bez świadków:
Ojciec mój daje mnie tobie, a bierze
Twoje pieniądze. Przebacz, że wyraźnie
Mówię... Mój ojciec ma ojcowskie długi,
A sam jest winien pół miliona w kaźnie,
A jutro wszystkim chłopom biorą pługi
I w każdej chacie stawiają żołnierza.
Więc jeśli chaty te jutro posłyszę,
Że krzyczą: Boże! a Bóg nie uderza
Piorunem; jeśli duch, co we mnie dysze,
Modlitwą o! tej wioski nie obroni;
Jeśli mnie chłopki okrążą i padną
Do nóg, jak gdybym z gwiazdami na skroni
Stała w niebiosach, a ja męką żadną
Nie będę mogła wyratować ludu;
Jeśli Bóg z mego jedynie nieszczęścia
Chce siły, która podobna do cudu
Ten lud obroni:— to się do zamęścia
Z Panem... przychylę.

Co z tego wyniknie? czy teraz na prawdę Dyanę pokochał? czy wpadnie w szał i namiętność? czy się zaweźmie zdobyć ją koniecznie, i to nie rękę jej tylko, ale i duszę? Zawikłania się mnożą, rosną, i wyglądają coraz groźniej, coraz dramatyczniej.

Drugi akt śliczny i straszny. Zaczynają go Idalia przedziwnym monologiem, w którem jest wszystko co tę postać składa: Wiele szlachetności, wiele cierpienia i admirowania siebie samej w poetyczności swego nieszczęścia. Idalia przebaczyła, przebaczyła właśnie dla tego, że się z niej i z jej ezaltacyi śmieją, niech znają co to egzaltacya, i jakiej wzniosłości ta śmieszna rzecz jest zdolna. Zarazem przypatruje się sobie i widzi, że jest podobna do jakiej namiętnej a zdradzonej Rzymianki czy Florentynki. A do tego wszystkiego ma i wyobraźnią i prawdziwą poezyę w duszy: jak ładnie naprzykład maluje swoją smutną, samotną, bezbarwną przyszłość:

Widzę, że trzeba mi będzie wziąść krosna,
Jak dawnej Polce; i ten duch, co prosi
O piękność, a chciał niegdyś miesiąc złoty
Uczynić swoim zwykłym domownikiem —
Trzeba go widzę pięknością prostoty
Upoić; i mieć nad moim stolikiem
Zamiast miesiąca — twarz prababki białą,
Groźną — świętości lampę, twarz umarłą...
Tak, tak! — wrzeciono będzie mi burczało
I tańcząc złote me dywany darło,
A ją pomyślę patrząc: tak się kręci
Świat — tak tańcuje każdy modniś młody!
Taką niteczkę z jedwabnej pamięci
Snuje za sobą! tak się w jedwab mody
Obwija, i tak — ot z rąk mi wylata
I już... odemnie wziął ruch, a mnie nie zna!...
Zaprawdę, że tak będę drwić ze świata,
Przędąc jedwabie. —

Ona się usuwa, a wtedy odkrywa się cały dramat ukryty pod potocznemi rozmowami i dowcipami pierwszego aktu. Jan i Stella: on dowiaduje się, że Dyana „jutro za mąż idzie“ a po chwili rozpaczy blizkiej nieprzytomności, kiedy szuka na niebie gwiazd, w które niegdyś z Dyaną patrzał na Sybirze, oddaje Stelli pierścionek z prześlicznemi pełnemi łez słowami pożegnania; ona zasmucona, przestraszona, pociesza go jak aniołek:

My z Dyanią pacierz kończyły powszedny
Twojem imieniem; ty byłeś tu z nami
Każdej niedzieli i każdego piątku;
Dyanka twojemi gadała słowami,
Na chrzcinach chłopskich każdemu dzieciątku
Dawała imię Jan... Dyanka dziś szlocha,
Dyanka dziś blada, Dyanka dzisiaj chora:
O! ty wiesz, ty wiesz, że cię Dyanka kocha! —

a tłomaczy i opowiada co się stało, jak dziecko, a pod tem opowiadaniem ile się zgaduje walk, łez, strasznych heroicznych wyrzeczeń i poświęceń. Biedny żołnierz jest rozrzewniający swojem położeniem, a prześliczny sposobem w jaki je znosi. Rozpacza, ale rozpacza jak człowiek, któremu to uczucie jest codzienną strawą, który smutek uważa już za konieczność swego życia i przyjmuje go jako rzecz naturalną, inaczej być nie może. A przecież on zrezygnowany nie jest. Scena kiedy Jan upadłszy na ziemię, zamiast mówić śpiewa jakąś pieśń żołnierską, pieśń prawie bezsensu, przejmującą jak wycie północnego wiatru, smutną jak los sołdata, jest jedną z bardzo pięknych. Czy Słowacki tę pieśń sam wymyślił? Jest taka niezgrabna, taka bez związku, a przy tem tak rodzinnie, tak wiernie smutną, że doprawdy możnaby myśleć, iż ją chyba słyszał śpiewaną przez rosyjskich żołnierzy, na tę nótę dziką, przeciągłą i melancholiczną, którą oni w marszu śpiewają.

Dobrze mówi Idalia, że to cudowna scena. Ale szkoda, że ją trochę psuje. Pomysł jest doskonały: rzecz zupełnie naturalna, że Idalia zajęta losem Jana ofiaruje mu współczucie i przyjaźń, nawet że ofiaruje majątek, żeby mu do szczęścia dopomódz: ona zachwycona i wzruszona dałaby w tej chwili za jego szczęście swoje życie jak nic: cóż dopiero kiedy to szczęście byłoby zarazem i zemstą szlachetną, zemstą nad niewiernym Fantazym. Równie dobre to, że Jan ofiary jej przyjąć nie chce, a odpowiedź jego dumna, wysoka, szlachetna, jest śliczna. Ale jest w wykonaniu kilka tonów fałszywych, przesadzonych, nieprzyjemnych — jest ta „*rana w bucie*“ (dziura), którą Idalia chce całować, a która wygląda jak jeden z wyszukanych *concetti* Szekspira; jest Jan *wiszący za serce na ćwieku krzyża*, jest parę takich słów, które brzmią

jak zapowiedź późniejszej ostatniej Słowackiego manijry, jak styl przesadny i naciągany księdza Marka albo Srebrnej Salomei. Swoją drogą Idalia ma w tej scenie piękne chwile, kiedy naprzykład z ironiją i z pozornym spokojem opowiada swoją historyę:

A wiesz ty,
Że ja słuchając przysięgłam na ciernie
Chrystusa, że tej boleści pół biorę,
I będę tobie tutaj służyć wiernie
Sercem, co we mnie także bolem gore,
Także ranione. -- Nie pytaj o więcej,
Ale wiedz, że tu jedne mamy cele:
Ty ustępujesz — bo kochasz goręcej,
Boś jest mężczyzną, bo masz mocy wiele
I szlachetność ci męzka nie pozwala
Za prawo serca przeciw prawom ziemi
Bunt podnieść. Lecz ja -- ja — mnie tu krwi fala
Na brzeg rzuciła, żaglami złotymi
Płynącą; tu ja pruchnieję — ja, dawniej
Różanym gwiazdom i kwiatom kochanka,
Ja, rozgłoszona już miłością sławniej
Niżli niejedna Neapolitanka
Sztyletem romans kończąca — a przecie
Tak porzucona, jak Basia lub Rózia,
W której się cała palestra w powiecie
Kocha i wierszem dzwoni, że jej buzia
Jest pełna cukru!... Horor! mówię tobie.
Bo że ojczyzna ta mrze, to się zdaje,
Że wszystkie kwiaty więdną na tym grobie
I wszystko państwo ginie — a lokaje
W panów ubrawszy się, wiodą romanse,
Serca zdobyte czepiąc u zegarka;
Potem poezye pisząc i bilanse
Handlowe... Taka wielka gospodarka
W głowie tych ludzi teraz, że na wszystko
Jest czas i miejsce: to też wszystko blade;
Każdy jest panem, paniczem i chłystką,
Każdy od kuchty swego bierze radę,

A gdy co czyni, to siebie się pyta,
Czy kamerdyner się tam gdzie na boku
Nie śmieje. — Słuchaj! ja jestem kobieta:
To co mam w sercu, to widzisz i w oku —
Wzgardę, ogromną wzgardę, błyskawicę!
Otóż tą wzgardą... z tą wzgardą, o Boże!
Z tą wzgardą ja tu wpadłam w nawałnicę
Nieszczęścia — i coś rzucam w mgłę — coś tworzę —
Coś — sama nie wiem; ale jestsm pewna,
Że przyjdzie jaki wypadek, zdarzenie,
Które tonącej mi jak kawał drewna
Pomoże. A nie? — ha! to mam schronienie
Nie między ludźmi!...

Co za wysoki ton pogardy, wstrętu i godności! Słowem, scena pomimo usterek piękna, bardzo dramatyczna, bardzo smutna, Co więcej, zdaje się, że z niej wysnuje się dalszy wątek sztuki. Jan nie przyjął ofiary Idalii, ale nie jest tak silnym i stałym jak był, pragnie zemsty; zdaje się, że on coś zrobi...

Kto dramat pierwszy raz czyta, i nie wie, że ten ksiądz Loga w zakończeniu tego aktu pokazuje się po raz pierwszy i ostatni, ten przypuszcza oczywiście, że to rola potrzebna i ważna, i z zajęciem patrzy na tę wcale ładną, poważną postać prostodusznego księdza, któremu rozsądek i sumienie składają pewien rodzaj wyższości takiej, że on góruje nad Idalią i nad Janem. Scena jego z Janem jest ładna. Słowem akt cały, wszystko dotąd doskonałe. Zdaje się, że już wszystkie przygotowania skończone, expozycya zupełna, Materyału palnego, pierwiastku dramatycznego tyle, że teraz już piorun strzelić może: rozpacz Jana, nieszczęście Dyany, spokojna na pozór a prawie blizka obłąkania ironija Idalii, pod którą wrą wulkany rozpaczy, wszystko to zwiesza się coraz niżej i zbiera jak chmury przed burzą, i wszystko ciężkie, smutne, czarne i wszystko prześlicznie wymalowane. Czytając po raz pierwszy kończy się ten drugi akt pod wrażeniem, że teraz piorun uderzy, że z początkiem trzeciego przyjdzie coś okropnego. Zkąd? Czy od Idalii? czy od Jana? czy może od Dyany? kto padnie ofiarą? jedno z nich, czy Fantazy? Tego się nie wie, ale się

czegoś strasznego i tragicznego czeka i spodziewa, co tu przyjść musi, co przyjść było powinno — ale nie przyszło!

I otóż to przełamanie, zboczenie akcyi, to przeskoczenie jej w inną kolej jak ta którą szła dotąd.

Bytność Idalii nie mogła się ukryć: ztąd niespokojność Respekta i jego żony, żeby dawna kochonka Fantazego nie chciała przeszkodzić w ułożonych już projektach. Major przyjaciel, miarkuje co się dzieje, i chcąc oddać przysługę, usunąć najprostszym sposobem zawadę, każe Baszkirowi jakiemuś porwać tę kobietę. Ta interwencya Majora, nie jest pierwszą niemiłą niespodzianką, pierwszę dysharmoniją w dramacie; już na początku aktu trzeciego to drobne prześladowanie, na które się skarży Fantazy, te figle które mają go zrobić śmiesznym, czy one pochodzą od Idalii lub nie (zapewne nie, ale dowiedzieć się nie można) już psują tragiczne wrażenie, jakie zostało po akcie drugim. Ale koncept Majora jest niespodzianką i dysharmonią gorszą. Po co on się w to miesza: czyż te osoby, które dotąd działały nie wystarczają aż nadto, na to, żeby akcya między niemi i z nich mogła się rozwijać? Co oprócz tego, zawód dla czytelnika wielki: po drugim akcie on patrzał na Idalią, jako na figurę głównie działającą, od niej wyglądał katastrofy, spodziewał się, że ona wybuchnie, pomści się, słowem dźwigać będzie sprawę dalszą na swoich barkach. I tak logicznie, tak dla piękności dramatu być było powinno. Zniknienie Idalii w takiej chwili już musi akcyą paraliżować, zawsze byłoby nieszczęśliwym pomysłem, ale takim, któryby się dał jeszcze naprawić. Do wszystkiego co dotąd znieść musiała, dodano jeszcze zniewagę najdotkliwszą: sytuacya jej, choć tą niepotrzebnę komplikacyą zepsuta, zostawała taką jak była, dramat mógł iść dalej raz otwartym torem. Ale cóż: kiedy wszyscy oburzeni na Majora siadają do powozów i bryczek, żeby porwanej Idalii szukać, przepraszać, kiedy Fantazy, w którym wyrządzona jej obelga obudza jakieś wspomnienie dawnej miłości i wściekłości, puszcza się w pogoń na koniu, żeby ją ratować lub pomścić, a jeden tylko Rzecznicki zostaje w domu, bo się nie miał gdzie zabrać. Wchodzi, kto, Idalia, nie porwana bynajmniej, spokojna i niepojmująca wcale zdziwienia i pomieszania, z jakiem ją Rzecznicki wita. Co się stało?, Z długiej rozmowy, w której Rzecznicki drwinkuje i dowcipkuje

z Idalii tonem ostatniego gbura „dobrą pani miałaś drogę“ ale pokazuje się wreszcie, że Idalia nigdy porwaną nie była, że przyjechała pani Rzecznicka (o której egzystencyi nawet nikt dotąd nie wiedział), że chcąc męża zejść niespodzianie szła piechotą, że spotkała się z Idalią i wzięła jej kapelusz i szal, że Kałmuk temi pozorami zmylony porwał panią Rzecznicką i gdzieś z nią w świat pogonił. I ten incidens, to qui pro quo, to porwanie Rzecznickiej, która dotąd do akcyi nie należała wcale, staje się najważniejszem momentem dramatu, jego przesilaniem: fantazye Fantazego, tęsknoty i cierpienia Idalii, miłość Dyany, jej przymuszone zamęzcie, rozpacz Jana, te wszystkie śliczne i dotąd tak doskonale wprowadzone, tak zajmujące, tak dramatyczne sytuacye usuwają się w głąb, na pierwszym planie stoi porwanie Rzecznickiej; dalszy przebieg sprawy wyjdzie już nie z tamtych pierwiastków, naturalnie i pięknie, poetycznie i psychologicznie, ale z tego epizodu wtrąconego tu niewiedzieć po co, niepotrzebnego ani dramatycznego, ani komicznego, ani związanego z tem, co działo się dotąd: i od tej chwili ten epizod tak wyjdzie na wierzch, zabierze tyle miejsca, że figury tak pięknie nakreślone w dwóch pierwszych aktach, ich uczucia, ich interesa, nie będą mogły rozwijać się dalej, że poeta odtąd traktuje je pobieżnie, powierzchownie, zbywa je, nie ma czasu dać nic mówić o sobie, bo wszyscy mają do mówienia o mniemanem porwaniu Idalii, o pani Rzecznickiej. To staje się osią akcyi, ona niewidzialną wprawdzie, ale główną osobą. Co Słowacki myślał, czego chciał? cała ta historya utwierdza może w domyśle, że w zamiarze autora *Niepoprawni* mieli być komedyą, że przynajmniej przez chwilę zamiar taki był, choć krótko. Tem jednem wytłomaczyć jakoś można wprowadzenie tego zawikłania, które niby ma być komicznem, i użycie tak zużytego komicznego środka jak qui pro quo. Ale pomysł ten cały jest literackiem nieszczęściem, nieszczęściem dla teatru polskiego tak ubogiego, który przezeń stracił sztukę prześlicznie zaczętą, która byłaby jedną z jego najświetniejszych ozdób, gdyby była skończoną tak jak się zaczęła, a przez ten epizod, który zaciera wrażenie tragiczne poprzednich i już mu wrócić nie daje, jest z expozycyą swoją w zupełnej i rażącej sprzeczności. Desinit in piscem.

A jak się ta nieszczęśliwa historya mści zaraz na dramacie, na to dowodów dostarcza akt czwarty.

Idalia wraca do siebie. Czy zacznie jak mówiła prząść kądziel jak jej prababka, czy zechce dalej mięszać się wsprawy Respektów? mścić się? swatać Jana z Dyaną? Później, z nienacka bez przygotowania, pokaże się, że ona o tem myśli, że plan jakiś ma, i wykona. Ale to wszystko wyskoczy dalej jak Filip z konopi; dopiero kiedy już rzecz się stała, dopiero pokaże się, że hrabina o niej myślała. A teraz ma ona coś ważniejszego do roboty, musi zająć się panią Rzecznicką, ratować ją od śmieszności i obmowy! Że Idalia na taki pomysł wpada, że chce sama uchodzić za porwaną, w tem nie ma nic złego, to z jej naturą zgodne: Za kamień Rzecznickiemu oddać chleb, być obmówioną, oczernioną, wyśmianą niesłusznie, poświęcić się na to dobrowolnie, to wzniosła męczeńska rola, która się jej wyobraźni bardzo podoba, tak, że nietylko przyjąć ją w razie potrzeby jest gotowa, ale ją sama bez potrzeby wywołuje. Ale to zawsze wielka szkoda. O ile dramat byłby piękniejszym, gdyby Idalia teraz myślała o tem niespodzianem spotkaniu Dyanny z Janem, które przygotowuje, gdyby ta sytuacya dramatyczna istotnie i wzruszająca wystąpiła na jaw, zamiast być ukrytą za kulisami.

Gdybyśmy to spotkanie, tę miłość, ten żal, tę walkę, ten strach i gniew Respekta i Respektowej widzieli. Tymczasem tego wszystkiego nie ma: Stella już nie szczebiocze, Dyana nie płacze, Jan prawie się nie odzywa, wszyscy znikają, nawet o nich mało słychać, a za to o Rzecznickiej i Rzecznickim bardzo wiele. Żale Marszałka któremu się stał tak niemiły przypadek, mdłości pani Marszałkowej (której zdaje się, nie stało się nic, prócz, że się przelękła i strzęsła na siodle) exkuzy pani Respektowej przed Idalią, narzekania Respekta na niewczesny koncept Majora, oto, co stoi na pierwszym planie przez cały niemal ciąg czwartego aktu. Nagle wpada Stella oświadcza, że Dyanna zemdlała. Zkąd? co się stało? Idalia to tłomaczy, ona to przygotowała: podsunęła Dyannie jakieś album z jakiemś przypomnieniem, a następnie Jana samego.

„Sztambuch przejrzała, i zeszła się w sieni,
Twarz w twarz z tym pięknym brązowym ułanem.

Ten Sztambuch, potem ona — taka ogromna
Nagłość i takie przejście —

Co za Sztambuch? co tam Dyanna zobaczyła? Zkąd się to wszystko bierze? Naprzód, to jest Deus ex machina mniejszy od innych, które się tu znajdą, ale zawsze zły; a potem, co za szkoda, co za ogromna szkoda, że ta scena nie odbywa się przed naszemi oczyma.

Nie mniejsza szkoda, że cała sprawa między Fantazym a Majorem także schowana za kulisy, i także zawsze z łaski pani Rzecznickiej. Fantazy Idalii nie kocha, śmieje się z niej, ale kiedy jej wyrządzono gwałt i zniewagę, uczuł się, on, człowiek którego kochała, jej naturalnym obrońcą, nikt bronić jej ani pomścić nie mógł, tylko on. A na honorze znowu Fantazy zna się, i z pewnością nie pomyli się w tem, co mu honor zrobić nakazuje. Chce więc pomścić Idalię, a myśl o jej nieszczęściu, o obeldze wyrządzonej kobiecie, która jemu poświęciła wszystko, myśl o tem, co ona cierpieć musi, odnawia w jego sercu, przynajmniej w jego pamięci, jakieś resztki dawnych uwielbień i zapałów. Idalia porwana, skrzywdzona, wydaje mu się już nie śmieszną, ale na nowo poetyczną Dopadł więc Fantazy Majora, dał mu w twarz, z tego oczywiście wypada pojedynek. Jaki? grali w karty o życie: przegrał Fantazy. Śliczna ta figura, zostaje godną siebie do końca, i w tym czwartym akcie występuje doskonale: ale występuje za mało, Słowacki nas okrada, mamy prawo więcej Fantazego w tej sytuacyi widzieć, więcej go podziwiać, jak się sam w swojej dramatycznej sytuacyi podziwia.

Tak jak jest, choć on za mało się tu pokazuje, za mało miejsca zabiera, on jeden ratuje i podnosi ten cały akt. Wspaniały jest w swojej scenie z Rzecznickim, kiedy po swoim pojedynku wpada zmieszany, przerażony tem, co się stało, i tem, co się stać ma, gorzki i heroniczny zawsze, odważny naturalnie i nie wahający się umrzeć. a jednak zdjęty mimowolnym dreszczem, a przytem wszystkiem zawsze udający, zawsze szukający w swojem życiu effektów i na effekt się oglądający. Jak się to wszystko razem splata, i jak doskonale przebija przez jego urywane, na pół nieprzytomne słowa, determinacya śmierci, żal życia, wyrzut sumienia, szlachetność uczucia,

(w tem co mówi o Dyanie) poezya wreszcie kiedy z tak niezaprzeczonym talentem fantazyuje o własnej śmierci:

Dość! czas szybko bieży...
Do grobu spieszno — a strach!... Nie idź za mną!
Bo gdybyś i szedł: to nie trafisz wcale;
Śmierć ma tebańską stolicę stubramną;
Jedne są bramy jak krwawe korale
Czerwone — inne są jak perły białe;
I białe, bez ran, duchy przez nie wchodzą.
Bądź zdrów!... Królestwo mego ducha całe
Niezbuntowane, ale z ciała już się płodzą
Robaki... i te w ustach słowa zimne
Są robakami...

A znowu ten testament który on pisze, ten majątek, który ma się sprzedać, zmienić na złoto, z tego złota ulać pierścionek z napisem: Trup swej narzeczonej, i oddać Dyannie, to pomysł człowieka który nawet w śmierci prostym być nie umie, nawet śmierć musi mieć teatralną. Jak jego ten pomysł cieszy, jak on rozkosznie używa na wrażeniu jakie ten testament zrobi na Dyanie, jak ją sobie wyobraża przez całą resztę jej życia ugięta pod ciężarem tego strasznego pierścienia, smutną narzeczoną trupa, podobną do bohaterek najczarniejszych legend i ballad. A zarazem przypomina sobie i Idalię: „ostatnia moja godzina innym się duchom należy,“ mówi to trochę przez pamięć dawnej miłości, trochę przez wdzięczność za stałą i nieograniczoną miłość, a trochę i przez instynkt miłości własnej. Nie ma na świecie drugiej istoty, któraby tak się zachwyciła ponurą poezyą jego położenia jak Idalia, nie ma takiej przy której mógłby tak wygodnie, tak rozkosznie poetyzować w chwili samobójstwa, nie ma takiej któraby jego tak podziwiała w tej chwili. Wraca więc do Idalii. I to znowu bardzo dobrze, że jej nie widzi, nie rozmawia z nią, ale listem wzywa na ostatnią schadzkę na ziemi.

LOKAJ.

Daj, niech ja przeczytam!
„Schadzka ostatnia dusz naszych na ziemi
„Dziś o północy“...

HELENKA.

Pana Boga pytam,
Czy tutaj jest sens?

LOKAJ.

„Czarami złotemi
„Ostatni toast dziś — lub z tobą razem
„Piję aniołom — albo też samotny"... —
Święty Józefie! za każdym wyrazem
Wykrzyknik, a list taki był wilgotny,
Że na nim moje palce znać wyraźnie
Wydrukowane. — Djabli jacyś wodzą
Pióra tym panom: piszą niepokaźnie
W gzygzaki. (Czyta). „Tam, gdzie na świecie się schodzą
„Wszyscy i wiecznie zostają — gdzie Juliet
„Obudziła się i zasnęła — czekam."

Co za list wyborny. Służący który go czyta nie może dojść sensu: ale czytelnik więcej literacki widzi jak Fantazy gotując się do śmierci, przypomina sobie wszystkich poetycznych samobójców, jak się równa z Wertherem, jak odgaduje, czy Romeo w grobie Capuletów miał takie same myśli i wrażenia jak on teraz, lub trochę odmienne. Zrozumiała też i Idalia o co chodzi, i w obawie, czy czasem trucizny w *czarze* albo kuli w pistolecie dla niej nie zabraknie, dla wszelkiej pewności chwyta swój wenecki sztylet, i leci umierać z dawnym kochankiem, albo przebić się na jego trupie.

I byliby dotrzymali oboje: następuje scena jedna z najoryginalniejszych w poezyi, a najpiękniejsza może wtym dramacie, pierwsza scena piątego aktu. Wprowadzić dwoje ludzi, którzy mają tylko godzinę życia przed sobą, są zdecydowani się otruć, mówią o tem, liczą minuty i chwile jak jedna za drugą uchodzi, i wiele ich jeszcze do życia zostaje, i w tej sytuacyi zrobić ich śmiesznymi, to myśl najśmielsza jaka być może. Byłaby nieludzką, gdyby istotnie rzeczy dojść miały aż tak daleko: Göthe, który przez cały ciąg swego romansu przedstawia Werthera ironicznie, porzuca ten ton, traci nawet to uczucie, kiedy przychodzi do śmierci, i wtedy ma dla swego bohatera współczucie tak prawdziwe, a wyrażone tak rzewnie, że ona zaciera niemal wrażenie tej dawniejszej ironii, że mnó-

stwo ludzi rozrzewnionych tem współczuciem dało się złudzić i wzięło Werthera po prostu za ideał, za bohatera. Słowacki w tej scenie ironii nie porzuca, śmieje się bez litości z Fantazego i z Idalii, zdaje się stać za nimi i szeptać im ciągle: „gracie komedyę — przez całe życie uważaliście świat za teatr, a siebie za poetycznych bohaterów dramatu, i teraz nawet, w tej uroczystej ostatniej chwili, kiedybyście przecie mogli i powinni mi już nie udawać, i teraz jeszcze nie ma w was prawdy, nie ma prostoty, zabieracie się do śmierci jak komedyant na scenie, kiedy się ogląda czy go publiczność widzi, czy podziwia, i nadsłuchuje czy nie klaszcze.“ A przecież, w tem jest niepojęta jakaś Słowackiego sztuka, pomimo tej ironii autora, pomimo tej śmieszności figur, figury te są poważne i są poetyczne. Jak on to zrobił? W takie sekreta poetycznej roboty wglądać próżno, bo się ich nigdy na prawdę nie docieknie: może stało się to przez tę fantazyę istotnie poetyczną, którą wielki poeta swoim byronicznym bohaterom nadać umiał: może piękność słów i obrazów w rozmowie Fantazego i Idalii daje nam czuć, że to ludzie przesadni i udający trochę, ale nie zwyczajni ludzie, tem mniej zwyczajni komedyanci, dość że rozwiązał zagadkę na pozór nie do rozwiązania: uczynił bohaterów swoich w sytuacyi najtragiczniejszej śmiesznymi, a w tej śmieszności potrafił zrobić ich poetycznymi, poważnymi i wyższymi, i w tym podwójnym charakterze utrzymuje ich (jak przez cały ciąg sztuki, co już było dość trudnem) przez cały ciąg tej sceny, w której te dwie rzeczy razem zdaje się, pogodzić się i połączyć nie mogły. Charakter osób, psychologiczna prawda ich natury, wymagały tego połączenia, a dziwny, nigdy może drugi raz tak misterny i subtelny takt poety, potrafił to połączenie zrobić i utrzymać.

Wspaniała scena: cmentarz: naturalnie, ci dwoje ludzi nie mogli swojej ostatniej schadzki na ziemi odbyć gdzie indziej jak na cmentarzu, wśród dekoracyi grobowców, krzyżów, świerków, i kwiatów zasadzonych na grobach dzieci i dziewic: księżyc to już ostatnia dla nich grzeczność natury, bez księżyca obejść się nie mogło, księżyc dyskretny, smutny, w harmonii z ich duszami, przesłaniany od czasu do czasu czarnemi chmurami. Jak im świecił niegdyś, kiedy wśród weneckich pałaców lub po Neapolitańskim golfie pływali w uniesieniach i za-

chwytach miłości, sami, z jedną tylko arfą Idalii za świadka i towarzysza szczęścia, tak został im wiernym do końca. Fantazy, poeta, artysta, od niego nawet mowę swoją zaczyna, przedsmak pierwszych wrażeń śmierci, miesza się u niego ze wspomnieniami i z ostatniemi wrażeniami piękności na ziemi. Zaczyna się rozmowa, zupełnie zapewne podobna do tych, które prowadzili z sobą za lepszych czasów, pod włoskiem niebem, w ciemnych przegubach Coliseum, albo w gajach Sorrentu, a która kończyła się rozkosznem uściśnieniem miłości, jak tu zakończy się ostatniem uściskiem w śmierci. Idalia widzi czarne cienie i smutne grobowe figury, Fantazy obiecuje, że jej pokaże tęczowe dachy, z pewnością nie inaczej rozmawiali oni w swoich poetycznych podróżach.

FANTAZY.

Oto są Idy marcowe Cezara
Śmiertelne — bo ty jesteś moją Idą.
Cóż? dotrzymałem słowa... Godzin para
Ostatnich — z tobą! Gwiazdy nasze przyjdą,
Miesiąc nasz złoty już jest i dotrzymał
Słowa — na ucztę śmierci przyszedł pierwszy.
Świat mię był w takie łańcuchy poimał,
Że teraz pewnie mój sen będzie szerszy,
Gdy oddam ducha. Tony moje drżące
Były boleścią ducha ostateczną. —
Siądź tu. W twych oczach widzę dwa miesiące
Błękitne — będziesz mi harmonią wieczną,
A oczy wiecznem źródłem światła będą;
Wypiję wszystkie złote z nich promienie.

IDALIA.

Ten cmentarz zawsze był najmilszą grzędą
Mego ogrodu. — Patrz, jakie tam cienie
Czarne pod gęstwą lip! i głazów twarze
I na czarności krzyżów niewidzialnych
Głowice trupie...

FANTAZY.

Tęczowe duchy, twarze bóstw fatalnych,
Które mi zawsze w nocy były blisko

I to zrobiły, żem tak głupio — marnie
Życie me rzucił.

Idalia jest do śmierci zupełnie gotowa: nie namyśla się, nie dyskutuje, umrze, to się rozumie samo przez się, to rzecz tak naturalna i prosta. Jest w tej decyzyi zupełnie spokojna, a co więcej nawet nie przesadna. Przecież śmierć nie jest rzeczą małej wagi, życie Fantazego może się przydać, żąda zatem Idalia, żeby się przed ostatnią chwilą jeszcze raz zastanowił. Mścić się nie miał za co: nie ona była porwaną przez Baszkira ale pani Rzecznicka, czy warto dla tego umierać?

Że nie warto, to Fantazy wie i czuje dobrze: i ten śmiech głośny, szalony; którym wybucha, kiedy się o awanturze pani Rzecznickiej dowiedział, to śmiech gorzki, przymuszony, spazmatyczny, którym Fantazy głuszy swój żal za życiem, żal że tak marnie, dla niczego umiera. Jak ta gorycz i ironia dobrze przebija przez te słowa:

IDALIA.

Ten śmiech — —

FANTAZY.

Uderzył po głowie obuchem
W posąg piękności — i w szarego stracha
Zamienił tę śmierć, która przy nas stała
Niby cudowna postać z alabastrów,
W gwiazdach, w motylach i w miesiącach cała,
Z kobiercem maków, dziewanny i astrów
Pod cichą stopą. — Patrz, jakich komików
Wydaje Polska: aż do grobu śmieszą!
O! o koncercie śmiechu i słowików,
Graj!.... Otoczona dziwolągów rzeszą,
Straszliwa, w czepcu — nowa Dejanira
Poprzedza orszak nasz, dwie nasze trumny,
I krzyczy: Za mnie ginie syn Zefira
Z córką Aurory!!

Ale umrzeć musi: przegrał życie w pojedynku — dla pani Rzecznickiej czy dla czego innego, wszystko jedno, honor

żyć mu nie pozwala, już ma tylko kwadrans. I wtedy zaczyna się przepyszne zakończenie tej sceny: Idalia, kobieta, ma chwilę nie słabości, ale bojaźni, żeby nie osłabła, i woła na swego wieszcza żeby ją słowem jakiem umocnił, pokrzepił podniósł,

O znajdź, znajdź jakie słowo większej mocy
Aby mnie w ciemnej śmierci rozmiłować —

a Fantazy wtedy zawsze porównywając siebie z Manfredem, z Dantem, ze wszystkiem co poetyczne, opowiada jej co będzie jutro, po ich śmierci, jak serca młode będą po tych miejscach z rozczuleniem szukać ich śladu, mówi że razem ulecą z ziemi, i tą świetną improwizacyą, w której jest i prawdziwa poezya i właściwa bohaterowi pretensya, tak nastraja wyobraźnią i nerwy Idalii, że ta gotowa jest, „w świętem zachwyceniu,“ jak on mówi, „dać cichą głowę pod kosę śmierci.“

FANTAZY.

Patrz — ta kaplica z krzyżem złotym, w nocy
Stojąca jak duch, zacznie tu panować
Ducha naszego siłą... i z kamieni
Miłością świata lać sakramentalnie!
Jutro ten kościół tak się w nas wpromieni,
Jak w smętne światło, i będzie fatalnie
Działał na smutne duchy, serca młode —
Jak pieśń, która nam dzieciom w piersiach dzwoni.
Chodź! do kaplicy cię tej ciemnej wiodę.
Astarte!... o ty, bez lauru na skroni
Nieznanego tu ducha Beatricze,
Którą porwałem i aniołom niosę,
Chodź, chodź! i w Madonn się wpatruj oblicze
I w zachwyceniu świętem daj pod kosę
Miesięczną śmierci cichej twoję głowę!
Co mówię? — na niej stań, jak na miesiącu,
A on skrzydlaty z nami w światy nowe
Uleci — i w słońc ognistych gorącu
Postawi czoła nasze na granicy
Ostatniej, kędy ludzki duch dolata...
Chodź! chodź! chodź do tej, o siostro, kaplicy!

Chodź ze mną! stamtąd nie wyjdziesz bez brata,
Ani bez siostry ja — chociaż oboje
Bez ciał wyjdziemy...

Idą więc pomału ku kaplicy w której mają zażyć truciznę — w samej śmierci jeszcze wrażeń chciwi, idą pomału jak żeby się oglądali na własne cienie czy piękne i poetyczne — oddają sobie swoje duchy w ostatniem pocałowaniu... w tem Pada strzał. To Major się zabił.

Po niesłychanej psychologicznej prawdzie i wielkiej piękności tamtej sceny, zakończenie wygląda źle. Naprzód ten Major, istna nieszczęśliwa machina z której wyskakują coraz nowe Deusy, ten Major strzela sobie włeb przez dobroć serca, doprawdy przesadzoną i nie do uwierzenia. Niby to dla tego, że po obeldze jaką mu Fantazy wyrządził, dwóch ich na świecie zostać nie może, a młodego człowieka szkoda. Ale, jeżeli już Major był tak dobry, tak nie zawzięty na Fantazego, to doprawdy byłby się przecie może znalazł jaki inny sposób wyjścia z trudności, nie to samobójstwo zgrzeczności. Jako figura Major nie jest wcale zły: tylko tu w dramacie niepotrzebny i szkodliwy, robi same rzeczy złe albo zbyteczne. On porywa Rzecznicką i tem psuje sztukę bez ratunku: on znowu teraz ginie nie wiedzieć dla czego, żeby autor, nie trudząc się wymyślaniem innych podobniejszych do prawdy perypecyi, mógł finalnie swego Jana z Dyanną wyswatać. A do tego jeszcze, ten Major chyba sam nie wie czego chce i co robi. Wszak kocha Jana jak własnego syna, przywiózł go do Polski na to, żeby on mógł Dyannę zobaczyć, o jego miłości wie — jakżeż to zrozumieć, że on właśnie każe porywać Idalię? przecież jako przyjaciel Jana powinien w tej przeszkodzie do małżeństwa Dyanny z Fantazym widzieć aliantkę i działać z nią w porozumieniu? Znowu szczegół drobny nad którym się Słowacki nie zastanowił, podług zwyczaju, a który przecież ma w sobie sprzeczność niewytłomaczoną; do usunięcia był bardzo łatwy: mógł naprzykład Major, dopiero po porwaniu Idalii, usłyszeć od Jana zwierzenie o jego miłości — lepiej zaś i najlepiej byłby zrobił gdyby był Idalii czy pani Rzecznickiej wcale nie porywał.

W zakończeniu samem dwa małe błędy. Że Respekt nie pyta zkąd się pieniądze biorą, byle on ich nie ukradł a były, to rzecz naturalna: że Major nie czuje, iż je źle nabył, także. Ale ten Jan tak skrupulatny, tak wysoce honorowy, który odrzucił majątek ofiarowany przez Idalię, bez najmniejszego wstrętu bierze ten majątek Majora zebrany przekupstwem i srogiem, jak sam mówi, wymaganiem od kupców, żeby mu się opłacali, to trochę dziwne. A drugie, drobne, ale rażące słowo ostatnie Idalii. Kiedy Fantazy, który zwolniony z konieczności samobójstwa wytrzeźwiał znowu, oświadcza jej, że wyjeżdża i prosi, żeby była wspaniałomyślną i nie żądała od niego miłości, Idalia odpowiada *żądam szacunku!* Nie — ona nigdy tak odpowiedzieć nie mogła; mogła kochać dalej lub gardzić, mścić się albo przebaczyć, żądać miłości albo zapomnienia: ale *szacunku*, tego uczucia zimnego, prozaicznego, którego w jej położeniu zażądałaby najzwyklejsza kobieta, pani Rzecznicka nawet, cóż znowu! Wszystko, ale nie to hasło kobiet takich jak Idalia. Te natury królewskie mogą obejść się bez niczego, ale przyjąć mniej jak wszystko, tego nie mogą, bo czują i wiedzą, że im się z prawa należy wszystko, co tylko dać może człowiek, którego kochać raczą.

Wszystko razem wziąwszy, jest tylko jeden wielki błąd w Niepoprawnych, drugim, już znacznie mniejszym, jest samobójstwo Majora, a zresztą drobne tylko usterki, które się tylko dla spokojności sumienia wylicza. Ale ten jeden, porwanie pani Rzecznickiej, jest taki, że cały dramat psuje, że cała piękność i doskonałość figur nie może go uratować, że jest zupełnie, radykalnie zepsuty przez to zboczenie akcyi, zarzucenie sytuacyi bardzo dramatycznych i wdzięcznych, a zastąpienia ich innemi, które naprzód nie są ich warte, obojętne, czcze, bez zajęcia, ani dramatyczne, ani zabawne, a powtóre z poprzedniemi ani w logicznym związku, ani w harmonii pod względem tonu.

Szczęściem, pięknosci jakie tam są, pomimo że sztuka jest zepsuta, zostały i kiedy się nad niemi płakać chce, że ich poeta lepiej nie użył, używa się na nich zawsze. Figury wszystkie dobre, i rzecz u Słowackiego bardzo rzadka, są jednolite do końca z sobą zgodne, wiernie i logicznie w charakterze swoim utrzymane. Jedne są pełne humoru i komicznej prawdy,

jak Respekt i jego żona, inne pełne wdzięku, jak córki. Jan wcale pięknie na bohatera zakrojony, Rzecznicki dopóki po porwaniu żony głowy nie stracił, ma dużo życia i fizyognomii, nawet Major dobry, nawet ksiądz Loga, nawet służący. Sceny i sytuacye niektóre śliczne; całe dwa pierwsze akty, początek ostatniego, nawet niektóre krótkie ustępy z czwartego. Ale nad wstystkie górują dwie postacie pierwszego rzędu, dwa typy istotnie nieśmiertelne, doskonałe, i jako pomysł i jako wykonanie, wymyślone z niezmierną bystrością, utrzymane konsekwentnie z najściślejszą psyhologiczną prawdą, a odmalowane z najsubtelniejszą, najmisterniejszą delikatnością pędzla, Fantazy i Idalia.

Te dwa typy pierwszorzędnej doskonałości zapewniają prawo do wielkiej sławy dziełu zkądinąd bardzo wadliwemu, przez nieszczęśliwy a u autora zbyt niestety częsty brak zastanowieuia i rozwagi, zupełnie zepsutemu.

Nic rzadszego, jak w poezyi figura poety, prawdopodobna i piękna. Naprzód czytelnik jest z góry do figur takich uprzedzony, nie wierzy im: gdybyś ty był poetą, mówi, znałbym twoje imię i twoje poezye, to bajka — i zachowuje się zimno, odpornie względem poety, którego ma za samozwańca. Najczęściej zaś figury takie udają się jak najgorzej. Autor zapowiada o swoim bohaterze, że to gieniusz, mistrz, wielki człowiek, w którego głowie siedzi najpotężniejsza fantazya, a w sercu wrą i grzmią wulkany uczucia, a że oczywiście ani gieniuszu, ani fantazyi, ani uczycia nie może temu bohaterowi dać więcej jak go sam ma w swojej głowie, więc zapowiedziany wielki poeta wydaje się dość małym — takim jak autor; dowód naprzykład na Schillerze, kiedy go Laube bezbożnie zrobił bohaterem dramatu i wyposażył tym poetycznym gieniuszem, jaki miał sam. Słowacki jest mądrzejszy. Naprzód nigdy o Fantazym nie mówi, czy to naprawdę poeta zdolny, czy tylko nieszczęśliwy aspirant do poezyj. Tym sposobem unika trudnego zobowiązania, nie potrzebuje kłaść gieniuszu w głowę swego bohatera. A potem, sam wielki poeta, umie temu bohaterowi nadać tyle poetycznego usposobienia, że czytelnik nie zmuszony wcale, dobrowolnie w zdolność i poezyą Fantazego wierzy. Czy to dlatego, że Słowacki sam figurę tę poezyą natchnąć umiał, czy może, jak chcą niektórzy, że malował ją z natury

i kładł kopije w usta rzeczy, które słyszał od oryginału, lub przynajmniej do tych podobne, dość że Fantazy jest jednym z bardzo rzadkich w poezyi poetów, którzy wyglądają prawdopodobnie, w których zdolność i poezyą się wierzy. Są w jego roli ustępy, które tylko z poetycznej, bardzo poetycznej głowy wyjść mogły i które tę stronę jego natury ślicznie charakteryzują, jak naprzykład w akcie pierwszym (scena VI) usposobienie to maluje, albo kiedy w czwartym i piątym akcie mówi o śmierci, ale zwłaszcza ustęp z pierwszego aktu — ten nie mógł być napisanym tylko przez człowieka, który sam zna cały proces poetycznego stworzenia, wie, co się w fantazyi odbywa, kiedy ona pomysł jakiś poczyna.

FANTAZY.

Prawdę ty mówisz: same jakieś światła
Chodzą po mojej głowie — jak u dzieci —
Zielone, jasne, czerwone — jak na tła
Złote rzucone przez Wenecyanina
Świętych postaci; różne jakieś tony,
Z których ton każdy mi coś przypomina
Smutnego, a ma niewytłómaczony
Urok dla ducha. W powietrzu mi dzwonią
Różne pamiątki miejsc; koło mnie chodzą,
Każda ze swoją twarzą, swoją wonią,
Zmieniona w Nimfę, w postać. . . . Ach! jak szkodzą
Uczuciom myśli nadto rozwinięte!
Zda się upiory piękniejsze, że smętne —
Zdaje się kwiaty smętniejsze, że ścięte —
Zda się, że bóstwa — tak, krwią nie namiętne,
Ale grzejące słonecznością lica —
W wieńcach, w kameliach z gwiazd, których kolory
Niepewne jako półtęcze księżyca
Srebrzeją. . . Myśli me — już pół-upiory,
A jeszcze myśli. . . .

Kiedy Fantazy, z doświadczenia Słowackiego, tak tę całą tajemniczą robotę wyobraźni zwykłym ludziom nie znaną opisze, wierzy się Fantazemu, myśli się naprawdę, że to on poeta.

Jeszcze raz, figura jedna z najoryginalniejszych, najbardziej jednolitych, zupełnych, psychologicznie najprawdziwszych, najmisterniej wykończonych, najdelikatniej wycieniowanych, jakie są w poezyi Słowackiego. Idalia jego godna.

Na grobie skończonej zamkniętej epoki, na grobie romantyczności byronizującej i chciwej wielkich dramatycznych efektów w życiu, stoją te dwie postacie jak posągi, z których potomność pozna ducha i fizyognomią tej epoki. Nie brak tam niczego. Poetyczne porywy, coraz nowe zachcenia wyobraźni, skłonność i zdolność wmawiania w siebie i przesadzania uczuć i wrażeń, a obok tego i wierność temu poetycznemu ideałowi, naśladowanie go w życiu, staranie się o oczywistą piękność życia, wzniosłość uczuć, zdolność poświęceń, usposobienie istotnie artystyczne, wszystko aż do wykwintności arystokratycznych natur i przyzwyczajeń, wszystko w nich jest, i wszystko tak po mistrzowsku połączone, że śmieszność i zdrożność udawania jest widoczna, a nie zasłania piękności i szlachetności wrodzonej natur, a poetyczna i piękna strona tych dusz nie zamiera, nie zmniejsza śmieszności i zdrożności ich złego nałogu. Figury to na wielką skalę, figury, które reprezentują cały jeden psychologiczny genus ludzi XIX wieku, i nawet figury, w których mieści się i moralna nauka dobra do rozważenia: dla ludzi skłonnych do dramatyzowania własnego życia przestroga, dla innych, zbyt na tę nierzetelność niecierpliwych i zawziętych przypomnienie, że pod komedyą fałszywej poetyczności może się przecież kryć prawda rzeczywistej, a przez to i poetycznej piękności uczuć i woli.

St. Tarnowski.

KRACH.

(*Joseph Neuwirth:* Die Spekulationskrisis von 1873).
(*Benno Weber:* Einige Ursachen der Wiener Krisis vom Jahre 1873).

Prasa wiedeńska, najmłodsza, najpóźniej wyemancypowana, w krótkim przeciągu czasu potrafiła prześcignąć europejskie koleżanki i zdobyć sobie wyjątkowe stanowisko i wpływ nadzwyczajny. Jakiemi drogami chodziła, żeby dojść tak wysoko, opowiadać zadalekoby nas zaprowadziło. Dość przypomnieć, że pierwsze ostrogi zdobyła w boju o zaprowadzenie instytucyi liberalnych, że z liberalizmem zwycięzkim ścisły sojusz zawarłszy, szybko w pierze wzrastała. Szwindel przyprawił jej złote skrzydła i wyniósł ją do szczytu potęgi; krach skrzydła obciął i stanowisko podkopał.

Od początku emancypacyi dziennikarstwo wiedeńskie popadło w ręce żydów, prusaków, rozmaitego gatunku przybłędów podejrzanej wartości moralnej. Obok kilku niezaprzeczonych talentów publicystycznych skupiło się stado indywiduów opatrzonych niesłychanym sprytem i szerokiem sumieniem, gotowych sprzedać się za dobrą cenę, uważających dziennikarstwo nawet nie za rzemiosło, lecz za środek łatwego i pewnego zysku. Wiedzieli oni dobrze, że bezdenna głupota ludzka dzielnie przyczyniła się do ufundowania dziennikarskiej potęgi, że łatwowierność czytającej publiki jest najlepszą rę-

kojmią trwałości i wpływu. Spekulując więc na głupstwo i łatwowierność masy czytających, odwołując się do ich słabostek, schlebiając ich namiętnościom, zręczną insynuacyą, kłamstwem, blagą, zdobyli takie nieograniczone zaufanie, że każda brednia na bibule wydrukowana uchodzi za artykuł wiary nawet u tych co w nic niewierzą czego własnym rozumem nie zgłębią.

Dziennik sam przez się uchodzi w Wiedniu za przedsiębiorstwo mało zyskowne. Wydawcy wielkich dzienników utrzymują oddawna, że prenumerata pokrywa zaledwie koszta papieru i druku. Dochód z inseratów musi najprzód pokryć stępel, honorarya, redakcyę i administracyę, a dopiero reszta stanowi czysty zysk, który wysokim być nigdy nie może. W takich warunkach trzeba niezwykłego hartu moralnego, żeby oprzeć się pokusom i utrzymać na prostej drodze, niezbaczając nigdy na boczne ścieszki na których dość się schylić, żeby złoto garściami zbierać.

Do świętości prasa w ogóle pretensyi nie ma i nie miała. Są wyjątki, dzienniki mające sumienie i to sumienie czyste jak słońce, honor bez skazy i uczciwość pierwszej wody; większość jest zwykle przystępna brzęczącym argumentom, ale prasa wiedeńska wydoskonaliła sprzedajność do tego stopnia, że w Wiedniu, przed krachem, dziennik zręcznie prowadzony był prawdziwą kopalnią złota. Żaden interes, mniejszy czy większy nie zrobił się bez opłacenia się dziennikom. Pomiędzy kosztami założenia figurowała w rachunkach każdego przedsiębiorstwa pewna suma, odpowiadająca wysokości kapitału zakładowego, przeznaczona na *pozyskanie poparcia prasy*, która zarówno wynajmowała swoją mowę i sprzedawała swoje milczenie, stosownie do tego co było bezpieczniejszem, zręczniejszem lub zyskowniejszem.

Wielkie dzienniki zapalczywie prześladowały tak zwaną *Revolverpresse*, owe brudne, pokątne pisemka, żyjące z haniebnego rzemiosła, polegającego na wyłudzaniu pieniędzy groźbą skandalu, — tak jak gdyby nie praktykowały tego samego rzemiosła tylko na wielką skalę, w biały dzień i w obliczu całego świata? Ile razy jakie towarzystwo zapomniało złożyć obowiązkową daninę papierowemu smokowi, tyle razy ogłoszone zostało za szwindlerską robotę, podane w podejrzenie lub zabite milczeniem. Opłacać się trzeba było przy założeniu,

opłacać w ciągu roku, opłacać osobno w porze robienia bilansu, przed zgromadzeniem ogólnem i po zgromadzeniu, opłacać się pod postacią artykułów, komunikatów, anonsów, prenumeraty i t. p. Niektóre dzienniki wypuszczały hurtem w dzierżawę całą część finansową, inne poprzechodziły na własność konsorcyów bankierskich. Wreszcie dziennikarze na równi ze zwykłymi śmiertelnikami nie pogardzali synekurami, nie brakło ich w radach nadzorczych, między założycielami, w syndykatach i wszystkiego rodzaju szwindlerskich instancyach. Podobne tranzakcye i kombinacye finansowo-dziennikarskie wiadome bywały wtajemniczonym, oraz małej liczbie osób mających interes i środki dojścia do gruntu rzeczy i odkrycia prawdy. Dla wielkiej publiczności dziennik pozostawał wyrocznią, choć przestał pisać z przekonania, a zaczął pisać za pieniądze, choć zmienił kolor i przeszedł do innego obozu. Rzeczą było wprawy, sprytu i bezczelności pociągnąć za dziennikiem czytelnika, i przemówić do przekonania jego kieszeni, a tych trzech przedmiotów dziennikarzom wiedeńskim nie brakło, mieli wszystkiego do zbytku, szczególniej miedzianego czoła. Przez kilka lat z rzędu na wszystkie sposoby podniecali chciwość zysku we wszystkich klasach społeczeństwa, wskazywali drogi łatwego zarobku, rozpowszechniali zarazę gry spekulacyjnej, wynosili pod niebiosa dobrodziejstwa szwindlu, kiedy zaś krach przyszedł krzyknęli chórem: myśmy to dawno przepowiadali, myśmy dawno czytelników o niebezpieczeństwie ostrzegali!...

Wspólnictwo wszystkich dzienników wpływowych ze szwindlem, było najgłówniejszą przyczyną rozszerzenia zarazy spekulacyjnej i szulerskiej po całej Austryi. Już na pierwszej stronicy czytelnik znajdował poranny pacierz przypominający mu, że liberalizm sprowadził *rozwój ekonomiczny,* który to rozwój wzbogaci nieomylnie każdego, kto w nim zechce wziąść udział według recepty w części finansowej podanej. Najostrożniejsi, najmniej łatwowierni kończyli nie raz na tem, że radom dziennikarskim dali się powodować i według dziennikarskich skazówek swojem mieniem rozporządzali, bo te rady i wskazówki przez długi czas znajdowały najwymowniejsze, najskuteczniejsze poparcie w ciągłem podnoszeniu się kursów wszystkich papierów spekulacyjnych, używających wyłącznie protekcyi dziennikarskiej. Kto idąc za radą jakiegoś dziennika,

kupił jakiś papier, nie mógł nie przyznać, że ta rada wyborną, zbawienną, złotą, mądrą, skoro wartość papieru z dnia na dzień wzrasta. Na czem się to skończyć miało i skończyć musiało — o tem dzienniki starannie milczały.

IV.

W zimie z 1872-73 r. blizkość przesilenia giełdowego uchodziła za pewnik, nie tylko u ludzi fachowych, ale nawet u rozmaitego stopnia graczy giełdowych. Przekonanie, że kryzys przyjść musi i długo na siebie czekać nie każe, zamiast skłonić do upamiętania, zamiast szał powstrzymać, było owszem oliwą dolaną do ognia. Będzie przesilenie, mówili wszyscy; to prawda, ale starajmy się odwlec tę chwilę, aż dopóki nie skończy się wystawa. Wtenczas pieniądz obcy napłynie i nasze papiery drogo kupione sprzedamy jeżeli nie z zyskiem, to przynajmniej bez straty, *et aprés nous le déluge!* Więc jedni nowe banki zakładali i wypuszczali nowe papiery, drudzy te papiery na kredyt kupowali, inni też same papiery brali w zastaw, wszyscy zaś mieli jedną wspólną myśl, żeby kursa coraz wyżej wypędzać i żeby sztucznie trwać jak najdłużej, dopóki oczekiwana pomoc nie nadejdzie.

Tymczasem złe coraz bardziej wzrastało i szerzyło się. Im wyżej rosła prawdziwa wieża Babel nowych papierów spekulacyjnych, tem bardziej i dotkliwiej Austrya ubożała.

Zwykłą taktyką dziennikarską było stawiać za dowód wzrostu bogactwa narodowego, owe miliony reprezentowane przez wartości nowej kreacyi. Krach nauczył nas co o nich trzymać należało, dziś wiedzą wszyscy z naocznego przekonania, że były to miliony fikcyjne, bańki mydlane, ale wtenczas nikt nie chciał zastanowić się nad tem, ile Austryę kosztuje utrzymanie tej wieży babilońskiej. W gruncie rzeczy bowiem cały mechanizm spekulacyjny polegał na zastawach. Spekulant kupował jakiś papier, zastawiał, za pieniądze z zastawu otrzymane kupował nowy papier, znowu zastawiał i tak dalej aż do ostatnich granic możliwości. Jakie rozmiary przybrał lombard, widzieliśmy wyżej. Wielkie banki, wybredniejsze w wyborze zastawów, przyjmowały tylko lepsze papiery; banki mniejsze

albo mniej oględnie prowadzone, kontentowały się efektami niższego rzędu; zresztą jak długo kursa ciągle szły w górę wszystkie papiery były uważane za prawie równie dobre w interesie lombardowym. Więcej może niż sam papier ważyła zamożność i kredyt zastawiającego. W końcu każden papier nowo powstający znajdował osobną klasę amatorów, którzy go ze szczególnem upodobaniem lombardowali. Tym sposobem rozszerzało się ciągle błędne koło, w którem kręcili się założyciele, spekulanci i lombardujący, a zarazem rosła potrzeba gotówki, umożebniającej wszystkie te kuglarstwa. Giełda wiedeńska wysysała z całej monarchii gotowe fundusze, ze szkodą istotnych źródeł bogactwa krajowego. Pianiądz na giełdzie bowiem nie jest nic w stanie wyprodukować, zmienia tylko co chwilę posiadacza, przechodzi z rąk do rąk, z kieszeni do kieszeni, rozprasza się lub skupia, ale próżnuje, bo się nie rozmnaża. Podczas gdy giełda i giełdowicze opływali w obfitość pieniędzy, rolnik i przemysłowiec z największą trudnością znajdował nader drogi kredyt, praca produkcyjna stawała się coraz trudniejszą i niewdzięczniejszą. Jednocześnie nastąpiła w Austryi raptowna zmiana obyczaju, poziom potrzeb gwałtownie podskoczył, wszystkie artykuły życia nagle podrożały, o oszczędnościach mowy więc wcale być nie mogło. Szał gry zaś rozwinął się właśnie najbardziej w latach, w których żniwa wypadały miernie i przywóz coraz bardziej wywóz przewyższał.

Populacya austryacka nigdy nie odznaczała się ani zbyteczną inteligencyą, ani oszczędnością; lubiła namiętnie loterye wszelkiego gatunku, więcej dowierzała ternom i wielkim wygranym, niż własnej pracy i oszczędności. Stan kupiecki — jak o tem świadczą wiarogodni pisarze — może w skutek częstych stosunków z oryentem i różnymi lekkomyślnymi klientami, odzwyczaił się przykładać wielką wagę do ścisłego dotrzymywania zobowiązań. Kardynalny warunek dobrego gospodarstwa: ścisła i jasna rachuba, stała się w Austryi prawie niepodobieństwem, z powodu chwiejności waluty. Państwo niedawało nigdy przykładu rządności i oszczędności, owszem prędzej uczyło robić długi i pożyczać na gruby procent, redukować kapitał i procenta obcinać. Jednem słowem w najlepszych czasach obyczaje finansowe w Austryi były dość rozwolnione. To tłomaczy także,

dlaczego szwindel przyjął się tak szybko, dlaczego demoralizacya tak prędko przeniknęła wszystkie warstwy społeczeństwa. Prostem zaś następstwem musiało być i było oderwanie ludzi wszelkich powołań od wytrwałej pracy i przerzucenie ich na pole łatwego zysku i gry giełdowej, ze szkodą zbiorowej pracy, ogólnego bogactwa i harmonii socyalnej.

W parze z ubożeniem kraju, szedł rozstrój społeczny i polityczny. Na giełdę spłynęły wszelkiego pochodzenia szumowiny społeczne, znalazły tam bezpieczny przytułek, dostatki, a co gorzej, znaczenie i wpływ jaki daje pieniądz w naszym wieku. Cała hierarchia szwindlerska rekrutowała się zresztą z elementów upadłych moralnie, albo w każdej chwili upaść gotowych. Wytworzyła się takim sposobem nowa warstwa ludności, liczna, bogata, śmiała, chciwa przewagi, kierująca się jedynie interesem, nieprzebierająca w środkach, niemniej przeto wiele ważąca na szali, tak sama przez się, jak przez relacye, przez obrońców i popleczników interesem związanych. Szwindel rozporządzał całą prasą wpływową, trząsł opinią, miał rozgałęzienia na wszystkich szczeblach towarzyskich, w parlamencie, był jednym słowem potęgą, której despotyzm uczciwi ludzie znosić musieli.

V.

W ostatnich dniach kwietnia 1873 r. pojawiły się pierwsze dotykalne symptomata reakcyi. Wielkie banki z Zakładem kredytowym na czele i ostrożniejsi kapitaliści zaczęli ograniczać lombard, odmawiać kredytów, żądać dopłat, jednem słowem próbowali pozbyć się zastawów i przyjść napowrót do pieniędzy. Ztąd poszły sprzedaże egzekucyjne, kursa jednak utrzymały się jako tako aż do początku maja. Wszyscy pamiętają jakie *fiasco* zrobiło otwarcie Wystawy. W gmachu panował nieład, cudzoziemcy wcale nie przybyli, deszcz i zimno wstrzymały od udziału miejscową publiczność. Wiedeńczycy przecierali oczy i przychodzili do przekonania, że się niezmiernie zawiedli fundując mnóstwo nadziei na wystawie. Pokazało się naraz, że wszystkie spekulacye, małe i wielkie, były fałszywe, zamiast spodziewanych zysków trzeba było liczyć straty,

których granice wcale oznaczyć się niedawały. Melancholiczne usposobienie ludności stołecznej odbiło się na giełdzie, po krótkich chorobliwych wysileniach, uległa prądowi wszystkie kursa za sobą porywającemu. Już 8 maja różnica kursów, w porównaniu z 1 kwietnia, wynosiła okrągło 200 milionów. Nazajutrz katastrofa przybrała takie rozmiary, że wadliwy mechanizm giełdowy stanął zupełnie. Giełda zaś w skutek zaszłych nieporządków zamkniętą została.

Był to zaledwie początek krachu, a już dla wielu instytucyi ostatnia godzina wybiła. Jedne — między niemi takie, co w dniu przesilenia na zgromadzeniach ogólnych ogromne dywidendy zadeklarowały — wprost ogłosiły upadłości inne jedyny ratunek w dobrowolnej likwidacyi upatrywały.

Do końca roku około 80 towarzystw akcyjnych, z kapitałym nominalnym prawie 380 milionów wynoszącym, postanowiło zlikwidować, była to jednak kropla w morzu w stosunku do masy papierów na targu ciążących. Nadto w liczbie towarzystw likwidujących największa część wcale interesów nie rozpoczęła, reszta zaś w żaden sposób przy życiu utrzymać się nie mogła. Ulgi żadnej targowi pieniężnemu te likwidacye nie przyniosły.

Naturalnie powstał wielki krzyk o pomoc rządową. Szwindlery i gracze giełdowi pierwsi dali hasło, uczciwi ludzie im zawtórowali i wszyscy znaleźli mnóstwo dobrych i złych argumentów na dowód, że rząd z pomocą przyjść powinien, ale nikt nie umiał określić w jakiej formie i w jakich granicach ta pomoc ma być niesioną.

Kwestya przesileń w ogóle teoretycznie dotąd rozwiązaną nie została, również sztuka leczenia chorób targu pieniężnego jest przedmiotem ciągłych kontrowersów. Sądząc rzecz prostym chłopskim rozumem, przychodzi się do wniosku, że rząd nie mógł zrobić nic nadto co zrobił: podparł doraźnie chwiejące się wielkie instytuta, jak *n. p. Boden- Credit- Anstalt*, dalej zawiesił akt bankowy, i tym sposobem upoważniając bank narodowy do wydawania banknotów bez pokrycia metalicznego, pozwolił na pomnożenie środków wymiany, w końcu zaciągnął pożyczkę w celu urządzenia kas pożyczkowych i przedsięwzięcia robót publicznych. Że ani zawieszenie aktu bankowego, ani urządzenie kas pożyczkowych, ani przedsięwzięcie robót

publicznych, tamy krachowi nie położyły, temu rząd nie winien. Pomódz one nie mogły, albowiem przesilenie nie wybuchło, ani w skutek braku środków cyrkulacyjnych, ani w skutek chwilowego braku kredytu, ani w skutek braku zajęcia, tylko w skutek nieproporcyonalnego rozmnożenia się wartości fikcyjnych, które lecąc w przepaść nicości, z której wyjść nigdy nie były powinne, pociągnęły za sobą wartości rzeczywiste wraz z zaufaniem do wszystkiego co się papierem nazywało. Pomoc istotna, dzielna, bezwarunkowo skuteczna była tutaj fizycznem niepodobieństwem; gdyż trudno było wymagać od rządu aby zaciągnął dług dwóch miliardów, wykupił wszystkie papiery kupca szukające, po kursach najwyższych, wzbogacił szwindlerów kosztem krwawej pracy wielu pokoleń.

Jeżeli rząd zawinił, to zupełnie w czem innem. Najprzód gabinet Auersperg-Lasser ma dużo na sumieniu z czasów przedkrachowych, bo nigdy nie rozwinął wszystkich środków jakiemi rozporządza, żeby szwindel ukrócić i trzymał się zasady: *Leben und leben lassen*. Potem od wybuchu przesilenia aż do tej chwili, rząd nie chciał użyć władzy jaką mu prawo przyznaje, aby wyklarować położenie mnóstwa przedsiębiorstw, które dawno według litery prawa do przymusowej likwidacyi się kwalifikują, pomimo tego istnieją, wegetują, na targu ciężą, powietrze zanieczyszczają, przeszkadzają giełdzie wrócić do zdrowia, a to wszystko dla tego tylko, że klika pasożytów osiadło na nich, zagnieździła się i inaczej jak przymusem usunąć się nie da. Wprawdzie byłoby to rzeczą akcyonaryuszów likwidacyę zarządzić, ale wiadomo że austryaccy akcyonaryusze wszystko sobie wyperswadować dadzą, i zawsze są gotowi wotować za tymi, co ich za nos wodzą; przyzwyczaiwszy się zaś grać, grają i teraz tylko w inny sposób, rachują na cudowne podniesienie się kursów, jak na terno loteryi liczbowej albo promessę. Kiedy rząd wydaje koncessyę powiedział A, kiedy wykonywując nadzór, przez swego komisarza wysylabizował prawie cały alfabet, to już choćby przez uszanowanie dla logiki, powinien zdobyć się na wypowiedzenie ostatniej zgłoski, na surowe przeprowadzenie litery prawa o towarzystwach akcyjnych, które część kapitału akcyjnego utraciły.

Już to naturalnym biegiem rzeczy, już to wynikiem agitacyi urządzonej w celu wywarcia nacisku na rząd, w końcu października kursa spadły najniżej z całego peryodu krachowego. Wprawdzie odtąd niektóre papiery, jak *n. p.* banków budowniczych, jeszcze znacznych strat doznały, za to wszystkie dobre efekta bez wyjątku i stanowczo się polepszyły.

Poniżej przytoczona tabela przedstawia stopniowy obraz spadku kursów i strat niejako *teoretycznych*, ztąd powstałych:

	Kapitał nominalny	wartość 2 Stycznia 1873 r.	wartość 31 Marca 1873 r.	wartość 30 Czerwca 4873 r.	wartość 28 Pażd. 1873 r.
Dług państwa	2584	1910	1977	1919	1901
Indeminizacye	462	384	384	370	359
Pożyczki publ.	175.5	168	169	170	148
Akcye banków	644.9	963	1002	623	417
Akcye kolei żel.	971	1093	1105	1025	884
Prioritety	1839.5	1880	1910	1906	1860
Listy zastawne	364.4	363	364	359	346
Tow. budownicze	176.4	221	258	120	67
Tow. przemysłowe	343.9	347	349	231	178
Losy prywatne	63.4	91	90	85	77
	7639	7419	7605	6798	2636

Tym sposobem wartość efektów zmniejszyła się w skutek przesilenia o 1396 milionów guldenów. Rachując późniejsze różnice kursów otrzymamy przeszło 1500 milionów. Nazwaliśmy te straty *teoretycznemi* dla tego, ze tych milionów Austrya nigdy inaczej jak w teoryi, jak na papierze nie posiadała, więc ich stracić nie mogła. Rzeczywiste straty są zupełnie innego rodzaju. W gotowiźnie muszą być wypłacone różnice kursów pozostałe z gry na zagraniczne papiery i z gry z zagranicą prowadzonej, dyferencye, których wysokość nawet w przybliżeniu oznaczyć się nie daje. Do najrzeczywistszych strat należą straty poniesione na kolejach, fabrykach, domach budowanych w epoce gorączki spekulacyjnej na drogich gruntach, z drogich materyałów, drogim robotnikiem. Dziś te domy i fabryki nierentują się wcale, te koleje nie są w stanie opłacać kosztów ruchu, rujnują akcyonaryuszy i są ciężarem dla

państwa. Dalej straty przy likwidacyach powstające i straty w rocznej produkcyi pochodzące ztąd, że kapitał obrotowy został niesłychanie uszczuplony przez uwięzienie kapitałów w zbytecznych, niepotrzebnych kolejach fabrykach i t. d. Jeszcze na końcu przychodzą szkody trudne do wyrażenia w cyfrach ale niewątpliwe, wywołane wstrząśnieniem całego warsztatu pracy narodowej i rozstroju społeczeństwa.

Lepiej niż długie wywody doniosłość krachu nacechuje ten fakt, iż ze wszystkich banków notowanych na giełdzie wiedeńskiej tylko 12 wypłaciło kupon na 1 Stycznia 1874, a w tej liczbie tylko 4 banki wiedeńskie. Kupon 158 towarzystw akcyjnych, w tem 5 kolei żelaznych wcale nie został wypłacony.

VI.

Jakie straty Galicya skutkiem szwindlu i krachu poniosła, ściśle trudno oznaczyć. To pewna, że straty były, i to także nie ulega wątpliwości, że w stosunku do zamożności, a raczej w stosunku do ubóstwa kraju, te straty są bardzo znaczne, nader dotkliwe i niepowetowane.

Pierwsza, najgłówniejsza pozycya w rachunku strat, jest różnica kursu na papierach za gotówkę kupionych. W ostatnich latach znalazło się niestety wiele ludzi poczciwych a ograniczonych i łatwowiernych, którzy na wiarę dzienników wiedeńskich, za namową rozmaitego gatunku faktorów, posprzedawali dobre, pewne listy zastawne i indemnizacye, żeby pokupować natomiast najgorsze efekta, dziś mało albo wcale nic niewarte. Co w Wiedniu służyło jedynie za narzędzie gry, to u nas wzięto za papier zasługujący na całe i bezwarunkowe zaufanie. Na nic nie przydały się ostrzeżenia poważnej prasy krajowej, słowo rozsądku nie miało żadnej wagi wobec frazesów szwindlerskiej reklamy, popartej kurszetlem wykazującym agio dwa lub trzy razy wpłatę przenoszące. Sam zresztą chłopski rozum dyktować był powinien, że niebezpiecznie jest pakować mienie w roboty, o których się nie ma najmniejszego pojęcia, w przedsiębiorstwa oparte na kombinacyach, których się nie rozumie, prowadzone przez ludzi nieznanych i żadnych

rękojmi niedających. Otóż pieniądz, który od nas tą drogą, za *Ostbahny*, *Vereinsbanki*, *Baubanki* i inne tej kategoryi papiery, do Wiednia wywędrował, już do nas nigdy nie wróci. Wzgląd, że zysk zrealizowany kompensuje w znacznej części poniesione straty, dla nas żadną nie jest pociechą, albowiem nasz kraj nie tworzy bynajmniej całości ekonomicznej ze stolicą i innemi prowincyami Austryi i leży na zewnątrz regularnej cyrkulacyi pieniężnej. Kapitały raz z kraju wywiezione, są dla kraju stracone, idą na pożytek handlu i przemysłu innych prowincyj; spekulant wiedeński wzbogacony zyskiem na papierach do Galicyi za gotówkę sprzedanych, nie umieści tego zysku w żadnem przedsiębiorstwie galicyjskiem, nie przyczyni się w niczem do powiększenia naszej produkcyi i naszego handlu wywozowego. Każda więc strata prywatna z tego tytułu poniesiona, jest zarazem umniejszeniem kapitału krajowego.

Ten sam charakter noszą straty reprezentujące dyferencye gry giełdowej, która w pewnych miejscowościach kraju epidemicznie grasowała. Ofiary epidemii są nader mało interesujące, ale krzywda krajowi wyrządzona niemniej przeto istotna i dotkliwa.

Choćby dlatego tylko, że Galicya zawsze Wiedeń małpować musi, nie mogło obejść się u nas bez naśladowania stołecznej manii założycielstwa, która jednak na polską ziemię przeniesiona, więcej śmieszną niż szkodliwą się stała. Ci wszyscy, co uczuli w sobie powołanie pójść w służbę szwindlerów, albo siebie samych na mistrzów w tem rzemiośle wykierować, rzucili się od początku na Wiedeń i tam utonęli w masie giełdowiczów. Pomiędzy stałą ludnością galicyjską zabrakło więc nawet materyału na wyzyskiwaczy grubego kalibru; zresztą wiadomo z doświadczenia, że w interesie polak polakowi, nawet najuczciwszemu, nie ufa, ale lada oszustowi niemcowi zawierzy. Z tych wszystkich przyczyn założycielstwo u nas nie mogło się rozwinąć. Wprawdzie niejeden słysząc, jak to łatwo w Wiedniu bank założyć i przy tej sposobności dużo zarobić, zapragnął z całej duszy ufundować choć mały banczek w jakiem miasteczku galicyjskiem; lecz te zachcianki kończyły się najczęściej na projekcie, albo co najwięcej na koncesyi. Za to inna passya, budowania kolei, drogo kraj kosztowała. Zyski na koncesyach wielkich linij osiągnięte, stały się potężną po-

kusą dla spekulantów-amatorów, którzy byle koncesyę otrzymać, byle zakosztować jak taka potrawa smakuje, podjęli się budować bez gwarancyi rządowej, nie zbadawszy dokładnie warunków miejscowych, linie przedwczesne albo zupełnie zbyteczne, które ani żyć ani umrzeć nie mogą i w których znaczne kapitały krajowe z kretesem przepadły. Wszystko zaś, co przy tem zarobić można było, zabrali wiedeńscy wspólnicy, bez których nasi założyciele, jak dziecko bez niańki, ani jednego kroku postąpić nie śmieli i nie umieli. Przy budowie małych, czysto galicyjskich kolei, powtórzyła się stara historya wszystkich prawie polskich, a szczególnie galicyjskich przedsięwzięć przemysłowych, których ostatnim wyrazem bywa nieodmiennie upadek i ruina. Zawdzięczają one zwykle swoje powstanie nie potrzebie rzeczywistej, lecz chwilowej modzie, opierają się na urojonej podstawie i fałszywych obliczeniach, prowadzone są przez ludzi z przedmiotem nieobeznanych, pracują kapitałem niesłychanie drogim, często powstają za pożyczone pieniądze: cóż więc dziwnego, jeżeli są źródłem zawodów i strat, jeżeli u swoich i obcych rodzą nieufność do wszystkiego, co galicyjski stempel na sobie nosi? Przejrzyjmy zblizka dzieje upadłych fabryk i spółek krajowych, spotkamy się zawsze na końcu z niewiadomością, z niedołęztwem i lekkomyślnością, obok ciężkich warunków miejscowych, na pokonanie których często cuda inteligencyi i energii by nie wystarczyły. Ciągle popadając w te same błądzenia, nasi przedsiębiorcy zrujnowali do szczętu kredyt i reputacyę krajowego przemysłu. Własnych kapitałów nie mamy, obce kapitały nas starannie omijają i omijać będą, dopóki się stan rzeczy nie zmieni, dopóki nie wyleczymy się z niedołęztwa i lekkomyślności, dopóki nie zaczniemy prawdziwie pracować. Wtenczas kapitały europejskie same do nas napłyną, ale o tem próżno nawet marzyć tak długo, aż znajdzie się przynajmniej szczupłe grono ludzi, dobry początek i dobry przykład dających.

Banki galicyjskie wyjątkowo szczęśliwie przesilenie przetrwały. Dwa instytuty nowego autoramentu wprawdzie zlikwidować musiały, dla tej prostej przyczyny, że przyszły na świat przedwcześnie, bez wpłaconego kapitału, i żyły sztucznie cudzym kredytem, zlikwidowały przecież bez strat znacznych. Inne nietylko kapitał swój w całości przechowały, ale jeszcze

oprócz tego były w stanie skromne dywidendy rozdzielić. Zbytecznie tryumfować nie mają przyczyny, albowiem Galicya jest obiecaną ziemią dla banków i bankierów; żeby dobre interesa bankierskie robić, nietrzeba ani geniuszu, ani wielkiej pracy, ani żadnych kunsztów nadzwyczajnych; trzeba tylko znać stosunki miejscowe i wiedzieć komu można a komu nie można pieniądze pożyczać — reszta przyjdzie sama z siebie, t. j. ze stopy procentowej, która przy najlepszych zastawach, przy wekslach popartych hypoteką i tym podobnych murowanych zaczyna się od *minimum* 10%, kończy się na niebotycznych wyżynach procentu od procentów składanych, tak iż bank, który niżej 15% pożycza, wygląda prawie na zakład dobroczynny.

Trzymając się więc tak patryarchalnej kombinacyi, jak pożyczanie na kilkanaście od sta, nasze banki mogą być pewne wysokich zysków, i w samej rzeczy z tego źródła płyną ich najczystsze dochody; jeżeli zaś rezultaty ostateczne są dość skromne, to pochodzi z polskiej manii fałszywych spekulacyj i z wad organicznych, jakie prawie każdy nasz bank ze sobą na świat przynosi. Najprzód, zarząd wpada w ręce samych dyletantów, z których każdy ma mnóstwo zalet i talentów, ale ani odrobiny wiadomości kupieckich i praktyki bankierskiej, choć tej żaden geniusz zastąpić nie zdoła. Często, dla braku ludzi specyalnych, inaczej być nie może, to prawda; niemniej jednak doświadczenie musi być opłacone taniej lub drożej, cena od szczęścia zależy. Dalej, administracya bywa urządzaną na szeroką skalę i wyposażoną zanadto hojnie, nieproporcyonalnie do kapitału zakładowego, zwykle nader szczupłego. To samo stosuje się do kosztów urządzenia i wszelkiego rodzaju wydatków bieżących, które wraz z tantyemami, pensyami, podatkami, pożerają ogromne summy i najczystsze zyski pochłaniają. Nakoniec, w nowo powstających bankach spotyka się prawie zawsze jeden i ten sam grzech pierworodny, leżący w tem, że fundusz zakładowy, zamiast pozostać do swobodnej dyspozycyi, idzie szlacheckim obyczajem na hypoteki ziemskie, na puszczenie w ruch owych klasycznych fabryk polskich, co to nigdy chodzić nie chcą i nie mogą, albo na inne zagadkowej przyszłości przedsiębiorstwa, z których rzadko a przynajmniej nieprędko powraca. Podobnych zbyt-

ków mogą się dopuszczać zaledwie wielkie instytucye kredytowe, setkami milionów majątku rozrządzające; małym bankom rozpraszanie i unieruchomienie własnego kapitału nigdy bezkarnie nie uchodzi. Są zmuszone pracować wyłącznie cudzemi pieniędzmi i kredytem mniej więcej drogim, ograniczać do najszczuplejszych rozmiarów właściwe interesa bankowe, jak eskonta weksli, udzielanie zaliczek na towary, zboże itp., i tracić z tego powodu często najlepszą klientelę; co najgorzej zaś, wystawione są na upadek przy każdem zachwianiu się targu pieniężnego, bo gdy inne banki ściągać zaczynają swoje fundusze, one właśnie znajdują się wobec wierzytelności niedających się w żaden sposób zrealizować. W normalnych warunkach, przy najłatwiejszym kredycie, kończy się zawsze na tem, że owe fabryki i entrepryzy, pochłonąwszy mnóstwo pieniędzy, nie są w stanie płacić procentów, czyli innemi słowy, kończy się na chronicznym deficycie, który przychodzi pokrywać śrubowaniem do nieskończoności stopy procentowej, będącej ostatniem *refugium* naszych banków i kwintesencyą mądrości naszych finansistów.

Inaczej stopa procentowa nie mogłaby nigdy była dojść do tak monstrualnej wysokości. Wprawdzie była ona zdawiendawna niepomiernie wyciągniętą i w tym stanie banki krajowe ją zastały. Wprawdzie wskutek szwindlu dużo gotówki z kraju wyszło, więc cena pieniędzy podnieść się musiała. — Wprawdzie banki krajowe zostały przez jeden z banków lwowskich zmuszone do wzajemnej licytacyi na procentach od biletów kasowych, które aż do 8% przynosiły. Przecież jeżeli porównamy procenta, jakie płaci każdy nasz bank swoim wierzycielom, bankowi narodowemu i korespondentom zagranicznym, z procentami jakie pobiera od dłużników, pokaże się różnica 4—6 i więcej procentów nawet w tych bankach, które o tytuł instytucyj dobroczynnych ubiegać się mogą. Naturalnie ta różnica musi być tem większą, czem mniejszy jest obrót interesów, czem kosztowniejsze utrzymanie, czem droższa administracya, czem znaczniejszy deficyt płynący z fałszywego rozporządzenia kapitałem zakładowym.

Do wad organicznych należą również bezwątpienia różne brzydkie nałogi publiczności galicyjskiej, która pożyczając, nigdy nie myśli o oddaniu, z góry rachuje na prolongatę, terminów

nie dotrzymuje, umowy narusza i zrywa, każdą plotkę z wiarą przyjmuje, ludziom złej woli za nos wodzić się daje, lekkomyślne feruje wyroki, jednem słowem ma wszystkie przywary utracyusza i baby plotkarki. Na to jest przecież lekarstwo w mocy naszych banków będące, mianowicie skrupulatność w prowadzeniu interesów i rozsądna jawność. O ile banki wiedeńskie nadużywały i nadużywają reklamy dziennikarskiej, o tyle nasze krajowe, żeby dowieść dokumentnie, że się reklamą brzydzą, posunęły nienawiść jawności do przesady, wpadły w konspiratorską tajemniczość, rozmiłowały się w olimpijskiem milczeniu, jak gdyby same sekreta stanu miały sobie do przechowania oddane. To darmo jednak, jawność stała się ogólnem prawem, z którem każda nawet potęga rachować się musi; kto zaś z pod tego prawa wyłamać się usiłuje, zawsze na tem traci.

VII.

Rok zbliża się ku końcowi i jeżeli wszystkie oznaki nie mylą, następcy swemu w spuściznie Krach chroniczny przekaże. Czy rok przyszły wystarczy na usunięcie choroby, to jest czy w ciągu tego roku powróci energia i chęć do pracy, oraz zaufanie w przyszłość, — to wielka kwestya. Na zagojenie ran krachem zadanych, może dziesiątek lat nie wystarczy. Dziś przedewszystkiem dwóch rzeczy gwałtownie potrzeba: nowego prawa o stowarzyszeniach akcyjnych i pilności ze strony akcyonaryuszów w doglądaniu własnych interesów. — Prawo, jeżeli ma przynieść owoce i cel osiągnąć, powinno być srogie, drakońskie, a jasne i wyraźne. Charakter przejściowy i doraźny będzie dlań prędzej zaletą niż wadą, nie idzie bowiem wcale o prawodawstwo zasadnicze i ostateczne uregulowanie stosunków towarzystw akcyjnych. Są rzeczy pilniejsze do zrobienia, trzeba zaprowadzić nieco ładu w chaosie wyobrażeń i uczynków, dowieść że obowiązek i odpowiedzialność są czemś więcej niż prostym frazesem, nauczyć ludzi prędko i skutecznie różnicy między tem co wolno i czego nie wolno, odzwyczaić finansowych rzezimieszków od sięgania do cudzych kieszeń, wy-

korzenić nadużycia krzyczące, w biały dzień praktykowane. Tego wszystkiego może dokazać tylko prawo wyjątkowe, do potrzeb chwili zastosowane i w sam rdzeń rzeczy trafiające. Ludzie uczciwi takiego prawa obawiać się nie mają potrzeby, czem głośniej będą przeciw niemu krzyczeć ci, co się poczuwają do zabłoconego sumienia, — tem lepiej, ich krzyki dowiodą właśnie że cel prawa — usunięcie niezdrowych elementów i praktyk szkodliwych — w zupełności osiągnięty. Na nieszczęście takiego prawa niedostaniemy z pewnością, próżno sobie nawet iluzye robić na tym punkcie. Wolnomularstwo szwindlerskie jest jeszcze dość silne, żeby niedopuścić żadnej reformy obyczajów finansowych w Austryi. Mieliśmy tego najlepszy dowód na losie, jaki spotkał projekt rządowy do prawa akcyjnego. Projekt ten przedstawiał organiczną całość i odpowiadał przynajmniej najgwałtowniejszym potrzebom chwili, że zapomniano weń włożyć paragraf określający położenie istniejących towarzystw akcyjnych wobec nowego prawa, to tylko poraz niewiem który stwierdza, iż Pan Bóg Austryi talentów kodyfikacyjnych nie dał, lecz natury i wartości samego prawa w niczem nie zmienia. Sama Izba opatrzyła się zresztą na końcu, wtenczas kiedy całe prawo zamienione już zostało w monstrum prawodawcze, nad którem szkoda dziś słów tracić gdyż jest rzeczą pewną, że w archiwach Izby spocznie na wieki.

Warto jednak wspomnieć, jak się to stało. W Izbie znajduje się podostatkiem ludzi fachowych, w prawodawstwie akcyjnem bezpośrednio interesowanych, członków rad nadzorczych wielkich linii dróg żelaznych, dyrektorów i *verwaltungsrathów* wielkich i małych instytutów kredytowych, wiedzących z doświadczenia, co jest dla dobra stowarzyszeń niekorzystnem a co dla zarządów niewygodnem. Oni wszyscy milczeli, pozwalając się wygadać teoretykom, dyletantom, socyalistom, rygorystom i wreszcie tym wszystkim, którzy chcieli skorzystać z tej jedynej nateraz okazyi dojścia do popularności. Gdyby się na deklamacyach i spóźnionych rekryminacyach skończyło, to mniejsza, ale za mowami szły wnioski, robiące z projektu rządowego owe *curiosum*, o którem naprzód było wiadomem, że przez Izby panów nie przejdzie. Kurtyna zapadła, aktorowie zacierają ręce

z ukontentowania, *le tour est joué* na korzyść szwindlerów i pasożytów. Co parowie austryaccy uchwalić za stosowne uznają, dowiemy się w swoim czasie. Wiadomo jednak z góry, że wszelkiemu drakonizmowi są z zasady stanowczo prz ciwni, oraz że reformę prawodawstwa akcyjnego nateraz za rzecz zbyteczną uważają.

Dziwną rolę w tem wszystkiem rząd odgrywa. Oświadczywszy kilkakrotnie, że uznaje potrzebę reformy i stwierdziwszy swoje oświadczenia złożeniem projektu do prawa, tak miękko, tak słabo, tak obojętnie bronił własnego dziecka, jakgdyby wcale niedbał o utrzymanie go przy życiu i z zimną krwią przypatrywał się najboleśniejszym operacyom najniezgrabniejszą ręką na najważniejszych paragrafach dokonywanym. Czy będzie twardziej stawał w obronie tej kaleki w obec pobłażliwych i wyrozumiałych parów, wątpić przychodzi. Gabinet Ausperg-Lasser coraz bardziej robi wrażenie, że jest *Lebensmüde* i że pragnie w spokoju łagodną śmiercią żywot zakończyć.

Reforma więc będzie odsyłana od Anasza do Kaifasza, dopóki gdzie w drodze niezaginie, albo dopóki jaki szczęśliwy czy nieszczęśliwy wypadek niespodziewanie zwrotu na lepsze niesprowadzi. Życzyć tylko przychodzi żeby to nastąpiło zanim jeszcze brak zaufania i złe gospodarstwo nie podkopią do szczętu resztek z krachu ocalonych, na co wcale krótkiego czasu potrzeba.

Kiedy niema nadziei żadnej pomocy ze strony prawodawstwa krajowego, akcyonaryusze powinni tem spieszniej i tem gorliwiej zająć się obroną własnych interesów. Nauczeni drogo opłaconym doswiadczeniem powinni nareszcie zrozumieć, że na nikogo ani na nic, prócz na owego poczciwego człowieka Heinego, czyli na siebie samych, liczyć nie mogą, że muszą starać się zużytkować prawa jakie im przysługują i wynajdywać środki zdolne położyć tamę licznym nadużyciom, brakiem kontroli i dozoru umożebnionym. W tym celu winni znosić się pomiędzy sobą, formować komitety, każdą kwestyą ważniejszą studyować gruntownie, przybywać jak najliczniej na zgromadzenia ogólne, prześladować bez litości słomiane głosy, zdobywać miejsca w zarządach i radach nadzorczych, dążyć do usunięcia dyktatur, do wyrugowania pasożytów, do rozbicia klik

i koteryj. Jest to długa i ciężka, do tego z rozmaitych powodów nie zawsze możliwa droga, taka *self-help* akcyonaryuszów, lecz w danych warunkach ona jedna może do pewnego stopnia zabezpieczyć ich od złej woli i złych narowów, oraz skonsolidować zachwiany budynek stowarzyszeń akcyjnych i pozwolić mu lepszych doczekać czasów.

Henryk Lisicki.

NOWY PRZEKŁAD ILIADY.

Takie tłumaczenia, jak Odysseja Siemieńskiego, Książę Niezłomny Słowackiego, Giaur Mickiewicza, należą do nader rzadkich a świetnych zjawisk nietylko w naszej, ale w całego świata literaturze. Są one natchnionem odtworzeniem oryginału i mają tegoż wartość. Obok nich wszakże nietylko pomieścić się mogą, owszem nawet bardzo pożądane są przekłady, które nie rywalizując ani z takiemi tłumaczeniami jak powyższe, ani z pierwotworem, są przecież wiernem jego odbiciem i wierną kopią. Powinny one być: 1° ile można, dosłowne; 2° zachować nawet formę t. j. rytm oryginału; a 3° wierności nie poświęcać praw języka, którym się tłumaczy. Wszystkim tym warunkom bardzo trudno zadość uczynić. — A. Stanisławski np. w przekładzie *Boskiej Komedyi* dopełnił pierwszego i trzeciego; od drugiego odstąpić musiał. Ant. Bronikowski, tłumacz Odyssei, nie dopełnił żadnego i popisał czasem herezye, mogące do rozpaczy doprowadzić czytelnika, pragnącego poznać piękności starego pieśniarza. To też w „Przeglądzie polskich tłumaczeń Homera" zwątpiłem, czy doczekamy się przekładu Homera dokonanego hexametrem, a odpowiadającego owym trzem zasadom, i czy w ogólności stworzyć będzie można doskonały hexameter polski. Pokazało się jednak, że nie powinienem był porzucać nadziei.

Tłumaczenie Iliady, którego pieśń pierwszą podajemy, czyni, zdaje mi się, wszystkim owym trzem warunkom zadość, a nawet co do drugiego, więcej zbliża się do oryginału, niż wszystkie dawniejsze przekłady; znajdujemy w nim bowiem kilkadziesiąt wierszy, zupełnie zachowujących rytm grecki. Przekład ten powitaliśmy z najżywszem zajęciem. Dokonany on z niezwykłą sumiennością, z siłą, z wielką znajomością rzeczy i języka; jest bardzo wierny, w wielu miejscach wierniejszy od niemieckiego przekładu Vossa, często prawie dosłowny — a obok tych zalet, tak cennych dla nauczycieli i dla młodzieży, posiada jeszcze i tę, że bez obrażenia polskiego ucha, bez utykania i umęczenia, owszem z przyjemnością czytać go mogą nawet nieprzyzwyczajeni do tego rodzaju wiersza.

Jakkolwiek zacne imię uczonego tłumacza byłoby niemałą rekomendacyą, nie możemy go jeszcze teraz podać, nie chcąc skromności, z jaką tę pracę swoją ocenia, robić na przekorę.

Wszelkie uwagi czytelników, zwłaszcza krytyków i filologów, przyjmie Redakcya z wdzięcznością w imieniu tłumacza.

Dr. Hugo Zathey.

I. KSIĘGA ILIADY.

Próba przekładu wierszem miarowym

przez **E. C.**

(Quantum potes tantum aude).

Gniew mi opiewaj bogini, Peleusa syna Achilla
Złowrogi, który tak wiele nieszczęścia przysporzył Achajom;
Wiele szlachetnych dusz bohaterów do Hada wyprawił,
Ciała ich zaś na pastwę psom i ptakom drapieżnym
Wszystkim porozrzucał (tak chciały Zeusa wyroki);
Odkąd w gniewie zaciętym naprzeciw siebie stanęli,
Książę narodów Atrydes i boski wojownik Achilles.

Którenże z bogów ich obu do gniewu na siebie pobudził?
Lety i Zeusa syn. On bowiem na króla zagniewan,
Zesłał choroby zjadliwe na wojska, padały narody,
Dlatego że Chryza kapłana Atrydes nie uszanował.
Chryzes albowiem przybył do szybkich okrętów Achajskich,
Wyzwolenia swej córki żądając za wykup ogromny,
Z wieńcem Apollina w rękach, zdala ugodzić możnego,
Na berle złotem, i wszystkich Achajów błagać poczynał;
Głównie zaś obu Atrydów rządzących licznemi narody.
„Atrydowie i wszyscy Achaje w żelazo okuci

Niech wam bogowie, mieszkańcy Olimpu gmachów dozwolą
Zniszczyć Priama miasto i zdrowo do domu powrócić;
Miłe zaś dziecię mi moje wyzwólcie, przyjmując zań okup,
I Zeusa syna szanujcie Apollina w dal godzącego."

Wtedy wszyscy Achaje dobremi słowy radzili
Uszanować kapłana i okup odebrać bogaty;
Na to jednakże nie przystał Atreuza syn Agamemnon,
Lecz ze złością odesłał i rozkaz gwałtowny dorzucił:
„Bogdajbym cię nie zdybał starcze przy moim obozie,
Teraz się tu nie wałęsaj i nigdy mi później nie wracaj,
Nic nie wskórałbyś berłem i wieńcem boga twojego.
Córki zaś twej nie wypuszczę, aż zestarzeje się u mnie,
W naszej siedzibie Argijskiej, daleko od ziemi ojczystej,
Tam koło przędzy się krzątać i łoże dzielić me będzie.
Teraz mnie dłużej nie drażnij, bo lepiej dla ciebie, byś wracał."

Skończył, uląkł się starzec, rozkazu wysłuchał i milcząc,
Odszedł ku morza brzegowi, gdzie fala groźnie szumiała.
Oddaliwszy się, błagał usilnie Apollina swego
Pana, którego zrodziła Lete o pięknych warkoczach:
„Słuchaj mnie srebrnołuczysty, co Chryzę trzymasz w opiece,
Także i Killę wspaniałą i silnie rządzisz w Tenedzie.
Sminthej! jeżeli kiedy świątynię ci miłą pokryłem,
Albo tłuste z baranów i wołów udźce spaliłem
Tobie na cześć, więc teraz wypełnij moje życzenie,
Abyś strzały twojemi łzy me na Danaach pomścił."

W takich słowach się modlił, usłuchał go Foibos Apollon.
Rozgniewany ze szczytu Olimpijskiego się spuszcza;
Zwiesił łuk na ramieniu i kołczan szczelnie zamknięty.
Strzały świstały na barkach rozjątrzonego Apolla,
Gdy się z miejsca poruszył do czarnej nocy podobny.
Usiadł opodal okrętów i strzały pomiędzy nie puścił,
Wtedy z łuku srebrnego dźwięk przeraźliwy się rozległ.
Mułów i psów szybkonogich naprzód wziął sobie na cel,
Ale gdy później na ludzi śmiertelne strzały skierował,
Gęste widziano stosy, na których ciała palono.

Całe dni dziewięć na wojsko padały boga pociski,
W dniu dziesiątym Achilles radę wojenną zgromadził,
Tak go w duszy natchnęła Here o śnieżnych ramionach;
Danaów los ją obchodził, na których konanie patrzała.
Gdy się zeszli na radę i wszyscy gromadnie stanęli,
Prędki w biegu Achilles powstawszy, do nich przemówił:
„Sądzę Atrydo, że teraz nie osiągnąwszy zamiaru,
Wracać będziem zmuszeni, jeżeli śmierci ujdziemy;
Naraz bowiem choroby i wojna niszczą Achajów;
Trzeba jednakże zapytać wróżbity albo kapłana,
Lub wykładacza snów (boć sny od Zeusa pochodzą),
Niech wyrokuje, dlaczego Foibos Apollon się gniewa,
Czy z powodu jakiego szlubu, czy hekatomby,
Może i pragnie ofiary: owiec i kozłów wybranych,
Gdyby ją przyjął, możeby nieszczęście od nas odwrócił.“

Tak przemówiwszy, usiadł, a Kalchas głos po nim zabrał,
Testora syn, co najlepiej lot ptaków umiał odgadnąć;
Wiedział on dobrze, co było, co jest i później nastąpi,
On to okręty Achajskie do Ilios kiedyś wprowadził
Z daru wieszczego pomocą, którego udzielił Apollon
Dobrze myślący, rozważnie przemówił do nich i radził:
„Żądasz odemnie Achillu, w łasce u bogów będący,
Wytłumaczenia gniewu Apollina w dal godzącego;
Powiem ci tedy uważaj, lecz uroczyście obiecaj,
Chętnej gdy będzie potrzeba i w mowie i w czynach pomocy,
Gniewu się bowiem obawiam męża nad innych możnego,
Który Argejami rządzi i w ryzie trzyma Achajów;
Bo zawsze górą jest król, gdy się gniewa na człeka biednego.
Chociażby bowiem i wybuch powstrzymał na chwilę obecną,
W sercu jednakże zachowa swój żal i zemści się z czasem;
Powiedz mi zatem na pewno, że bronić będziesz w potrzebie.“

Szybki w biegu Achilles w te słowa na to mu odrzekł:
„Możesz mi z dobrą otuchą wiadomy ci wyrok ogłosić;
Na ulubieńca Diosa Apolla Kalchasie przyrzekam,
Pod którego wezwaniem Danaom wróżby objawiasz,
Że póki jestem żyw i świat ten jeszcze oglądam,
Nikt przy obszernych okrętach ręki na cię nie podniesie

Z Danaów wszystkich, chociażbyś i Agamemnona mi nazwał,
Który się chełpi, że wszystkich Achajów o wiele przewyższa.“

Ośmielony się wtedy odezwał wieszczek szanowny:
„Nie o szlub jemu chodzi ani też o hekatombę,
Ale z powodu kapłana, którego obraził Atrydes,
Bo mu córki nie oddał, a okup za nią odrzucił.
Zdala dosięgający dlatego ukarał i nadal
Ścigać będzie. Nie prędzej Danaów z klęski uwolni,
Zanim wypukłooką dziewicę ojcu się odda,
Darmo i bez okupu, ofiary należne odbywszy
W Chryzie. Takim sposobem przebłagaćbyśmy go mogli.“
Takie wyrzekłszy zdanie, usiadł, a powstał do mowy
Dzielny Atreusa syn Agamemnon pan wiele możny;
Rozjuszony, bo gniewu serca zakątek miał pełny;
Z oczów obojga swieciły jakby iskrzące płomienie.
Złem Kalchasa zmierzywszy spojrzeniem, obces mu odrzekł:
„Wieszczu nieszczęsny zaprawdę, nigdyś mi dobrze nie wróżył
Tylko nowiny złowrogie miło ci jest zapowiadać,
Ale dobrego słowa nie rzekłeś ani dopełnisz.
Również i teraz, gdy bogów Danaom wolę tłumaczysz,
Twierdzisz, że to dlatego Apollon klęski gotuje,
Bo za Chryzea córką okupu przyjąć nie chciałem,
Chociaż i wspaniałego; zapewne, bo dużo mi milej
W domu ją mieć, gdyż nawet nad Klytemnestrę przekładam
Towarzyszkę młodości, bo w niczem jej nie ustępuje,
Ani kibicią i kształtem, ani rozumem i sercem.
Mimo to gotówem oddać, jeżeli to ma być zbawienniej,
Pragnąc dobra narodu, a nie by marnie zaginął.
Za to mnie teraz uczcijcie zaszczytnym darem, bym ja sam
Z Argejów bez łupu nie został, boć tak nie przystoi.
Wszyscy bowiem widzicie, że minął mnie dar przynależny.“

Na to mu boski Achilles najszybszy w biegu odrzecze:
„Sławny Atrydo ze wszystkich najwięcej chciwy majątku,
Zkądże ci wielkoduszni Achaje nagrodę wynajdą?
Nigdzie bowiem nie widzisz, by łupy zebrane leżały;
To, co się w miastach zebrało, już rozdzielonem zostało,
Żądać od wojska nie możesz, by łupy nanowo znosiło,

Ty zaś ją bogowi odeszlej, a za to Achaje
Trzykroć czterykroć nagrodzą, gdykolwiek nam Zeus dozwoli
Dobrze warowną siedzibę Trojanów zburzyć do szczętu.“

W odpowiedzi mu na to się odciął król Agamemnon:
„Chociażeś tęgi Achillu, to przecież podstępem nie zdołasz
W pole mnie wyprowadzić i tak sromotnie oszukać.
Pragniesz zachować twój dar, a ja mam gołym pozostać
Z tego, co mi się należy wyzutym, i żądasz bym oddał?
Albo mi hojni Achaje nagrodę zaszczytną wyznaczą
Zgodnie z mojem życzeniem, by równoważyła się ceną,
Jeśli zaś nie, to wtedy ja sam ją sobie zabiorę
Z twojej lub Ajaxowej zdobyczy, albo z Odyssa,
Porwę dla siebie, a będzie w opałach, kto w drogę mi wejdzie.
Ale to wszystko na później odłożyć możemy, a teraz
Trzeba nam ciemny statek na falę słoną wypuścić,
Wioślarzami obsadzić i włożyć weń hekatombę;
Nadobnego oblicza Chryzeida wsiędzie do niego,
Jeden zaś mąż jako wódz wyprawą będzie kierował,
Ajas lub Idomeneus albo też boski Odysses,
Albo i ty Peleido nad wszystkich mężów straszliwy,
Byś nam w dal godzącego boga ofiary przebłagał.“

Z ukosa na niego spojrzawszy Achilles szybki, mu odrzekł:
„Człeku bezwstydem okryty, za zyskiem tylko patrzący,
Któżby z Achajów był chętnym usłuchać twoich rozkazów,
Drogi dla ciebie się podjąć i z wojskiem potykać się dzielnie?
Wszakże nie przeciw Trojanom walczących dzidą przybyłem
Tutaj wojować, toć oni mi w niczem nie zawinili;
Nigdy mi bowiem rumaków i wołów nie uprowadzili,
Ani też w żyznej Fthyi, męże waleczne rodzącej,
Nie zniszczyli posiewów, boć rozdzieleni jesteśmy
Lasokrytemi górami i morzem głośno szumiącem.
Ale za tobą idziemy zuchwalcze i tobie na korzyść,
Za Menelaja zniewagę ukarać Trojan i ciebie
Łotrze pomścić, lecz ty się o to bynajmniej nie troszczysz;
Za to mi tylko grozisz, że dar mój zaszczytny zabierzesz
Ciężko zdobyty, przez synów Achajskich mnie udzielony.
Nigdy równego udziału nie miałem z tobą, gdy wojska

Zaludnione Trojanów grody zdobywszy, burzyli.
Chociaż i bowiem we wrzącej bitwie na przednim szeregu
Piersi nadstawiałem, to później gdy przyszło do działu,
Główną zabrałeś nagrodę; ja zaś na małem przestając,
Chętnie wracałem do statków, znojami walki strudzony.
Teraz do Fthyi powracam, bo za najlepsze uważam
Obłączaste okręty ku domu kierować i nie chcę,
Będąc tu zapoznanym, dla ciebie łupy gromadzić.“

Na to mu książę narodów odpowie wódz Agamemnon:
„Idź sobie, jeśli ci serce tak każe, ja cię nie będę
Błagać, byś dla mnie pozostał, mam koło siebie i innych
Dobrze życzących, a głównie Zeusa władzę opatrzną.
Z królów od boga wybranych najbardziej cię nienawidzę,
(Zawsze ci bowiem po myśli wojna i kłótnia pospołem),
Jeśli zaś jesteś potężny, to tylko z daru bożego.
Wracaj z łodziami do domu i z twymi towarzyszami,
Rządź sobie Myrmidonami, niewiele dbam ja o ciebie,
Ani mnie troszczy twój gniew, twój dar i tak ci odbiorę,
Równie jak Foibos Apollon Chryzeidę mi piękną zabiera.
Wyszlę ją tedy na własnym okręcie, załogę dodawszy,
Ale Bryzeidę uroczą na dar zaszczytny ci daną
Porwę z twojego namiotu, ażebyś raz się nauczył,
Żem możniejszy od ciebie i nikt się więcej nie ważył
Mierzyć się zemną, jakoby równemu z równym przystało.“

Tak mu prawdę wypalił, w Pelidzie krew zakipiała,
W piersi obrosłej mu serce na dwie się strony ważyło,
Czy obosieczny miecz z pod boku dobywszy, uderzyć
Obces i zgraję rozproszyć i zamordować Atryda,
Czy też powściągnąć gniew i jankur w sercu przytłumić.
Podczas gdy się namyślał i już wyciągać zamierza
Szablę potężną z pochwy, nadeszła Pallas Athene
Z nieba, bo po nią wysłała Here o śnieżnych ramionach;
Równie im była przychylną i bała się o los ich obydwóch.
Z tyłu stanąwszy Achilla, za płową chwyciła czupryne,
Jemu jednemu widoma, niedostrzeżona dla innych.
Zląkł się Achilles i w tył się odwróciwszy, natychmiast
Poznał Athenę, strasznemi oczyma na niego patrzącą.

Ku niej się odwróciwszy, w skrzydlate odezwał się słowa:
„Córo Egidodzierżcy Zeusa, pocoś tu przyszła?
Czy Agamemnona pychę Atrejdy ujrzyć oczyma?
Mogę zapewnić i sądzę, że kiedyś skończy się na tem,
Że za swoje zuchwalstwo życiem odpłacić mu przyjdzie.“

Na to mu odpowiedziała promiennooka Athene:
„Na to przybyłam, by gniew twój hamować i żebyś mnie słuchał
Z nieba, bo białoramienna Here mnie zawiadomiła;
Obu was bowiem miłuje i losem waszym zajęta.
Teraz się udobruchaj i nie groź mieczem i ręką,
Za to go zelżyj słowami i gadaj co na myśl ci przyjdzie.
Mogę ci zaś przepowiedzieć i tak z pewnością się stanie,
Że cię w trójnasób nagrodzą i skarby drogiemi obsypią
Za zniewagę dzisiejszą, a teraz się wstrzymaj i słuchaj.“

Szybki w biegu Achilles w te słowa na to jej odrzekł:
„Trzeba nam teraz usłuchać waszego rozkazu boginie,
Lepiej tak będzie, aczkolwiek mi gniewem serce zawrzało.
Kto woli bogów ulega, dla tego są zawsze łaskawi.“

Rzekł i potężną dłonią za srebrną chwycił rękojeść,
Nazad do pochwy schował miecz wielki i nie był przeciwnym
Woli Atheny; lecz ona do Olimpu w górę się wzbiła,
Gdzie gromowładny Zeus i inni niebianie mieszkają.

Wnet się odezwał Ahilles i zelżywemi słowami
Wsiadł na Atrydę i znowu wybuchnął gniewem okrutnym:
„Winna baryło, z oczyma sobaki a sercem jelenia!
Nigdy się nie odważyłeś wraz z ludem do boju się zbroić,
Ani też nie należałeś do śmiałych Achajów zasadzki,
Wszystko to bowiem dla ciebie aż śmiercią pachnie i strachem.
Dużo wygodniej dla ciebie w licznych Achajów szeregach
Łupy każdemu wydzierać, ktokolwiek się tobie sprzeciwi;
Królu nikczemnych, co naród podwładny sobie wysysasz.
Sądzę zaprawdę Atrydo, że po raz ostatni zgrzeszyłeś.
Ale ci zapowiadam i świętą stwierdzę przysięgą,
Na moje berło, z którego nie puszczą gałązki i liście,
I nie ożyje więcej, od chwili jak pień opuściło

W lesie, bo ostrze żelaza na koło liście i korę
Oberżnęło, a teraz Achajów synowie je w rękach
Dzierżą, jako stróżowie od Zeusa postanowieni
Sprawiedliwości; tę moją przysięgę za świętą uważaj.
Jeśliby kiedy Achilla, synowie Achajów gromadni
Potrzebowali, napróżno się będziesz silił i martwił,
By im dopomódz, gdy wielu pod srogą Hektora dłonią
Padać będzie konając, to z gniewu serce twe będziesz
Szarpał, żeś najlepszego z Achajów uczcić nie umiał.“

Tak się wygadał Achilles i laską rzucił o ziemię,
Gwoździmi złotemi nabitą, a potem usiadł na miejscu.
Sierdził się dalej Atrydes, a wtedy się do nich odezwał
Nestor duszy łagodnej, Pylonów rajca wymowny;
Z ust jego mowa płynęła jak miód co pełny słodyczy.
Wtóre on już pokolenie ludzi mówiących oglądał,
Które za jego życia powstało i z nim się chowało
W świętym Pylosie, a teraz nad trzeciem rządy piastował.
Mądrze i z dobrą wolą przemówił do nich następnie:
„Przebóg, cóż to za klęska Achajską ziemię dotyka;
Wielce się nią uradują Priam i Priama dziatwa;
Pewnieby cały się naród Trojan serdecznie ucieszył,
Gdyby go doszło, że tak się między sobą wadzicie,
Wy, którzy z Danaów pierwsi do rady i walki stajecie.
Ale słuchajcie, boć obaj młodsi odemnie jesteście.
Żyłem ci ja z innymi mężami większego znaczenia
Od was obydwóch, a przecież nikt mnie lekce nie ważył.
Nigdy już mężów podobnych nie ujrzę i nigdym nie widział,
Jakim był Peirithoos i Dryas pasterz narodów,
Kaineas, Exadios i bogom równy Polifem,
(Albo Thezeusz Aegea potomek niebianom podobny).
Któżby się z nimi porównał z ludzi na ziemi żyjących?
Byli pierwszymi i zawsze z najlepszymi walczyli,
Przeciw olbrzymom górskim i straszne im cięgi dawali.
W takich to mężów drużynie się biłem, przybywszy z Pylosu,
Choć była droga daleka, aż ztamtąd o mnie wołali;
W ich otoczeniu do walki stawałem, a z ludzi dzisiejszych
Pewnie nikogo nie znajdzie, co w boju by zdołał im sprostać.
Przecież i oni mej rady i mowy chętnie słuchali;

Tak też i wy słuchajcie, bo wyjdzie wam to na dobre.
Zatem, mimo żeś godnym, branki się jego nie tykaj,
Będzie nagrodą dla tego, kto pierwszy od Achajów ją dostał;
Ty zaś Pelido naprzeciw królowi zuchwale nie stawaj,
Żaden albowiem z królów dzierżących berło zaszczytu
Tyle dla siebie nie zyskał, a sławę od Zeusa ma w darze.
Prawda, że dzielnym jesteś i boska cię matka rodziła,
Lecz on od ciebie możniejszy, bo większym rządzi narodem;
Ty zaś Atrydo niechęci zaniechaj, a ja się postaram,
Żeby Achilles urazy zapomniał, boć jego uznają
Jako najlepszą Achajów obronę w wojnie okrutnej."

Na tę mowę mu odrzekł potężny król Agamemnon:
„Wszystko zaprawdę to słuszne, coś nam Nestorze powiedział;
Cóż kiedy zawsze tamten nad innych chce się wynosić,
Nad wszystkimi przewodzić i własną wolę narzucać,
Wszystkim rozkazy wydawać, nie sądzę, by kto ich usłuchał
Jeśli zaś z daru bożego i kopiją dzielnie wywija,
Czyż dlatego mu wolno na innych rzucać obelgi?"

Na to mu przerywając Achilles boski odetnie:
„Miałby mnie każden za tchórza i nikczemnego człowieka,
Żebym się tak powodował wszystkiemi słowy twojemi.
Możesz to innym narzucać, i owszem, lecz wara odemnie,
(Bo ani myślę rozkazu twojego pokornie usłuchać),
Zresztą, ręczę ci za to i dobrze pamiętaj me słowa;
Już ja z powodu branki ręki do boju nie wzniosę
Przeciw tobie lub innym, bo dawszy, znów zabieracie;
Lecz co do innych łupów złożonych w czarnym okręcie
Ani mi waż się dotykać i mimo mej woli zabierać.
Gdyby jednakże, to wtedy pamiętaj i dobrze wiedz o tem,
Że się twa czarna krew po ostrzu włóczni poleje."

Tak gorzkiemi słowami wzajemnie na siebie rzucali;
Wstawszy, rozwiązali zebranie w obozie Achajskim.
Peleides do namiotów i równoleżących okrętów
Odszedł z Menoitiadesem i resztą swych towarzyszy;
Zaś Agamemnon okręty do morza szybkie wytoczył,
Wybrał wioślarzy dwadzieścia, i hekatombę dla boga

Przygotowawszy, nadobną Chryzeidę w statku umieścił;
Stanął na czele wyprawy przebiegły wielce Odysses.

Wsiadłszy na statek, mokremi puścili się wody torami.
Wtedy Atrydes nakazał, by naród się z winy oczyścił;
Wszyscy się oczyścili, a wodę po zmazie grzechowej
W morze wrzucili i pełne Apollinowi ofiary
Z wołów i kozłów składali na brzegu morza pustego.
W kłębach dymu do nieba zapach ofiary się wznosił.

Podczas kiedy w obozie to wszystko się działo, Atrydes
Nie zapominał o zemście, jaką Achillowi groził.
Zaraz do Thałdybia i Erybata się odezwie,
Byli to keryxowie i słudzy jego powierni:
„Idźcie mi zaraz gdzie namiot Peleusa syna Achilla,
Weźcie za rękę nadobną Bryzeidę i gwałtem zabierzcie:
Jeźli jej zaś nie wypuści, to sam ją zabrać potrafię
Kupą uderzę a wtedy będzie to gorzej dla niego.“

Rzekłszy tak ich odesłał i rozkaz gwałtowny dorzucił.
Oni poszli niechętnie wzdłuż brzegu morza pustego,
Mirmidońskie namioty i statki stały opodal,
Tam go znaleźli przy ciemnym okręcie w pobliżu namiotu
Siedzącego, nie bardzo był rad z ich widoku Achilles.
Wobec króla ze trwogą i zawstydzeni stanęli,
Żaden z nich się nie odezwał i słowa nie śmiał przemówić;
On się domyślił co w duszy ważyli i mówiąc uprzedził:
„Witam was keryxowie, Boga i ludzi posłańce,
Zbliżcie się do mnie, bo wyście niewinni lecz Agamemon,
Któren was tu wysyła z powodu Bryzeidy branki.
Niechże tak będzie, wyprowadź Patroklu boski dziewicę,
Niech ją zabiorą, lecz oba niech będą świadkami;
W imię bogów szczęśliwych i ludzi śmiertelnych przysięgam,
Również w imię srogiego króla, że kiedybykolwiek
Twojej żądano pomocy, by straszne odwrócić nieszczęście
Tego narodu; natenczas wściekać się będzie ze złości,
Że się na wszystkie strony napróżno będzie oglądać,
Aby swe wojska Achajskie od marnej zguby ratował.“

Skończył; usłuchał rozkazu Patroklos drucha miłego,
Czarującego oblicza Bryzeidę z namiotu prowadzi;
Oni ją odebrawszy wracają do łodzi Achajskich.
Młoda niewiasta odeszła niechętnie, a wtedy Achilles
Zdala od swych towarzyszy usiadł i gorzko zapłakał.
Wzrok utopiwszy w niezmierne morza sinego przestrzenie
Ręce wyciągnął i matkę gorąco błagać poczyna:
„Matko, kiedy niedługie są chwile życia mojego
Toćby mi władca Olimpu chwały przyczyniać powinien
Grzmiący wysoko Zeus, a właśnie mnie w niczem nie wspiera;
Ciężko mnie bowiem obraził Atreusa syn Agamemon
Gwałtem dla siebie zabrawszy nagrodę mnie przynależną.“

Tak się uskarżał z płaczem, słyszała go matka poważna
W morza głębinach siedząca przy boku ojca starego.
Szybko jak mgła nad poziom sinego morza się wznosi;
Tuż koło syna usiadła ze smutku zapłakanego
Ręką po twarzy głaskała i tak się do niego odezwie:
„Dziecię me czegoż się żalisz i cóż cię za smutek dotyka?
Powiedz nie tając w sercu, abyśmy oboje wiedzieli.“

Ciężko wzdychając jej odrzekł najszybszy w biegu Achilles:
„Wszystko to wiesz, więc na cóż raz jeszcze mam ci powtarzać,
Oblegaliśmy Thebę gród święty Ejetiona;
Szturmem zdobywszy zabraliśmy wszystko co było na miejscu.
Łupy synowie Achajów pomiędzy sobą dzielili,
Wybrał dla siebie Atrydes Chryseidę dziewkę nadobną;
Chryzes atoli kapłan Apollina w dal godzącego
Przybył do szybkich okrętów Achajów miedzią okrytych
Wyzwolenia swej córki żądając za wykup ogromny,
Z wieńcem Apollina w rękach, zdala ugodzić możnego,
Na berle złotem i wszystkich Achajów błagać poczynał,
Głównie zaś obu Atrydów rządzących licznemi narody.
Wtedy wszyscy Achaje dobremi słowy radzili
Uszanować kapłana i okup przyjąć bogaty.

Na to jednakże nie przystał Atreusa syn Agamemon,
Lecz ze złością odesłał i rozkaz surowy dorzucił
Z gniewem napowrót odszedł starzec, atoli Apollon

Błagającego wysłuchał, bo był dlań bardzo łaskawy;
Przeciw Argeiom śmiertelne wypuścił pociski, a wojska
Całe padały szeregi, bo strzały boga sięgały,
Jak szeroko stanęły Achajów hufce. Dopiero
Biegły wróżbita tłomaczył wyroki w dal godzącego.
Wtedy radziłem odrazu, by gniew Apolla przebłagać,
Ale Atryda uniosła krewkość i na mnię powstawszy,
Jął się odgrażać i w końcu zamiaru swego dokonał.
Brankę albowiem Achaje, wesoło patrzący, w okręcie
Nazad do Chryzy wysłali składając Bogu ofiary;
Moją zaś dziewczynę keryxy z namiotu porwali
Bryzea córkę, w nagrodę od synów Achajskich mi daną.
Ty zaś jeźli potrafisz za synem walecznym się ujmij,
Wzniosłszy się w Olimp wysoki zaklinaj Zeusa, wszak nieraz
Serce mu rozweseliłaś dobremi słowy lub czynem.
Często albowiem słyszałem, jak w gmachach ojca twojego
Opowiadałaś, że ty jedyna między bogami
Od haniebnego losu Kronidę chmurnego broniłaś,
Kiedy Olimpijczycy go związać usiłowali,
Here i Pallas Athene a z nimi groźny Poseidon.
Ale ty wtedy nadeszłaś bogini i więzy rozcięłaś,
Sturęcznego na pomoc do góry Olimpu wezwawszy
Briara, tak go bogowie mianują, a ludzie śmiertelni
Aigajonem, bo w sile od ojca jeszcze jest tęższym.
On tedy koło Kronidy zasiadłszy dumnie się chlubił;
Zlękli się jego szczęśliwi bogowie i więzić nie śmieli.
To mu przywiedź na pamięć i kląkłszy obejmij kolana,
Czyby też swojej pomocy Trojanom udzielić nie zechciał,
W morze zaś wpędził Achajów i nazad w okręty ich zagnał,
Aby zginęli i króla nareszcie swojego poznali.
Niechże Atreusa syn Agamemnon możny zrozumie
Ile zawinił pierwszego z Achajów uczcić niechciawszy.“

Na to się doń zwróciła Thetyda łzy wylewając:
„O moje dziecię dla czegóż cię w złej rodziłam godzinie?
Tobieby należało bez łez i smutku przy łodziach
Siedzieć, albowiem niedługo kres twego życia nastąpi;
Nie dość, że rychło umrzesz, a jeszcze cię los prześladuje,
Ciebie zrodziwszy na pastwę losowi zgubnemu wydałam.

Z tem się do Zeusa udając, co w gromach sobie podoba,
Pójdę na szczyt śnieżysty Olimpu czy zechce mnie słuchać.
Ty zaś pozostań spokojnie przy statkach szybkobieżących,
Gniewu przeciw Achajom i walki zupełnie unikaj,
Bo wczoraj ku Oceanowi do zacnych się udał Aethiopów
Zeus na ucztę, i wszyscy się z nim wybrali bogowie;
Za dni dwanaście dopiero, znów do Olimpu powróci.
Wtedy do Zeusa pałacu ze spiżu kutego się udam,
Błagać go będę na klęczkach i może go wreszcie przekonam."

Tak powiedziawszy odeszła, a jego pozostawiła
Rozżalonego z powodu niewiasty kibici wysmukłej,
Którą mu wbrew jego woli zabrano. Pod ten czas Odysses
Wiódł Hekatombę świętą i dobił nareszcie do Chryzy.
Gdy zawinęli do portu i przystań obrali wygodną
Żagle zwinąwszy, na dnie okrętu ciemnego złożyli,
Maszt ściągnęli na miejsce spuściwszy go na dół po linach
Szybko, a potem wiosłami przybili z okrętem do lądu.
Wyrzucili kotwice i łodzie przymocowali,
Wyszli i sami z okrętu na morza skaliste wybrzeże,
Wyładowali ofiary na cześć Apolla możnego,
Wyprowadzili Chryzejdę z łodzi po falach bieżącej.
Wtedy przebiegły Odysses prowadząc ją do ołtarza
W ręce ojca drogiego ją oddał i tak się odezwał:
„Chryzie! do ciebie mnie wysłał narodów król Agamemnon,
By ci dziecię powrócić i złożyć ofiary Febowi
Na rzecz Danaów, byśmy boga przebłagać zdołali,
Któren obecnie ciężkiemi Achajów ciosy dotyka." —
Rzekłszy to w ręce oddaje, a ojciec ściska z radością
Dziecię swe miłe; wnet oni hekatombę bogatą
Rzędem ustawiają na ołtarz pięknie wzniesiony,
Potem umywszy się jęczmień ofiarny do góry podnoszą;
Wtedy z rękoma do góry modlitwy Chryzes poczyna:
„Słuczaj mnie srebrnołuczysty, co Chryzę trzymasz w opiece,
Takoż i Killę świętą, a silnie w Tenedzie władasz;
Jeźli wprzódy me prośby łaskawie wysłuchać raczyłeś,
Karząc Achajów naród, by moją pomścić zniewagę,
Więc mnie i teraz usłuchaj i spełnij moje życzenie
Broniąc Danaów nadal od sromotnego nieszczęścia."

Tak błagając się modlił — usłuchał go Foibos Apollon.
Oni odbywszy modlitwy i ziarna święcone rzuciwszy
Ciągną za szyję ofiary, biją i skóry zdejmują,
Wykrawają udźce i sadłem w koło podwójnie
Obłożywszy, drobnemi kawałki mięsa przykryją.
Starszy je spalił na łupkach i ciemnem winem pokropił,
Młodzież stała na koło z widłami pięciozębnemi,
Gdy się udźce spaliły i całe spożyto jelita
Resztę w kawałki skrajawszy na rożnach poosadzali,
Potem starannie upiekłszy napowrót z rożen ściągnęli.
Wreszcie ustali z robotą i ucztę przygotowawszy
Jeść poczęli, dla wszystkich starczyła wspólna biesiada.
W końcu gdy wszyscy napoju i jadła mieli do syta,
Wino leją pachołki w puhary pełno do brzegu,
Zaczynając od prawej z kolei wszystkim podają.
Oni tedy dzień cały pieniami boga błagają,
Głosy młodzieży Achajskiej w pajanie pięknym się łączą
Chwaląc w dal godzącego, a on ich słucha z rozkoszą.
Wreszcie gdy zaszło słońce i wieczór ciemny nastąpił,
Koło przystani okrętów udali się na spoczynek.
Ledwo różanopalca powstała na wschodzie jutrzenka
Odpłynęli napowrót do wojska Achajów licznego,
Zesłał im wiatr pomyślny Apollon z dala godzący,
Maszt podnieśli i białe szeroko żagle rozpięli;
Rozdął wiatr środek żagli, a piana sinawa na koło
Brzegu okrętu huczała, gdy szybko sunął się naprzód,
Żwawo po falach pędził, by dopiąć celu podróży.
Zawinąwszy nareszcie do wojska Achajów licznego,
Ciemne okręty na ląd ku piasczystemu wybrzeżu
Zaciągnęli, podparłszy je wprzódy belkami długiemi,
Sami zaś się rozeszli do swych namiotów i łodzi.

Siedział natenczas w gniewie przy szybkich swoich okrętach
Z boga zrodzony Pelides, Achilles szybkobieżący;
Wcale już nie uczęszczał do rady dla mężów zaszczytnej,
Ani do bitwy należał, lecz aż mu się serce trawiło
Z nieczynności, bo wzdychał za bitwą i wrzawą wojenną.

Gdy zaświtała dwunasta od owej chwili jutrzenka,
Wieczni bogowie do domów Olimpskich swoich wrócili
Wszyscy, na czele Zeus. Niezapomniała Thetyda
Syna swojego zlecenia i z piany morskiej się wznosząc,
Z ranną mgłą do Olimpu i niebios obszernych spieszyła.
Kronid głośny szeroko, siedział z osobna od innych,
Na krawędzi najwyższej Olimpu wieloszczytnego
Blisko się przysunąwszy ujęła go za kolana
Lewą, prawą zaś ręka pod brodę głaskając, poczęła
Głosem błagalnym do Zeusa wszechwładnego Kronidy.

„Zeusie rodzicu, jeżeli pomiędzy bogami ci kiedy
Mową lub czynem służyłam, to spełnij moje życzenie.
Pomóż mojemu synowi, któremu życie tak krótkie
Dano; bo wielce go skrzywdził narodów król Agamemnon,
Przytrzymując mu dar zaszczytny co gwałtem odebrał;
Lecz ty go teraz pomścij o Zeusie w radzie potężny,
I tak długo Trojanom daj siłę, aż wreszcie Achaje
Syna mi uszanują i chwała mu wyjdzie na korzyść.“

Tak mówi, lecz chmurozbiorca Zeus nic na to nie odrzekł;
Lecz siedział długo ponury; Thetyda obejmie kolana,
Jak gdyby z niemi się zrosła i drugi raz się odezwie:
„Ty coś wierny swym słowom obiecaj głowy skinieniem
Albo też odmów, boć nie znasz bojaźni, bym dobrze wiedziała,
Że z całej bogów drużyny najmniej ja względów doznaje.“

Zaperzywszy się na to jej odrzekł Zeus chmurozbiórca:
„Źle się to skończy, że mnie na Herę pragniesz buntować,
Która tak często mnie drażni uszczypliwemi słowami;
Zawsze i tak mi dokucza między wiecznemi bogami,
Wyrzucając, że w bitwie Trojanom szczęście przynoszę;
Ale ty teraz się oddal, by czegoś nie pomiarkowała
Here, już moja to rzecz, bym zamiar po myśli wykonał.
Głowy skinieniem przyrzekam, byś była pewna swojego;
Jest to odemnie dla bogów poręka najuroczystsza.
Nieodwołalnem jest bowiem i niezawodnie nastąpi,
Spełnić się musi koniecznie co głowy skinieniem przyrzekłem.“

Tak powiedziawszy ciemnemi poruszył brwiami Kronion
Ambrozyjskie kędziory na skroniach władcy zadrżały
Od wiekuistej siły, i wielkim wstrząsnął Olimpem.

Tak uradziwszy oboje rozeszli się; zaraz i ona
Olimp opuszcza świetlisty i w morze głębokie się nurza.
Zeus do domu powraca; wraz wszystkie bogi powstały
Ojca witając swojego, i żaden z nich się nie ważył
Czekać na jego przybycie, lecz wszyscy wyszli naprzeciw.
Tak tedy zasiadł na tronie; nie uszło Hery uwagi
Bo dostrzegła wyraźnie, że długo zię z nim naradzała
O srebrnych nóżkach Thetyda morskiego córa staruszka.
Zaraz z przekąsem do Zeusa Kronidy wręcz się odezwie:
„Obłudniku któż z bogów do ciebie się z radą odnosi?
Widać że zawsze ci miło, po za mojemi plecami
Knować zamiary tajemne; czyż kiedy się na to zdobyłeś,
By mi udzielić życzliwie nowiny, o której się dowiesz?“

Ojciec bogów i ludzi w te słowa na to jej odrzekł:
„Here nie miej nadziei, byś wszystkie moje zamiary
Znała, nie będzie to łatwo, lubo mi jesteś małżonką,
Co ci się wiedzieć należy, to nadal z bogów nikomu,
Ani też z ludzi przed tobą, wiadomem nigdy nie będzie,
Lecz co po za bogami bym kiedy uczynić zamierzał
W to mi się nigdy nie wtrącaj, nie pytaj, ani nie badaj.“

Na to mu śmiałooka odrzecze Here dostojna:
„Najstraszliwszy Kronidzie, cóż to za słowa wyrzekłeś?
Nigdy zaprawdę się nie pytam, ani się mięszam do ciebie,
Lecz spokojnie stanowisz co tylko zechcesz uczynić.
Teraz atoli okropnie się lękam, by cię nie uwiodła
Córa starego morskiego Thetyda o nóżce srebrystej.
Zrana albowiem przy tobie usiadłszy objęła kolana.
Przyrzec jej tedy musiałeś skinieniem, że Achillesa
Uczcisz, a wielu z Achajów wygubisz koło okrętów.“

Zeus co chmury gromadzi w odpowiedź na to jej odrzekł:
„Dziwna bogini, posądzasz mnie zawsze choć nic nie ukrywam,
Ale tem nic nie wskórasz i coraz to bardziej me serce

Będzie ci obcem, a skutki pociągnie to smutne dla ciebie;
Niechby i przyszło do tego, to mojej woli nie zmieni.
Teraz zaś siedź spokojnie i bądź posłuszną rozkazom,
Bo by ci wszyscy bogowie Olimpu nic nie pomogli,
Gdybym zbliżywszy się groźne me dłonie podniósł na ciebie.“

Tak ją ofuknął, przelękła się Here dostojna bogini
Milcząc usiadła posłusznie i serce wzburzone koiła.
Zposępnieli w pałacu Diosa bogowie niebiańscy.
W kunsztach biegły Hefaistos tak do nich mówić rozpoczął,
Chcąc się matce przysłużyć Herze o śnieżnych ramionach.
„Smutne to dzieje zaprawdę i dłużej nie do zniesienia,
Że się o ludzi śmiertelnych pomiędzy sobą wadzicie,
Kłótnie wszczynając pomiędzy bogami, już ani biesiady
Nie użyjemy szlachetnej, bo górę bierze co gorsze.
Matkę ja teraz upomnę, aczkolwiek wie ona dobrze,
Jak przejednać należy drogiego ojca, by więcej
Na nas nie zrzędził i uczty uciechę nam nie popsował.
Zdołałby bowiem i tak Olimpu pan gromowładny
Z miejsca każdego wyrzucić, boć siłą nad wszystkich celuje.
Ale ty staraj się teraz słodkiemi go słowy ugłaskać,
To się wnet udobrucha i będzie dla nas łaskawszym.“

Tak przemówiwszy dwuręczny dzbaniec do góry podnosząc
Podał go matce do rąk, i znów się do niej obrócił:
„Przenieś to matko na siebie i krzywdy się staraj zapomnieć,
Bym cię, chociaż mi drogą, oczyma memi nie ujrzał
Zbitą; bo wtedy pomimo mej zgrozy nie zdołam ci pomódz
Straszna to bowiem rzecz na Olimpijczyka powstawać.
Już mnie bowiem i dawniej, gdy tobie na pomoc spieszyłem,
Uchwyciwszy za nogi wyrzucił z progów niebieskich.
Przez dzień cały leciałem, dopiero przy słońca zachodzie
Spadłem w Lemnos; nie wiele przy duszy mi tchu pozostało.
Tam gdym zleciał przyjęli gościnnie mężowie Syntyjscy.“

Tak tedy prawił; uśmiecha się Here o białych ramionach,
Śmiejąc się bierze do ręki czarę od syna swojego;
On zaś od prawej strony zacząwszy wszystkim niebianom
Słodki nalewa nektar, z dużego czerpiąc kratera.

Wtedy szczęśliwi bogowie zaczęli się śmiać do rozpuku
Widząc jak ręcznie Hefaistos, w Olimpu gmachach się krzątał.

Tak tedy przez dzień cały dopóki słonko nie zaszło
Ucztowali, dla wszystkich starczyła wspólna biesiada,
Ani na Cytrze nie brakło, do której wziął się Apollon,
Muzy zaś pięknym głosem na przemian im przyśpiewywały.
Wreszcie gdy ku schyłkowi się miało światło słoneczne,
Na spoczynek rozeszli się wszyscy i każden do siebie,
Gdzie dla każdego mieszkanie w rzemiosłach biegły, kulawy
Hefaistos wybudował, rozumem swym przenikliwym.
Król gromowładny Olimpu Zeus do łoża swojego,
Gdzie i poprzednio spoczywał, gdy błogi sen mu nadchodził;
Tam się ułożył, a przy nim Here tron złoty mająca.

Przegląd Literacki.

Słowa Żywota czyli *Pismo Święte* starego i nowego przymierza w rodzinnem gronie opowiedziane przez Felicyą Iwanowską; 80 rycin; tomów V; stron: 704, 526, 738, 650, 739: *in octavo,* w Krakowie w drukarni Leona Paszkowskiego, 1874.

W dzisiejszych czasach, kiedy prądem wieku duch ludzki szarpany w najróżnorodniejszych kierunkach, rzuca się niespokojny ku tym najczęściej przedmiotom, które obiecują rozgłos lub zysk natychmiastowy, jakże miło, jak słodko jest, pośród pustyni spalonej ogniem pospolitych namiętności, spocząć znienacka na zielonej oazie, nad którą świeci pogodne słońce, a świeża rodzajność ducha i kwiat wdzięcznego serca napełnia przyrodę zapachem nadludzkiej, bo chrześciańskiej miłości, miłości czystej wonnej, nieznanej ziemskim rachubom i celom. Podczas gdy piśmiennictwo wszystkich narodów, będąc wiernem źwierciadłem umysłowego ich życia, daje nam w przeważnej mierze dzieła niedojrzałe, pospiesznie wykonane, powstałe pod wrażeniem jednej chwili, które przeto giną, rzec można, nie zaznawszy jutra; wtedy zaradzając ruinie, która grozi idealnej budowie świata, Opatrzność rozsypała tu i owdzie nasiona prawdziwej mądrości, i kazała wybranym swoim pracować w cichości i w pocie czoła nad uzacnieniem wyższych instynktów nieśmiertelnego ducha. Choćby ludzkość chciała się uznać za gromadę zwierząt, o tyle tylko lepszych niż inne, że doskonalej uorganizowanych, nie jest jednakże w stanie w mówić w siebie tego stanowczo, albowiem zpośród podupadłej ludzkości podniesie się wnet krzyk protestu, popartego anielskiem życiem, niezliczonemi czynami wiary i poświęcenia, który będzie się rozlegał nad światem z tem większą mocą, im większa będzie usilność ku jego przytłumieniu.

Takie i tym podobne uwagi nasuwały się nam bez ustanku, gdyśmy czytali, a czytali z największą przyjemnością, wielkie dzieło pani Felicyi Iwanowskiej, którego tytuł zamieściliśmy na czele niniejszego artykułu. Znaleźliśmy w niem tyle miłości Boga i bliźniego, tyle wysokich zalet literackich i artystycznych, a przytem zaimponowało nam ono tak dalece swojemi rozmiarami, żeśmy nie wątpili ani jednej chwili, że zajmie ono zaszczytne miejsce pomiędzy najznakomitszemi utworami ojczystego piśmiennictwa. Jest ono widocznie owocem całego życia jednej z natur wspaniale uposażonych, która w poczciwie powziętej myśli, chcąc wykonać podobne dzieło, oprócz najskrzętniejszej pracowitości, musiała nietylko posiąść niezmierny zasób naukowej wiedzy, ale nadto potrzeba jej było, aby w swej duszy dosłyszała głos Boży, co ją powołał do pracy przechodzącej, jakby się zdawało, siły niewieście. Zdumienie nas ogarniało, gdy w miarę poznawania tej książki, obznajmialiśmy się z całem bogactwem erudycyi teologicznej, historycznej, archeologicznej, nie owej próżnej i nadętej, która łaknie popisu i dla popisu żyje, ale skromnej i cichej, dla miłości Boga i zbawienia duszy nagromadzonej, która się objawia pomimo chęci i woli, w celu zbudowania i przekonania, a jakiej się właśnie domaga godność i zacność wysokiego przedmiotu. Któż dzisiaj, oprócz osób do stanu duchownego powołanych, może się pochwalić u nas tak głęboką znajomością ojców kościoła i tych wszystkich źródeł katolickich, niezliczonych mnogością, niezrównanych pracą, które mają za przedmiot objaśnienie Pisma Bożego? Wierna i w najdrobniejszych rzeczach nauce kościoła, którą ukochała sercem i rozumem, ta niewiasta chrześciańska, ta Polka przezacna rozsuwa przed nami szczytny obraz Boskiego dramatu, którego jedna połowa, skończona i zamknięta w sobie, nie jest niczem innem, jak tylko figurą, przepowiednią, miłośnem pragnieniem tego, co miało się ziścić i spełnić w połowie drugiej, to jest, w osobie Słowa wcielonego, w tej pieśni nad pieśniami, której pierwsze tony zasłyszeli z ust anielskich pastuszkowie betleemscy, a ostatnie śpiewać będzie, choć nigdy nie dośpiewa do końca, cała nieśmiertelność. Na ten związek między starym i nowym światem kładzie pani Iwanowska przycisk główny, na niego ciągle zwraca uwagę czytelnika, jako na pierwszą zasadę wszelkiej historyi. Bez niego cierpienia i zasługi ludów starożytnych, osobliwie ludu wybranego, byłyby pozbawione wewnętrznego uświęcenia, które na nie spływa z ogólnego planu odkupienia. A wszystkie te cuda Bożej mądrości są tutaj opowiedziane mową naszą ojczystą, tą polszczyzną ukochaną, jasną, czystą, zajmującą, która cieszy, ożywia, ogrzewa serce choćby skamieniałe, tyle w niej jest świeżości i światła, tyle prostoty i dziewiczości, tyle rzewności i słodyczy. Bez wątpienia, kto długo i miłośnie nie wczytywał się w opowiadanie biblii, nie może marzyć dla siebie o tym stylu

nieporównanym, którego energia i prostota jest zarazem najwyższą kunsztownością.

Wszelako, co najbardziej nas uderzyło w tem dziele pięciotomowem, gdzie jednak ani jednego słowa nie ma rzuconego bez celu; jest to metoda rozumna i jasna, która całą treść uwarunkowywa jej wychowawczem znaczeniem, a nadto spaja pojedyncze części moralne i fizyczne w tak jednolitą, nader harmonijną całość, że tę metodę moglibyśmy nazwać genialną, bez najmniejszej obawy, że nas kto o przesadę posądzi. Wychodzi tu na jaw potężna oryginalność czcigodnej autorki i zdaniem naszem zapewnia jej na zawsze wysokie stanowisko pomiędzy krajowymi pisarzami.

Z wdziękiem sobie właściwym, kierowana ciągle uczuciem serdecznej pobożności, pani Iwanowska opowiada wszystkie wypadki w Piśmie świętem zawarte, żadnego z nich nie opuszczając, w porządku ściśle chronologicznym, tak jednak, że każda z ksiąg i oddziałów biblii przedstawia się jako całość mająca swój wybitny charakter. W ten sposób, obok treści objawienia, obok układu księgi świętej, zaznajamia nas ona także ze szczególnemi epokami czasu, do których każda jej część się odnosi, co jak wiadomo, stanowi dzisiaj główny przedmiot poszukiwań umiejętnych. Te materye ściśle naukowe i przeto mało przystępne osobom świeckim umiała ona przystroić w szatę powabną, i zniżyć do pojęcia niedojrzałych nawet dziatek. Wszakże dopiero przy wykładzie ewangielii występuje na jaw niezmierny pożytek metody chronologicznej. Tutaj niemal tydzień po tygodniu, dzień po dniu jesteśmy w stanie uwielbiać czyny i nauki Zbawiciela w ich historycznem następstwie, w ich boskiej ekonomii; a ponieważ ewangieliści dla innych względów, które autorka wyjaśnia, nie trzymali się dokładnie nici chronologicznej, więc pani Iwanowska widziała się zmuszoną zaniechać porządku starannie dotąd przestrzeganego, i łączy cztere ewangielie w jedno wspaniałe opowiadanie, przedzielając je jedynie wielkiemi wypadkami żywota Chrystusowego, pomiędzy któremi obchód paschy główną ma wagę. W Dziejach zaś apostolskich, w Listach apostolskich i w Objawieniu św. Jana, powraca znowu do zwykłej metody: wyświecając istotę rzeczy w jej czasowych i historycznych warunkach, zaznajamia czytelnika zarazem z każdym prawie rozdziałem po szczególe.

Pomiędzy katolikami słabo obznajmionymi z rzeczami swej wiary, pokutuje dotąd fałszywe mniemanie, narzucone im przez protestantów, jakoby kościół zabraniał świeckim ludziom czytania Biblii. Oczywiście kościół, który przy każdej sposobności czyta swym dzieciom ustępy słowa Bożego, nie może się stawiać w sprzeczności opłakanej z samym sobą; tylko że pozwolenie swobodnego czytania Pisma św. czyni zależnem od naukowego i umysłowego wykształcenia każdej pojedynczej osoby, w czem

właśnie okazuje się jego wysoka mądrość, wtenczas kiedy heretycki nierozum księgę wymagającą pokornej pracy ducha rzucił na pastwę grubego pospólstwa. W tych protestanckich okolicach, gdzie biblia nie stała się jeszcze celem nikczemnego szyderstwa, serce się ściska na widok tylu potwornych przesądów, wynikających właśnie z lekkomyślnego czytania biblii, że już nie wspomnimy o nader licznych, szalonych i krwawych wypadkach, które w przeszłości z tej samej wypłynęły przyczyny. Jeżeli utwory literackie starożytności zbliżonej do nas czasem i geniuszem, takie naprzykład pieśni Hezyoda lub tragedye Eschyla, wymagają długich lat moralnej pracy, aby były choć jako tako dla nas zrozumiałe; to cóż dopiero pomyśleć o owych hymnach proroczych, o owych figurach osłoniętych tajemnicą, o owych zachwytach mistycznych, które w pierwszej linii stosowały się do współżyjączch pokoleń całkiem od nas różnych językiem, cywilizacyą i wszystkimi warunkami życia. A jednak pani Iwanowska, — i to jest jej niezmierną zasługą, — potrafiła dać nam znaczną część Pisma Bożego w tekscie autentycznym, dać je nawet dla chłopków i małych dziatek, bez najmniejszej szkody dla ich wiary i obyczaju, owszem na wielki pożytek dla obojga. Jej zmysł delikatny niewieści wyróżnił materye, które zyskują na przystępności dla polskiego człowieka, skoro zostaną odziane w formę opowiadania, od tych ustępów pisma, co albo same przez się zrozumiałe albo się zalecają wspaniałością opisów, albo w proroczem widzeniu oglądają Odkupiciela, albo zawierają praktyczne zdania mądrości i cnoty, albo też pod jakimkolwiek innym względem obiecują korzyść moralną. Takie miejsca czytamy tutaj w autentycznym tekscie. Że wspomnę parę tylko przykładów: ani psalmy Dawidowe, ani pieśń nad pieśniami, ani tak zwane dydaktyczne księgi nie dadzą się ująć należycie w opowiadanie, tymczasem kiedy przytaczając najpiękniejsze ustępy z Jakóba Wujka, nasza autorka ułożyła, powiedziałbym, dziwnie piękną równiankę z kwiatow rajskich, umieszczoną w kosztownem naczyniu z klejnotów starożytnego Wschodu. Żywot Chrystusa Pana zestawiła ona z samych prawie ustępów Ewangielii, jakby z żywej mozaiki. Tak trafnie i umiejętnie sobie postępując, utworzyła ona dziwnie szacowny zbiór boskich sentencyj, a to do tego stopnia, że pospolity człowiek, walczący z codziennemi potrzebami życia, byle w wolnej chwili zaglądał do dzieła pani Iwanowskiej, może poznać gruntownie całe Pismo Boże.

Gdy szanowna autorka uznała za stosowne cytować biblią w naturze, wynikła z tąd dla niej potrzeba objaśnienia tekstu czyli, jak to mówią zwyczajnie, komentowania. Nie jeden może czytelnik pomyśli tu sobie o moralnych rozumowaniach, pożyczanych z arsenału teologicznego, które są zdolne cięższą jeszcze uczynić rzecz już i tak w sobie poważną i ciężką. Otóż przeciwnie, te komentarze posłużyły autorce sa żywioł wybornie się

podający do urozmaicenia, do ożywienia i umilenia historyi świętej, za punkt wyjścia do obszernej kompozycyi artystycznej, o tyleż znamienitej swą oryginalnością, ile świetnością wykonania. W interesie właśnie tych komentarzy wprowadza ona do biblii obraz polskiego życia, pojętego w jego najzacniejszej manifestacyi, w ten sposób, że czyni z niego podścielisko i tło estetyczne, na którem, jakby na roli urodzajnej, wyrastają krzewy, zioła i kwiaty starego i nowego przymierza. Więc nas prowadzi na Podole, do cnotliwego polskiego domu, gdzie dużo jest dostatku, ale nieskończenie więcej bojaźni Bożej. Tam spotyka nas anielska postać niewiasty, szczytny ideał polskiej wspaniałomyślności pośród gwaru mnogiej dziatwy, chłopczyków i panienek, pośród kmiotków pracowitych i wieśniaczek poczciwych, pośród krewnych wyglądających śmierci pod dachem błogosławionym i sąsiadów połączonych z rodziną węzłami wyprobowanej przyjaźni; a do tego grona i tak już różnobarwnego przyłącza się co chwila to proboszcz miejscowy, to zakonnik żebrzący, to nędzarz skaleczały, to sierota opuszczona od ludzi. W tym domu, którego Chrystus jest panem i gospodarzem, im kto jest uboższy, tem serdeczniejszego przyjęcia może być pewny. Babunia, bo tak ją nazywają wszyscy, co wieczór siada na uprzywilejowanem miejscu, rozkłada przed sobą wielką księgę, a gdy się uciszyli słuchacze, rozpowiada dzieje Odkupienia od pierwszego człowieka aż do zwiastowania archanioła Gabryela, a od wcielenia Syna Bożego do ostatnich dni stworzenia. Skoro skończy jaki epizod, wnet życie zakipi do koła, tysiączne wątpliwości czekają zozwiązania, a z tych wywijają się nowe kwestye, które również rozstrzygniętemi być muszą. Wesoło bez cienia pedanteryi, towarzystwo otaczające Babunię rozbiera z powodzeniem nietylko ważne pytania wiary i moralności chrześcijańskiej, nietylko trudności napotykane w biblii na każdym kroku, ale także rozwięzuje wybornie cały obszerny cykl zagadnień filozoficznych, politycznych i społecznych, które dzisiaj dręczą sumienie ludzkie. Czy się zetknie z materyalizmem, czy bada cuda i czary, czy roztrząsa prawa władzy świeckiej papieża i rewolucyi, trzeba wyznać, że cokolwiek mu się nawinie, nasze grono podolskie umie wszystko rozwiązać należycie, że nic do jego wyroku dodawać nie potrzebujemy. Zresztą w takim zastosowaniu komentarzy innej jeszcze myśli dopatrzeć się można niemniej pięknej. Jest rzeczą naturalną, że gdziekolwiek się odzywają „Słowa Żywota,“ tam, aby nieprzebrzmiały bez echa, muszą się znaleść istoty obdarzone rozumem i wolą, a czem dla greckiego dramatu były chóry, te nieodłączne i współczujące świadki działania bohaterów, tem poniekąd pani Iwanowska chciała mieć rodzinę polską na Podolu, chciała w niej mieć, mówię, chór serc nieskalanych, gotowych każdego czasu do przyjęcia słów wiekuistej Mądrości.

Prawda, że ramy choćby bardzo misternie rzeźbione mało mają wartości wobec obrazu gienialnego mistrza, jednak rzadki tylko artysta nie zaboleje na widok swojego dzieła pozbawionego tej ozdoby, która potęgując życie indywidualne malowidła, świadczy zarazem o czci ludzkiej dla niego. O takie ramy do swojego kolosalnego obrazu postarała się i nasza zacna autorka, przezco dzieło jej zyskało charakter ostatniego wykończenia. Tylko materyału do nich nie szukała po za sferą wyliczonych dotąd żywiołów, ale umiała do tego użyć znowu rodzinę mieszkającą w Bohówce, tę samę, która nam tak dzielnie komentowała Pismo święte. Dotykamy tutaj pono najsympatyczniejszego przedmiotu dla polskiego serca. Od babuni i jej dziatek rozpoczynają się „Słowa żywota," na babuni i na jej dziatkach kończą się one również, a gdyśmy z patryarchami lub prorokami utrudzili się przy ich ciężkim posłannictwie, gdyśmy z Chrystusem się spracowali po drodze krzyżowej, gdyśmy z apostołami odbyli długie i krwawe podróże; znowu Babunia i jej najmilsze dziateczki gotują nam odpocznienie, zapraszając nas do domku na Podolu, do tego przybytku łaski i błogosławieństwa. Czy mogło być co trafniejszego, jak wśród tej rodziny pełnej Chrystusowego ducha, uczynić ramy do obrazu Odkupienia?

Ponieważ babunia Kamińska kilka lat ciągnie swoje opowiadanie, mniej więcej lat dziewięć, jeśli się nie mylimy; przeto dużo zmian dokonać się musiało koło niej, zmian radosnych i smutnych; duchowych i materyalnych, jak zwykle na ziemi, w tak znacznym przeciągu czasu. Jak błogie owoce wydaje wychowanie ugruntowane na słowie Bożem i na wykonywaniu cnót katolickich i jak ono dobroczynnie oddziaławy na osoby dojrzałe, nawet wiekowe, którym się wydarzyło nieszczęcie popaść w złe nałogi lub przewrotne wyobrażenia; jakie następnie skutki nieobrachowanej doniosłości wywiera w Polsce na gromadę wiejską dom szlachecki i kościół parafialny, ilekroć te dwie potęgi socyalne działają zgodnie w jednym kierunku; w końcu przychodzimy do niezachwianego przekonania, że wszelki postęp tak wychowawczy jak społeczny tyle tylko ma istotnej wartości, ile jest zrealizowany dla Chrystusa, po za którym nie ma postępu ani cywilizacyi w ścisłem tego słowa znaczeniu. Aby dowieść podobnych twierdzeń i to nie sposobem argumentacyi, lecz żywego dramatyzowania, autorka ujrzała się zniewoloną zgromadzić w Bohówce zadziwiającą liczbę osób wszelkiego wieku, stanu, powołania, które bądź tam stale się osiedliły, bądź od czasu do czasu zaglądają. Charakter wysoce idealistyczny, choć całkiem prawdopodobny działających osób możeby szkodził wrażeniu, jakie ma na nas wywrzeć opowiadanie, na nas ludzi przesiąkłych krytycyzmem i realizmem, gdyby tenże charakter nie był harmonijnie zastosowany do scen patryarchalnych i ewangielicznych, które nie

wiele się troskają o psychiczne konsekwencye lub o drobną grę sił czynnych w naturze ludzkiej.

Środkowym puntem tego towarzystwa, jest, jak to można przewidzieć, wielka gromada dzieci szlacheckich i kmiecych, dla których babunia urządziła szkołę w swojej majętności. Z latami te drobne istoty doszły do dojrzałości, chłopcy się pożenili, dziewczęta powychodziły za mąż, ale jak planety krążą około środkowej gwiazdy, tak oni wszyscy krążyli około babuni, święcie przechowując w sercu owoce dobre, wypielęgnowane jej dłonią. Co najpiękniejsze dusze, zakochane w ubóstwie. czystości i pracy, zacna matrona poświęciła Bogu ochoczo i radośnie, a ta jej dziesięcina o wiele jest znaczniejsza, niż ją zwykła wypłacać kościołowi nowożytna Polska szlachecka. Najmilsze jej dziecię Julek został misyonarzem i udał się w dalekie kraje zamorskie między dzikie ludy, leżące w cieniach śmierci. Jadwisia wstąpiła do sióstr miłosierdzia, czynna najprzód w Krakowie, potem w Rzymie i Smyrnie, Wacławek, w którego duszy od dzieciństwa drgały pragnienia rycerskie, niestety bezużyteczne w ojczyźnie, poległ śmiercią bohaterską pod Mentaną w obronie praw stolicy apostolskiej. Tekla służąca, poszukiwana za żonę przez bogatego Niemca Johana, ślubuje Bogu panieństwo dozgonne na intencyę jego nawrócenia, i istotnie modłami swemi sprawia, że tenże powraca na łono Kościoła przy śmierci, poczem następuje nawrócenie jego rodziny. Niekiedy jak ptak wędrowny zaleci do Bohówki jaki Wolteryanin lub modny postępowiec, ale wobec tylu cudów łaski, tak starzec zatwardziały w bluźnierstwie jak trzpiot lekkomyślny uczuwa w swej duszy gorzkie wyrzuty, korzy się przed Bogiem i rozpoczyna życie żalu i pokuty. I na odwrót, babunia była świadkiem najsmutniejszych także upadków, które goryczą zatruły jej życie. Jej śliczna Kamilka, w której nigdy nie można było przytłumić namiętności do strojów, skoro została żoną poczciwnego człowieka, wyszła na elegancką lwicę paryzką, i sprowadziła ruinę i śmierć swojego męża. Toż później wypłakała rzeki łez, chcąc przebłagać sprawiedliwy gniew Boży. W ogólności można powiedzieć, że stosując się do tradycyi polskiej, wszyscy grzesznicy pani Iwanowskiej kończą żywot przykładnie, pojednani z Bogiem, nie wyłączając nawet pana Antoniego Stalkowskiego, strasznego nałogowca, który przed samem jeszcze skonaniem całe butle araku wypijał.

Pośród takich to kolei, przypadały uroczystości wiejskie, domowe i kościelne, które ze szczególnem mistrzostwem skreśla nasza autorka, dlatego że w nich przedewszystkiem się odzwierciedla istotę poczciwego polskiego obyczaju. Nie były one wszystkie radośne, często płynęły łzy smutku. Rodzina babuni nader liczna, jej dzieci i wnuki, jej włościanie i sieroty, jej krewni i przyjaciele, jej wreszcie sąsiedztwo bliskie i dalekie, wszystko to z niewymowną tęsknotą wyglądało urodzin i imienin

uwielbianej staruszki, chcąc jej dowieść, na jak wdzięczne serca zlewała dobrodziejstwa. Pod jej okiem wzrastały panienki krasne jak zorze, skromne, oszczędne i gospodarne, ku którym wzdychało tylu chłopców w całej okolicy. Ztąd przychodziło do zalotów, do zaręczyn i wesela. Najrzewniejsze było wesele Anusi, córki ekonoma Dobrzańskiego, nie już sługi, lecz najzacniejszego przyjaciela babuni, który wydał swoje dziecię ukochane za dostatniego szlachcica, bardzo poczciwego wdowca. Wychowanica Jagusia, wnuczka starego biedaka Sulimowskiego, dziewczę niezmiernej zacności, połączyła się z Romanem, bogatym gospodarzem wiejskim, i przyniosła mu szczęście prawdziwe zamiast posagu. Najświetniejszem zaś bo prawdziwie magnackiem, było wesele faworyta babuni Zygmusia z Marynią Jazłowiecką, choć krocie, klejnoty i przepych nie tyle nas ujęły, co niewinna miłość obojga kochanków. Ale i śmierć zaglądała dość często do naszej Bohówki, aby przypominała dobrym ludziom, na jaki cel zostali stworzeni; wtenczas całe tak liczne a tak szlachetne grono, okryte żałobą, towarzyszyło katolickiemu pogrzebowi, oddając ostatnią przysługę przyjacielowi, który zasnął łagodnie w Panu, nakarmiony na drogę wieczności ciałem Chrystusowem. Tymczasem w miejscu, gdzie brały ostatnie uświęcenie te przemiany ziemskiego żywota, czas niszczyciel sprawił ciężkie spustoszenia; babunia spostrzegła, za babunią spostrzegli wszyscy inni, że kościół parafialny nie robi zaszczytu ich troskliwości synowskiej. O! z jakąż szczodrobliwością posypały się ofiary, jak ochoczo panienki pochwyciły za igiełki, jak gorliwie majstrowie rzucili się do swego rzemiosła, jak życzliwie ludność wiejska pospieszyła z pomocą! Ani się spostrzeżono, jak dom Boży stanął w świeżej i majestatycznej ozdobie: wszyscy się cieszyli bardzo, najbardziej świątobliwy pasterz. Tu się pokazało, że lud polski, jeźli się wydaje obojętnym ku niejednej dobrej rzeczy, niech tylko kościół parafialny zapuka do jego serca, natychmiast staje się zmyślnym, czułym i niezmiernie ofiarnym, rzekłbyś, że cudowne przeistoczenie odbyło się w jego prostaczej duszy.

Wybaczy mi czytelnik, jeźli sądzi, że zbyt wiele przytoczyłem tutaj szczegółów; chodziło mi bardzo o to, aby choć pobieżnie obeznać czytającą publiczność polską z zadziwiającą obfitością przedmiotów, jakie się znajdują w „Słowach żywota" pani Felicyi Iwanowskiej. Zapewne, sama mnogość nie stanowi jeszcze zalety, wszakże w dziele tem wszystkie części, acz liczne, tak są między sobą powiązane i urównoważone, że wynika z nich bardzo wdzięczna i harmonijna całość, na podobieństwo owych pałaców królewskich, uderzających pięknością i ogromem, które powstają z drobnych tylko cegiełek. Nie mamy tu na myśli samej architektoniki zewnętrznej, jaka zależy na zręcznem ugrupowania literackiego materyału, choć i ona ma wartość niewątpliwą; mówimy tu o owej umiejętności nierównie ważniejszej,

jaka zaleca szanowną autorkę, iż jakikolwiek szczegół wprowadza do opowiadania, nie czyni tego na los szczęścia, lecz stosuje się do wymagań rozumnej pedagogii. Wszystko otrzymuje określone miejsce wedle planu obrachowanego z góry. Cały układ, treść, styl wykonanie, wszystko się tutaj odznacza niezwykłą udatnością, jako wyraźny wynik błogosławieństwa Niebios, które wybłagała u Boga ta szanowna pani dla pożytku młodych Polski pokoleń. To też nie wątpimy, że dzieło jej, jeźli może nie teraz, to w najbliższej przyszłości, stanie się węgielnym kamieniem chrześciańskiego u nas wychowania, zajmując należne mu miejsce obok Żywotów Świętych Piotra Skargi w każdym katolickim domu,a to tem bardziej, że księgi te przynoszące rzetelny zaszczyt niemniej i tym, co się zajęli ich wydawnictwem, bo są zarazem stosunkowo jeszcze najtańszą publikacyą illustrowaną, jaką widziano kiedykolwiek w naszym kraju. Kończąc moje sprawozdanie trudno mi nie dodać i tego co pani Felicya Iwanowska oświadcza w przedmowie, że jeżeli się odważyła na tak poważne dzieło, winna to zachętom ś. p. O Hieronima Kajsiewicza, swego niegdyś spowiednika; a ponieważ je szczęliwie do końca przyprowadziła (czego jej serdecznie winszujemy!), część zatem wdzięczności naszej należy się cieniom nieodżałowanego męża, który jak całe życie pracował, cierpiał, i siał słowo Boże tak jeszcze niejako i z grobu składa nam upominek swojej niezmiernej miłości.

F. L.

Powrót do Gniazda. Powieść z podań XVI wieku przez J. J. Kraszewskiego. Warszawa nakładem księgarni Gebethenera i Wolfa r. 1874 in 8to str. 386.

Kraszewski płodnością przewyższył wszystkich polskich pisarzy, najpłodniejszym z zagranicy sprostał. Z tego, co tylko tego roku wydał, dałaby się już biblioteczka zformować. Prasy drukarskie w Warszawie, Poznaniu, Lwowie jęczą pod wytłaczaniem jego prac. We Lwowie równocześnie trzy jego powieści drukują: w Ruchu, w Tygodniu, w Gazecie narodowej. Dodajmy do tego korespondencye polityczne, literackie, artystyczne do dzienników, Miesięczników. a ledwie sobie wyobrazić zdołamy tę rzutność i produkcyjność. Pośpiech i gorączkowość nie przyczyniają się jednakowoż wiele do zalet dzieła, prace też p. Kraszewskiego pod tym względem wyjątku nie stanowią, czem autor sobie i literaturze wielką krzywdę wyrządza. Kogo Bóg takim talentem wyposażył, ten powinien talent rozumnie z użytkować ale go nie marnotrawić. Kto może tworzyć rzeczy dobre, nie powinien produkować miernostek. Do miernostek jednak zaliczyć musimy: Powrót do Gniazda. Już tytuł nie odpowiada treści.

Zdawałoby się, że powrót do Gniazda uspokoi namiętności, obmyje z brudów jakiemi w drodze żywota skalać się można było, przywróci człowieka familii, społeczeństwu i obowiązkom. Tego wszystkiego nie ma. Nie wiemy nawet czy autor chciał napisać apoteozę gniazda, czy jego potępienie, zdawałoby się, że to ostatnie, sens moralny przynajmniej się narzuca taki: jeżeliś raz gniazdo porzucił, nie masz tam już poco wracać, starzy ojcowie już cię nie zrozumieją i ty ich nie zrozumiesz, zaczniecie się szamotać, łamać i każde z was po kolei upadnie i zniszczeje.

Osnowa jest następująca: Młody Janusz Rochita syn wojewody, synowiec pisarza, rozumie się koronnego, wysłany jest na naukę do Wirtembergii, właśnie w czasie wystąpienia Lutra. Młody Janusz ulega powszechnej zarazie, odłącza się od kościoła porwany ogólnym prądem. Nie dość tego, kocha się w córce mieszczanina, bogatego złotnika, który jak powiada autor kilka księstw mógłby sobie zakupić, takie posiada skarby!

Głuche wieści dochodzą ojca, że syn wiarę zmienił i w mieszczce się kocha. Ojciec nakazuje powrót, syn jakiś czas zwłóczy, nakoniec przyciśnięty do muru, powraca zaręczywszy się pierwej z bogdanką.

Były to wypadki dostateczne, żeby Januszowi złe przyjęcie w domu zgotować, tylko trzeba było się przekonać, czy istotnie tak rzeczy stoją. Uderza też na wstępie surowość ojca, który wprawdzie coś słyszał, ale pewności żadnej nie ma, a co więcej, tym gadaniom ludzkim nie wierzy. Dla doświadczenia pokory syna przeznacza mu mieszkanie w baszcie, zajmowane dotąd przez sługi niższego rzędu, całe umeblowanie stanowi drewniany stół, tapczan i ławka, wszystko wykonane siekierą przez miejscowego artystę. Syn bez wymówki, bez skargi poddaje się woli ojca, oskarżają tylko słudzy pana, że nad własną krwią miłosierdzia niema. Na drugi dzień Janusz nie idzie na mszę do zamkowej kaplicy, zapytany dla czego: powiada, że mu jego przekonania nie pozwalają mszy słuchać. Wojewoda ledwie te słowa posłyszał, kazał go wrzucić do ciemnicy wilgotnej, za pożywienie wyznaczając mu kawał czarnego chleba i dzban wody, za posłanie worek sieczki i derkę końską. Jedno słowo miłości lub perswazyi nie wyszło z ust starca. Matka tem srogiem obejściem się ojca z synem dotknięta, potajemnie przez okienko lochu rozmawia z synem, z tej rozmowy powraca złamana, kładzie się na łóżko i już więcej się nie podnosi. Janusz po kilku dniach uwięzienia ucieka z ciemnicy i udaje się do stryja pana pisarza człowieka o tyle miękkiego i wrażliwego, o ile brat jego był pełen hartu i niezłomnej woli.

Stryj przyjął synowca serdecznie, bo i sam ku nowinkom się skłaniał i w domu swoim dawał schronienie nowatorom wszelkiego kalibru. Ojciec wojewoda dowiedziawszy się o ucieczce Janusza, wyrzekł tylko te słowa: nie mam już syna. Odtąd nikt

we dworze imienia syna wspomnieć nie mógł, nawet rodzona matka. Cały pobyt w gniaździe trwał trzy czy cztery dni wszystkiego, a ten nieszczęśliwy powrót pociągnął za sobą cały szereg nieszczęść dla ludzi, którym krom ich przekonania nic zarzucić nie można. Wojewoda jest katolik szczery, może uparty, ale posiadający te zalety, jakie wówczas od głowy familii i pana domu wymagano, wojewodzina kobieta święta, czuła, miłosierna, w obec męża tylko zanadto bierna, co się także tłumaczy duchem czasu, Janusz syn przywiązany, oddany naukom, kacerz równie szczery jak ojciec katolik, wszyscy wyginęli marnie. Z osób wchodzących do powieści, pozostali tylko ludzie, których pod względem umysłowym i moralnym z tamtymi porównać się nawet nie godzi. Jest w tem wiele psychicznej prawdy, nie negujemy tego, człowieka z charakterem można złamać ale zgiąć on się nie da, lecz nie godzi się znowu rzeczy tak stawiać, że tylko ludziom bez charakteru zapewnione jest szczęście i spokój na ziemi.

Stryj pisarz jak już powiedzieliśmy przychylny nowinkom przyjął Janusza serdecznie, chociaż nie rad był, że synowiec miał przekonanie i otwarcie się do pewnego kościoła przyznawał. „Ja“ mówił synowcowi, „słucham ich wszystkich, bawią mię ich sprzeczki i kłótnie, jednak żadne wyznanie nie może się poszczycić że należę do jego zwolenników.“ Stryjaszek w rzeczach wiary nadzwyczajnie jak widzieliśmy liberalny, w kwestyi małżeńskiej miał pojęcia jak najbardziej arystokratyczne. „Kochać się w mieszczance to szaleństwo,“ „wierz w co ci się podoba, ale żeń się tylko zrówną“ było jego zasadą, na tem punkcie o mało zaraz w pierwszych dniach pobytu synowca u stryja nie przyszło do zerwania, skończyło się na tem, że Pisarz przyobiecał tej kwestyi nie tykać. Ale nie sam Pisarz miał uprzedzenie do małżeństwa z mieszczką, podzielała je i wojewodzina; przy owem tajemnem jej zkomunikowaniu się z synem, wyznał on matce miłość swoją do córki mieszczańskiej. i dziwna! ona kobieta religijna była więcej tą miłością zgorszona, niż porzuceniem wiary ojców.

W kilka tygodni po ucieczce Janusza z gniazda umarła matka, wojewoda zaprosił całe sąsiedztwo na pogrzeb, synowi i bratu nawet znać nie dał o tem, wojewoda dowiedziawszy się kto dał przytułek synowi, tą samą proskrypcyą objął brata co i syna. Obaj na pogrzeb pojechali, wojewoda nie dał po sobie poznać, że ich spostrzegł w tłumie, chociaż stali tuż obok niego.

Sprzykrzyło się jednak pisarzowi to długie niewidzenie brata, ponieważ w prost do niego jechać nie chciał, pojechał do proboszcza w Rochowie, siedziby wojewody, z tą myślą żeby się tam z nim spotkać. Stało się jak chciał. Pisarz wrażliwy o mało nie rzucił się na szyję brata, surowa powaga tegoż wywołała w nim w prost przeciwne uczucie pierwszemu, obaj bracia rozeszli się gorzej jeszcze dla siebie usposobieni niż przedtem.

Niespokojny Pisarz postanowił u króla szukać opieki dla Janusza przeciw własnemu ojcu. W tym celu z Januszem wyjechał do Krakowa. Równocześnie przybył do stolicy także wojewoda i tu śmiertelnie zachorował. Brat dowiedziawszy się o chorobie, zapomniał o gniewie, pospieszył do umierającego, i tyle dokazał, że wojewoda który miał zamiar majątek cały rozdać na kościoły, teraz im tylko część zapisał, resztę zostawił bratu z tem przekonaniem, aby je wraz zbłogosławieństwem ojca dał synowi jeżeli się kacerstwa wyrzecze.

Przykładna śmierć wojewody podziałała o tyle na Pisarzu, że się błędów kacerskich wyrzekł, nowatorów od siebie porozganiał, od synowca zażądał stanowczego zerwania z herezyą i narzeczoną. Bawiła ta narzeczona także pod ten czas w Krakowie, stary złotnik, teraz nawet zaszczycony szlachectwem cesarstwa, umyślnie z córką przyjechał do Polski, aby przyspieszyć wesele. Życzył on sobie tego połączenia z dwóch względów, raz, aby dogodzić córce którą kochał, powtóre mieszczuchowi uśmiechała się myśl zostać teściem człowieka wielkiego imienia. Dowiedziawszy się jednak, że familia Rochitów nigdy nie zgodzi się na przyjęcie jego córki do swego łona, ostygł prędko w przyjaźni dla Janusza, a gdy mu ten oświadczył że gotów porzucić majątek i Polskę byle posiąść kobietę ukochaną, grzecznie go od siebie wyprosił.

Zroszpaczeni kochankowie porozumiawszy się z sobą jeszcze tego dnia uciekli. Wysłana za nimi pogoń daremnie się trudziła, w kilkanaście lat dopiero dowiedziawszy się o ich losie. Franciszkański klasztór potrzebował odmawiać srebra kościelne, wyszukano nieletniego chłopczynę który się podjął tego zajęcia, przełożonemu klasztoru, którym był dawny sługa i towarzysz Janusza, zdawało się dostrzedz podobieństwa rysów między dawnym swym panem i dzieciakiem, zaczął go badać, dowiedział się od niego, że pochodzi z Hollandyi, że matka jego była niemką a ojciec polakiem, że rodzicom wiodło się bardzo źle i przed kilkoma latami umarli w największy nędzy. Okazane papiery nie pozwalały wątpić, że młody cudzoziemiec jest synem Janusza, a wnukiem wojewody. Spadkobierca po Pisarzu chciał go wziąść do siebie, wydzielić jakąś część majątku, chłopczyna na to zgodzić się nie chciał, przyjął tylko zapomogę, która mu pozwoliła otworzyć warstat złotniczy i powrócił do Hollandyi. Co się stało z ojcem żony Janusza i jego bogactwami autor nic nie powiada. Do starego złotnika ani córka, ani zięć nie zgłosili się nigdy. Oto wątek: Powrotu do gniazda; czy treść odpowiada tytułowi czytelnik osądzi.

Pod względem obyczajowym nie prawdziwem jest także takie uprzedzenie szlachty polskiej do mieszczaństwa jak je autor maluje. Pieniądz najzapamiętalsze uprzedzenia łamał, a w Polsce w wieku XVI to wyszydzenie nawet wielkiem nie było. Bona-

rowie familia miejska, świeżo nobilitowana posiadała w XVI wieku najznakomitsze w kraju urzędy, i łączyła się z pierwszymi domami w Polsce jak z Firlejami, Tenczyńskimi, Jordanami, prawda żaden ten dom nie pieczętował się Rochem, ale każdy swój klejnot za lepszy od Rocha uważał. A Bonary nie są odosobnionym wypadkiem. W połowie XV wieku jeden z Bochnerów mieszczan krakowski pojąwszy dziedziczkę Wielopola, dał początek familii Wielopolskich herbu Stary koń, kwitnących do dziś dnia, druga linia Bochnarów jeszcze w XVI była mieszczańską, bez uszczerbku w stosunkach familijnych z tego powodu. Morstynowie, Szembeki, których Paprocki cytuje jeszcze jako rajców miejskich, krakowskich, w Niesieckim figurują już jako senatorskie rady. W XVII wieku, pierwszy szlachcic z domu Wodzickich Wawrzeniec, pojął Działyńską odwiecznego senatorskiego rodu. Szlachta poniewierała ubogimi to prawda, dla pieniędzy miała respekt, a złotnik wirtemberski, który mógł nie jedno księstwo zakupić, tak w Polsce jak gdziekolwiek indziej łatwo mógł znaleść męża dla swojej córki w śród najstarszych i największych rodów, chociażby nawet nobilitowanym nie był, a cóż dopiero jeżeli był szlachcicem niemieckiego cesarstwa, bo chociaż pisarz powiada że w Niemczech to samo chłopstwo, jednak szlachta nasza nie była nieczułą na książęce i krakowskie tytuły, które jej ztamtąd przychodziły.

L. Powidaj.